

Juliusz Verne
**W 80 dni
dookoła świata**



Książka dostępna na stronie [Bryk.pl](https://bryk.pl)

W osiemdziesiąt dni dookoła świata
tłum. nieznanym

Rozdział I. Phileas Fogg, zachwycony Obieżyświatem, przyjmuje go do służby

W roku 1872 dom pod numerem 7 przy Saville Row, Burlington Gardens, w którym w roku 1814 zmarł Sheridan, był zamieszkały przez Phileasa Foggę, członka londyńskiego klubu „Reforma”, osobistość wybitną i wielce oryginalną.

Będąc synem słynnego mówcy angielskiego, Phileas Fogg był istotą zagadkową, o której, prócz tego, że odznaczał się elegancją i urodą, nic więcej nie wiadomo. Mówiono, że jest podobny do Byrona, naturalnie tylko z budowy głowy. Był to Byron z wąsami i faworytami; Byron niepodlegający żadnym cierpieniom, który mógłby żyć sto lat, zupełnie się nie starzejąc.

Anglik od pierwszego rzutu oka, Phileas Fogg nie wyglądał jednakże na londyńczyka. Nie widziano go nigdy ani na giełdzie, ani w banku, ani w żadnym kantorze w City. Nigdy na kanałach lub portach londyńskich nie ukazały się jego statki. Człowiek ten nie należał do żadnego komitetu administracyjnego; nie był ani kupcem, ani przemysłowcem, ani też rolnikiem. Nie zajmował się żadnymi instytucjami publicznymi: ani instytucją królewską Wielkiej Brytanii, ani londyńską, ani instytucją rękodzielników, ani instytucją literacką Wschodu, ani instytucją prawa, ani nawet sztuk pięknych i nauk, będącej pod opieką Jej Królewskiej Mości. Nie należał wreszcie do żadnego stowarzyszenia, których tak wiele posiada stolica Anglii, zaczynając od Stowarzyszenia Harmonica aż do Stowarzyszenia Entomologicznego, założonego w celu wyniszczenia szkodliwych owadów. Phileas Fogg był członkiem klubu „Reforma” i na tym się jego działalność kończyła. Niech nikogo to nie dziwi, że osoba tak zagadkowa została zaliczona do członków tego poważnego stowarzyszenia. Przyjęto go dzięki poleceniu braci Baring, u których miał otwarty kredyt.

Czy Phileas Fogg był bogaty? Niewątpliwie. Ale w jaki sposób zdobył majątek, o tym najbardziej wtajemniczeni nie wiedzieli; a do niego samego nikt nie ośmielił się zwrócić z podobnym pytaniem.

Nie był rozrzutny ani też skąpy, gdyż chętnie spieszył z datkami, gdy szło o rzecz szlachetną lub użyteczną. Czynił to zwykle po cichu, bezimiennie. Phileas Fogg nie należał do ludzi towarzyskich. Mówił bardzo mało i wydawał się osobnikiem nader

tajemniczym. Czy pan Fogg podróżował kiedyś? Tak należałoby przypuszczać, gdyż nikt nie znał lepiej od niego wszystkich części świata. Nie było miejsca, nawet najbardziej oddalonego, o którym by nie mógł udzielić szczegółowych objaśnień. Nieraz w kilku słowach, krótko i jasno wypowiedzianych, zbijał krążące w klubie wiadomości o zaginionych podróżnikach. Wynajdywał prawdziwe przyczyny i jego słowa zwykle się sprawdzały, jak gdyby był jasnowiedzem. Faktem jednak było, że w przeciągu wielu lat pan Fogg nie opuszczał Londynu. Nigdzie też nie bywał i ci, co go znali bliżej, utrzymywali, że odbywał codziennie tylko jedną drogę, a mianowicie z domu do klubu, a z klubu do domu.

Jedyną jego rozrywką było czytanie dzienników i grywanie w wista. Grywał zazwyczaj szczęśliwie, a wygraną przeznaczał na cele dobroczynne. Gra sama przez się wydawała mu się walką, w której przeszkody pokonywał z niewzruszonym spokojem, cechującym całą jego naturę. O jego rodzinie nie wiedziano nic, ani też o krewnych i przyjaciółach; mieszkał samotnie we własnym domu przy Saville Row; do usługi miał jednego służącego. Obiad i śniadanie spożywał w klubie, samotnie, o jednej i tej samej godzinie, na jednym i tym samym miejscu, nie zwracając uwagi na otoczenie. Dziesięć godzin doby spędzał u siebie, dokąd wracał zwykle o północy, resztę zaś czasu w klubie. Miał tam wyjątkowe względy. Wybierano dla niego najlepsze potrawy, które podawano na najwykwintniejszej porcelanie i najcieńszym obrusie. Wytworne wina podawano mu w najdroższych kielichach. Jeżeli życie prowadzone w ten sposób można nazwać dziwnym, to dziwaczność ta, przyznać trzeba, była bardzo wygodna.

Dom przy ulicy Saville Row, chociaż nie był urządzony ze zbytkiem, posiadał jednak wszelkie wygody. Od swego jedyne go służącego pan Fogg wymagał punktualności i niezwyklej sumienności. Tego właśnie dnia, a było to drugiego października, odprawił Jamesa Forstera, ponieważ ten podał mu wodę do golenia o trzy stopnie za chłodną. Oczekiwał właśnie przybycia nowego służącego, który miał się zjawić pomiędzy jedenastą a wpół do dwunastej.

Phileas Fogg, z rękoma opartymi na kolanach, z głową podniesioną, śledził wskazówki zegara, pokazującego godziny, minuty, sekundy, dni i pory roku. Gdy zegar wybił oznaczoną godzinę, pan Fogg powstał, by udać się do klubu. W tej chwili zapukano do drzwi. Był to zwolniony ze służby James Forster.

— Przyszedł nowy służący — oznajmił.

W drzwiach ukazał się człowiek lat mniej więcej trzydziestu.

— Jesteś Francuzem i nazywasz się John? — spytał go Phileas Fogg.

— Nazywam się Jan, do usług — odrzekł nowo przybyły — Jan Obieżyświat. Sądę, że jestem uczciwym człowiekiem, panie, i uprawiam kilka rzemiosł. Byłem wędrownym śpiewakiem, ujeżdżaczem cyrkowym, linoskoczkiem, później zostałem nauczycielem gimnastyki, a następnie, by się stać pożyteczniejszym dla społeczeństwa — sierżantem. Pięć lat minęło od chwili, gdy opuściłem Francję, a chcąc zakosztować życia rodzinnego, zostałem lokajem w Anglii. Obecnie jestem bez pracy i dowiedziawszy się, że u pana wakuje posada, przyszedłem ofiarować swoje usługi.

— Podobasz mi się, Obieżyświacie. Polecono mi cię. Czy znasz moje wymagania?

— Tak, panie.

— Dobrze więc, która teraz godzina?

— Jedenasta dwadzieścia dwie — odpowiedział Obieżyświat, wyciągając z kieszeni olbrzymi srebrny zegarek.

— Twój zegarek się spóźnia — oznajmił pan Fogg.

— Wybacz panie, ale to niemożliwe.

— Spóźnia się o cztery minuty. Mniejsza z tym, wystarczy, że zapamiętasz różnicę. Od tej więc chwili, to jest w środę, dnia drugiego października tysiąc osiemset siedemdziesiątego drugiego roku, o godzinie jedenastej dwadzieścia dziewięć rano, przyjmuję cię do służby.

Rzekłszy to, pan Fogg wstał, włożył kapelusz na głowę i wyszedł bez słowa.

Obieżyświat niebawem usłyszał dwukrotne trzaśnięcie drzwiami. Pierwsze oznajmiało wyjście jego nowego pana, drugie zaś jego poprzednika, Jamesa Forstera.

Obieżyświat pozostał sam w mieszkaniu.

Rozdział II. Ideal Obieżyświata

„Na honor — pomyślał sobie Obieżyświat, trochę zbity z tropu — u pani Tussaud widziałem osoby bardzo podobne do mego nowego pana”.

Trzeba dodać, że „osoby” pani Tussaud były to figury z wosku, ludzaco naśladowujące żywych ludzi.

Podczas krótkiej rozmowy Obieżyświat badał swego nowego pana. Był to mężczyzna liczący około czterdziestu lat, o wyglądzie szlachetnym, słusznego wzrostu, niezbyt otyły, o blond włosach i faworytach, o twarzy bladej i pięknych zębach. Odznaczał się równowagą umysłu, spokojny, flegmatyczny, z okiem jasnym, badawczym, był

typowym Anglikiem o zimnej krwi, tak często spotykanym w Zjednoczonym Królestwie.

W każdym położeniu zachowywał równowagę. Oszczędzał swoje siły fizyczne. Wybierał zawsze najkrótszą drogę, unikał wszelkich zbytecznych ruchów, nigdy się niczym nie przejmował ani nie wzruszał. Nigdy się nie spieszył, zawsze przychodził w porę. Żył samotnie, z dala od stosunków społecznych.

Co do Jana, zwanego Obieżyświatem, był to paryżanin z krwi i kości, od pięciu lat mieszkał w Anglii, pełnił obowiązki lokaja, na próżno poszukując pana, do którego mógłby się przywiązać. Obieżyświat nie miał nic wspólnego z Frontinem lub Mascarillem, typem śmiesznego lokaja o wysokich plecach i zadartym nosie. Był to chłopak poczciwy, o miłej powierzchowności, wydatnych ustach, dobry i uczynny. Oczy miał niebieskie, cerę zdrową, twarz dość pełną, pierś szeroką i mięśnie doskonale wyćwiczone przez gimnastykę. Włosy miał bujne, koloru ciemnego. Podczas gdy starożytni rzeźbiarze znali dwadzieścia osiem sposobów układania włosów Minierwy, on miał tylko jeden jedyny, a mianowicie: trzy ruchy grzebienia i fryzura była gotowa.

Czy dwa tak różne charaktery, pana i służącego, zgodzą się wzajemnie? Obieżyświat nie mógł na to odpowiedzieć. Przepędziwszy burzliwie młodość, marzył o spokoju. Słyszając wiele o angielskiej systematyczności i przysłowiowym spokoju dżentelmenów, przybył szukać szczęścia w Anglii. Ale dotychczas los mu nie sprzyjał, nigdzie nie mógł długo zagrzać miejsca. Zmienił już dziesięciu panów, gdyż żaden nie odpowiadał jego upodobaniom. Byli to bowiem fantaści, amatorzy przygód i podróży. Jego ostatni pan, młody lord Longsferry, członek parlamentu, po spędzeniu nocy w restauracji, wrócił do domu niesiony wpół przez policjanta. Wobec tego zachowania służący zrobił swemu panu kilka uwag, za co został uwolniony ze służby. Dowiedziawszy się, że pan Fogg poszukuje służącego, zasięgnął wiadomości o sposobie prowadzenia się tego pana. Osoba, której życie było tak regularne, która nigdy nie podróżowała, nie oddalała się z domu, przypadła mu bardzo do gustu. Zaofiarował swe usługi i, jak już wiadomo, został przyjęty.

Pozostawszy sam w mieszkaniu po odejściu pana Fogga, Obieżyświat zaczął się rozglądać po całym domu. Nic nie uszło jego uwadze, od piwnic aż do strychu. Wszystko bardzo mu się podobało w tym surowym, czystym i wygodnie urządzonej domu. Robił na nim wrażenie oświetlonej i ogrzanej gazem muszli. Przeznaczony dla niego pokój, znajdujący się na drugim piętrze, również mu się podobał. Z pokojami na dole łączyły go dzwonki elektryczne i tuby. Na kominku stał zegar elektryczny, który dokładnie

odpowiadał zegarowi w sypialni pana Fogg; zegary te jednocześnie wybijały każdą sekundę.

— Podoba mi się tu! — mówił do siebie z zadowoleniem.

Nad zegarem wisiała jakaś kartka, był to harmonogram jego przyszłych zajęć; wszystko przewidziane, zapisane, nie zapomniano o najdrobniejszym zajęciu; każda chwila była wypełniona. O godzinie ósmej rano pan Fogg wstawał, a o ósmej minut dwadzieścia jadł pierwsze śniadanie, woda do golenia powinna zostać podana o dziesiątej trzydzieści siedem, robić fryzurę zwykł o dziesiątej pięćdziesiąt i tak dalej.

Co się tyczy garderoby pana domu, to była wzorowo utrzymywana. Każda para spodni, każdy tużurek lub kamizelka były numerowane i zapisywane do rejestru, z zaznaczeniem pory roku, w której powinny zostać użyte. Słowem, dom przy ulicy Saville Row, za czasów słynnego Sheridana będący wzorem bezładu, w chwili obecnej był przybytkiem wygody i elegancji.

Nie widziano tam ani biblioteki, ani książek, gdyż w klubie „Reforma” były na usługi członków dwie czytelnie: jedna, złożona z dzieł beletrystycznych, druga — z prawnych i poświęconych polityce. W sypialni stała kasa ogniotrwała. Nie było tam nigdzie żadnej broni, żadnych przyborów myśliwskich. Wszystko świadczyło o spokojnym i regularnym życiu gospodarza. Obszedłszy wszystkie kąty domu, Obieżyświat z zadowoleniem zatarł ręce i jego szeroka twarz rozpromieniła się uśmiechem.

— Podoba mi się tu — mruknął do siebie. — Tego mi było potrzeba. Ależ mój pan to prawdziwy automat. Dobrze więc, nie mam nic przeciwko temu, by go obsługiwać.

Rozdział III. Ważna rozmowa

Po wyjściu z domu, o wpół do dwunastej, Phileas Fogg udał się w kierunku swego klubu, dokąd też przybył, zrobiwszy pięćset siedemdziesiąt pięć kroków lewą nogą i o jeden krok więcej prawą nogą. Klub ten znajdował się przy ulicy Pall Mall. Był to wspaniały budynek, którego budowa kosztowała niegdyś trzy miliony.

Phileas Fogg wszedł do sali jadalnej, której liczne okna wychodziły na piękny ogród o drzewach ozłoconych słońcem jesieni. Tam zasiadł na swym zwykłym miejscu przy stole, gdzie było już dla niego przygotowane nakrycie. Niebawem też podano mu śniadanie, składające się z zakąski, porcji ryby z sosem, młodej kapusty, rostbefu i ciastka nadziewanego porzeczkami, a na deser kawałek sera. Potrawy te zapijał pan Fogg kilkoma szklankami wybornej herbaty, zbieranej specjalnie dla klubu „Reforma”.

O dwunastej czterdzieści siedem dżentelmen powstał od stołu i przeszedł do wspaniałego salonu, którego ściany zdobiły liczne obrazy w pięknych ramach. Gdy zasiadł na fotelu, lokaj podał mu nierozcięty jeszcze numer „Timesa” i na czytaniu tej gazety pan Fogg spędził trzy godziny i czterdzieści pięć minut, po czym zabrał się do „Standardu”, który go zajął do obiadu. Obiad składał się z tych samych potraw, co i śniadanie, z dodatkiem jedynie zupy zwanej królewską. O godzinie szóstej dwadzieścia nasz znajomy zjawiał się znów w salonie i zagłębił się w czytaniu „Morning Chronicle”. W pół godziny później weszło kilku członków klubu „Reforma” i zbliżyło się do kominka, w którym palił się spory ogień. Byli to zwykli partnerzy pana Fogga, równie jak on zapaleni amatorzy wista: inżynier Andrew Stuart, bankierzy John Sullivan i Samuel Fallentin, piwowar Thomas Flanagan i wreszcie Gauthier Ralph, jeden z zarządzających Bankiem Anglii. Byli to wszystko ludzie bogaci i szanowani, nawet w tym klubie, w poczet członków którego zaliczano niejedną znakomitość ze świata przemysłowego lub finansowego.

— Więc, panie Ralph — zapytał Thomas Flanagan — jak stoi ta sprawa z kradzieżą?

— A nic — odrzekł Andrew Stuart. — Bank już nie zobaczy swoich pieniędzy.

— Jestem przeciwnego zdania — odparł Ralph. — Sądzę, że uda nam się schwycić złodzieja. Inspektor policji rozesłał swoich najzręczniejszych ludzi do wszystkich portów Ameryki i Europy, będzie więc trudno temu jegomościowi wymknąć się z ich rąk.

— Czy istnieje rysopis złodzieja? — spytał Andrew Stuart.

— O, za przeproszeniem, to nie złodziej — odrzekł poważnie Gauthier Ralph.

— Jak to, nie złodziej, człowiek, który zabrał pięćdziesiąt pięć tysięcy funtów?

— Nie, to nie złodziej — zaprzeczył Gauthier Ralph.

— A zatem to przemysłowiec — wtrącił pan Sullivan.

— „Morning-Chronicle” zapewnia, że jest to osoba z towarzystwa.

Odpowiedź ta wyszła z ust Phileasa Fogga, którego głowa w tej chwili wynurzyła się z masy nagromadzonych gazet.

Zdarzenie, o którym była mowa, komentowane z zapalem przez dzienniki Zjednoczonego Królestwa, miało miejsce trzy dni wcześniej, 29 września. Pakiet banknotów, zawierający ogromną sumę pięćdziesięciu pięciu tysięcy funtów szterlingów, skradziony został z blatu kasy głównego kasjera banku angielskiego. Tym, którzy dziwili się, że podobna kradzież została dokonana z taką łatwością, dyrektor

banku, Ralph Gauthier, objaśniał, że kasjer zajęty był w tej chwili zapisywaniem wpłaty trzech szylingów i sześciu pensów.

Aby lepiej zrozumieć możliwość kradzieży, należy dodać, że administracja banku unikała wszystkiego, co mogło urazić poczucie godności swoich klientów. Nie zabezpieczano się ani kratą, ani strażnikami. Jeden ze znawców obyczajów angielskich opowiada o następującym zdarzeniu: zwiedzając pewnego razu salę banku angielskiego, zauważył sztabkę złota leżącą na stoliku kasjera. Zdumiony jej wielkością wziął ją do ręki i obejrawszy ze wszystkich stron, podał swemu sąsiadowi, a ten znów komuś innemu; i tak z rąk do rąk sztabka powędrowała do ciemnego korytarza, skąd dopiero po upływie pół godziny powróciła na swoje dawne miejsce, a kasjer przez cały ten czas ani na chwilę nie przerwał swego zajęcia.

Jednakże dnia 29 września rzecz się miała inaczej; pakiet banknotów nie powrócił na dawne miejsce i gdy wspaniały zegar wybił piątą, Bankowi Anglii nie pozostało nic innego, jak zapisać pięćdziesiąt pięć tysięcy funtów szterlingów na rachunek swoich strat. Po należyтым upewnieniu się, że doszło do kradzieży, wysłano najzdolniejszych tajnych agentów do wszystkich głównych portów: do Liverpoolu, Glasgow, Hawru, Suezu, Brindisi, Nowego Jorku i tak dalej, z obietnicą nagrody dwóch tysięcy funtów szterlingów za znalezienie sprawcy i pięciu procent od odzyskanych pieniędzy.

Agenci w oczekiwaniu bliższych wiadomości mających ułatwić śledztwo rozciągnęli baczną uwagę na wszystkich przejeżdżających lub udających się w podróż.

Przypuszczano ogólnie i tak samo twierdziła gazeta „Morning Chronicle”, że przestępca nie należał do żadnej złodziejskiej szajki w Londynie. Twierdzenie to opierano na tym, że 29 września widziano dobrze ułożonego dżentelmena o dystyngowanym wyglądzie przechadzającego się po sali bankowej. Dzięki śledztwu można było dość dobrze odtworzyć rysopis tego pana i rozesłać go do wszystkich agentów policyjnych Zjednoczonego Królestwa. Kilka zdolnych głów, między innymi i Gauthier Ralph, miało nadzieję, że sprawca kradzieży nie wymknie się z rąk sprawiedliwości.

Wiść o tym fakcie rozeszła się po całej Anglii; rozmawiano o nim prawie w każdym domu. Wszędzie toczyły się debaty na ten temat; jedni twierdzili z zapalem, że sprawca kradzieży na pewno się znajdzie, drudzy stanowczo trzymali się przeciwnego zdania. Zakładano się z zaangażowaniem. Nic więc dziwnego, że wobec podobnego stanu rzeczy kwestia ta wzbudziła zainteresowanie wśród członków klubu „Reforma”. Szanowny dyrektor banku, Gauthier, ani na chwilę nie wątpił o pomyślnym rezultacie

poszukiwań. Według niego tak hojna nagroda powinna do najwyższego stopnia podniecić zapał i zaostrzyć spryt agentów.

Przyjaciel jego, Andrew Stuart, nie podzielał tego zdania. Tak rozprawiając, panowie zasiedli do gry w wista w ten sposób, że Stuart siedział naprzeciw Flanaganowi, Fallentin zaś naprzeciw Phileasa Foggowi.

Podczas gry panowało głucho milczenie, tylko podczas przerwy następującej po każdej skończonej partii rozmowa nawiązywała się na nowo.

— Sadzę — twierdził Andrew Stuart — że los sprzyja złodziejowi; musi on być bardzo zręczny.

— Cóż znowu! — odparł Ralph. — Przecież nie ma kraju, gdzie mógłby się schronić.

— Bardzo proszę!

— Dokąd mógłby się udać?

— Nie wiem — rzekł Andrew Stuart — ale przecież świat jest dość obszerny.

— Był kiedyś — wyrzekł półgłosem pan Fogg i podając karty Flanaganowi, dodał: — Na pana kolej!

Rozmowa, przerywana na chwilę grą, została podjęta na nowo.

— Jak to: kiedyś? — dziwił się Andrew Stuart. — Czyżby rozmiar świata miał się zmniejszyć?

— Niewątpliwie — odparł Gauthier. — Podzielim w zupełności zdanie pana Foggowi, świat się zmniejszył: gdyż można go objechać w czasie dziesięć razy krótszym niż przed stu laty, co bardzo ułatwi pogoń za złodziejem.

— Lub ułatwi mu ucieczkę.

— Pan gra, panie Stuart — zauważył pan Fogg.

Na chwilę zapanowało milczenie, lecz zaledwie skończono partię, Stuart rzekł niedowierzająco:

— Trzeba przyznać, panie Ralph, że to nietęgi żart utrzymywać, że świat się zmniejszył, gdyż można go objechać w trzy miesiące.

— W osiemdziesiąt dni! — poprawił go Fogg.

— Tak jest, panowie — dodał John Sullivan — w osiemdziesiąt dni, od chwili otwarcia odcinka kolei między Rothalem i Allahabadem. Oto jak się przedstawia marszruta ułożona przez „Morning Chronicle”:

Z Londynu do Suez przez Mont Cenis i Brindisi koleją i statkiem — 7 dni

Z Suez do Bombaju statkiem — 13 dni

Z Bombaju do Kalkuty koleją — 3 dni
Z Kalkuty do Hongkongu (Chiny) statkiem — 13 dni
Z Hongkongu do Jokohamy (Japonia) statkiem — 6 dni
Z Jokohamy do San Francisco statkiem — 22 dni
Z San Francisco do Nowego Jorku — 7 dni
Z Nowego Jorku do Londynu statkiem i koleją — 9 dni
Razem: 80 dni

— Tak, w osiemdziesiąt dni — wykrzyknął Andrew Stuart — nie licząc złej pogody, przeciwnych wiatrów, rozbicia statków i wykolejenia.

— Owszem, wszystko to wliczając — odpowiedział pan Fogg, nie przestając grać, gdyż tym razem gra nie przerwała dyskusji.

— Nawet gdy Hindusi i Indianie usuną szyny — wykrzyknął Stuart — zatrzymają pociągi, ograbią furgony, oskalpują podróżnych?

— Wszystko wliczając — odparł Phileas Fogg, który rzucił karty i dodał: — Dwa bez atu.

— W teorii ma pan rację, panie Fogg, ale nie w praktyce.

— W praktyce także, panie Stuart.

— Chciałbym się przekonać.

— To zależy od pana, pojedźmy razem!

— Niech mnie Bóg broni! — wykrzyknął Stuart. — Mógłbym się założyć o cztery tysiące funtów szterlingów, że podróż dookoła świata w tak krótkim czasie jest niemożliwa.

— Przeciwnie, bardzo możliwa.

— Spróbuj więc pan ją odbyć.

— Podróż dookoła świata w osiemdziesiąt dni?

— Tak.

— Bardzo chętnie.

— Kiedy się pan wybiera?

— Choćby zaraz.

— Ależ to byłoby szaleństwo! — zawołał Andrew Stuart, którego stanowczość partnera zaczęła już gniewać. — Lepiej grajmy dalej.

— Dobrze.

Andrew Stuart zebrał gorączkowo karty, lecz zaraz rzucił je na stół ze słowami:

— A więc dobrze, panie Fogg, zakładam się o cztery tysiące funtów!

— Kochany Stuarcie — mitygował go Fallentin — uspokój się, tego przecież nikt nie bierze na serio.

— Gdy mówię, że się zakładam, zawsze myślę serio.

— Niech i tak będzie — odrzekł pan Fogg. — Mam dwadzieścia tysięcy funtów szterlingów umieszczonych u braci Baring, chętnie je postawię.

— Dwadzieścia tysięcy funtów! Dwadzieścia tysięcy, o których stratę może pana przyprawić lada przeszkoda! — zawołał John Sullivan.

— Przeszkody nie istnieją! — odparł spokojnie pan Fogg.

— Ależ panie Fogg, przecież wybrał pan najkrótszy okres czasu.

— Dobrze obliczyłem. Wystarczy.

— Lecz by nie przegrać, trzeba matematycznie skakać z kolei na statek i ze statku na kolej.

— Będę skakał matematycznie.

— Ależ to żart.

— Prawdziwy Anglik nigdy nie żartuje, gdy idzie o rzecz tak ważną jak zakład — odrzekł pan Fogg. — Przyjmuję zakład o dwadzieścia tysięcy funtów szterlingów z każdym, kto chce, że odbędę podróż dookoła świata w osiemdziesięciu dniach, co czyni tysiąc dziewięćset dwadzieścia godzin, czyli piętnaście tysięcy dwieście minut. Czy zgadzacie się, panowie?

— Zgadzamy się — odrzekli jednogłośnie wszyscy, uprzednio porozumiawszy się ze sobą.

— A więc dobrze! Dziś o godzinie ósmej czterdzieści pięć wsiadam do pociągu udającego się do Dover.

— Już dziś wieczorem? — ze zdziwieniem spytał Stuart.

— Dziś wieczorem — potwierdził pan Fogg i wyjąwszy kalendarzyk z kieszeni, dodał: — Ponieważ dziś mamy środę, drugiego października, powinienem wrócić do Londynu, do tego salonu, w sobotę, dwudziestego pierwszego grudnia, o godzinie ósmej minut czterdzieści wieczorem; w przeciwnym razie dwadzieścia tysięcy funtów szterlingów złożonych u braci Baring należy do was, panowie. Oto czek!

Protokół zakładu został natychmiast spisany i podpisany przez sześciu obecnych. Phileas Fogg nie stracił nic z swej zimnej krwi. Widocznie nie szło mu o wygraną. Suma, którą wyznaczał na zakład, stanowiła połowę jego majątku. Dzięki zaś drugiej połowie mógł skutecznie swój tak trudny i wprost niewykonalny projekt.

Na twarzach jego przeciwników malowało się wzruszenie; nie przerażała ich wielkość sumy zakładu, ale na myśl, że przystali na tak nierówną walkę, odczuwali wyrzuty sumienia. Z wybiciem godziny siódmej zaproponowano panu Foggowi przerwanie gry, by mógł przygotować się do podróży.

— Jestem zawsze przygotowany — odparł niewzruszony dżentelmen i rozdając karty, rzekł: — Na pana kolej, panie Stuart.

Rozdział IV. Obieżyświat przeraża się

O siódmej dwadzieścia pięć pan Fogg z wygraną dwudziestu gwinei w kieszeni pożegnał swych szanownych kolegów i opuścił klub „Reforma”. O siódmej pięćdziesiąt wszedł do swego mieszkania. Wyobraźmy sobie zdziwienie Obieżyświata, znajdującego już dokładnie przyzwyczajenia swego pana, gdy ujrzał go w domu o tak niezwyklej porze. Według harmonogramu mieszkańiec domu przy ulicy Saville Row powinien powrócić do siebie dopiero o północy. Wszedłszy do swego pokoju, pan Fogg zawołał:

— Obieżyświacie!

Obieżyświat nie odzywał się. Wołanie o niewłaściwej godzinie mogło się odnosić do kogoś innego.

— Obieżyświacie! — powtórzył pan Fogg, nie podnosząc głosu.

Obieżyświat ukazał się we drzwiach.

— Wołałem cię dwa razy — rzekł pan Fogg.

— Przecież nie ma jeszcze dwunastej — odpowiedział służący, wyjmując zegarek.

— Wiem o tym — odparł pan Fogg. — Nie robię ci wyrzutów. Za dziesięć minut wyjeżdżamy do Dover i Calais.

Francuz skrzywił się nieznacznie. Zdawało mu się, że się przesłyszał.

— Pan wyjeżdża? — spytał.

— Tak — odrzekł pan Fogg. — Udamy się w podróż dookoła świata.

Na te słowa Obieżyświat wytrzeszczył oczy, opuścił ramiona, a jego cała postać wyrażała najwyższe zdumienie.

— Podróż dookoła świata — wyszeptał.

— Którą odbędziemy w osiemdziesięciu dniach, nie mamy więc chwili do stracenia.

— A kufry? — spytał Obieżyświat, prawie nieprzytomnie.

— Żadnych kufrów. Włóżysz w torbę podróżną po dwie płócienne koszule i trzy pary pończoch dla każdego z nas. Resztę kupimy w drodze. Przynieś mój płaszcz podróżny i pled. Zabierz mocne obuwie. Zresztą chodzić będziemy mało lub wcale. Spiesz się!

Obieżyświat chciał coś odpowiedzieć, lecz zdumienie odebrało mu mowę. Znalazłszy się w swoim pokoju, upadł na krzesło i jęknął.

— Otóż masz. I mnie to spotkało, mnie... który tak pragnąłem spokoju.

Machinalnie zabrał się do pakowania, lecz to, co przed chwilą usłyszał, nie mogło mu się pomieścić w głowie. Podróż dookoła świata, myślał, w osiemdziesiąt dni. Czyżby miał do czynienia z szaleńcem? Nie, to chyba żart. Pojadą do Dover, do Calais, a może wstąpią do Paryża, a to byłoby nawet całkiem niezłe; z przyjemnością przywitałby swą ojczyznę, której nie oglądał od pięciu lat. Lecz cóż się stało jego panu, dotychczas tak kochającemu dom i spokój? Pogrążony w podobnych rozmyślaniach Obieżyświat wypełniał torbę podróżną rzeczami swego pana i własnymi. Punktualnie o ósmej wszedł do pokoju swego pana, którego zastał z Bradshawa rozkładem jazdy kontynentalnych kolei żelaznych w ręku, zupełnie gotowego do podróży. Wziąwszy torbę z rąk swego służącego, pan Fogg wsunął w nią sporą paczkę banknotów.

— Czy aby czegoś nie zapomniałeś? — spytał.

— Nie, panie.

— A płaszcz i pled?

— Oto są.

— Dobrze. Weź torbę i pilnuj jej, gdyż zawiera dwadzieścia tysięcy funtów szterlingów.

Pan i służący zeszli ze schodów i opuszczając dom, zamknęli bramę na klucz.

Doszedłszy do końca ulicy Saville Row, pan Fogg i służący wsiedli do dorożki, która zawiozła ich na stację kolei żelaznej Charing Cross. W chwili wysiadania z dorożki pan Fogg zauważył kobietę w lachmanach, która zebrała, trzymając za rękę mizerne dziecko.

Zbliżywszy się do niej, wyjął z kieszeni dwadzieścia gwinei i oddał jej ze słowami: „Weź je poczciwa kobieto, cieszę się, że cię spotkałem”. Obieżyświat, obecny tej scenie, uczył się ogromnie wzruszony, pan Fogg wiele zyskał w jego oczach. Gdy weszli do dużej sali dworca, pan rozkazał służącemu kupić dwa bilety pierwszej klasy do Paryża. Odwróciwszy się, ujrzał pięciu kolegów z klubu „Reforma”.

— Panowie — rzekł — wyjeżdżam. Mój paszport, który zostanie poświadczony w każdym mieście, przez które przejadę, da wam możliwość sprawdzenia marszruty podróży.

— O, panie — odrzekł uprzejmie Gauthier Ralph — to zbyt uczte. Zdajemy się zupełnie na honor dżentelmena.

— Tak będzie lepiej — rzekł pan Fogg.

— A zatem pan wraca?... — zauważył Andrew Stuart.

— Za osiemdziesiąt dni — odparł pan Fogg — w sobotę dwudziestego pierwszego grudnia tysiąc osiemset siedemdziesiątego drugiego roku, o godzinie ósmej czterdzieści pięć wieczorem. Do widzenia, panowie!

O ósmej czterdzieści pan Fogg i jego słuźący wsiedli do wagonu, zaś o ósmej czterdzieści pięć rozległ się świst i pociąg ruszył.

Noc była ciemna, padał drobny deszcz. Pan Fogg, oparty o poduszki wagonu, nie odzywał się wcale. Obieżyświat, jeszcze nie mogący zdać sobie sprawy z tego, co zaszło, machinalnie przyciskał do siebie torbę z banknotami.

Nie przejechano jeszcze przez Sydenham, gdy z piersi lokaja wydarł się krzyk rozpaczny.

— Co ci się stało? — spytał pan Fogg.

— Ach, mój Boże! W pośpiechu... zamieszaniu, zapomniałem...

— Co takiego?

— Zakręcić gaz w pokoju.

— To nic, mój chłopcze — odparł chłodno pan Fogg. — Będzie się więc palił na twój koszt.

Rozdział V. Nowy papier wartościowy

Pan Fogg nie przeczuwał zapewne, jak ogromne wrażenie sprawił swym wyjazdem. Wieść o dziwnym zakładzie rozeszła się po klubie „Reforma” i wywołała niezmiernie zainteresowanie wśród jego członków. Sensacyjną nowinkę podchwyciły wszystkie gazety i dzięki nim cały Londyn, a potem Zjednoczone Królestwo dowiedziały się o tym niezwykle zdarzeniu.

Kwestię podróży dookoła świata komentowano, omawiano, roztrząsano gorączkowo i namiętnie.

Potworzyły się stronnictwa. Jedni byli po stronie pana Fogga, inni zaś, a do tych należała większość, stanęli przeciw niemu. Podróż dookoła świata w tak krótkim czasie wydawała im się możliwa tylko w teorii lub na papierze. „Times”, „Standard”, „Evening Star”, „Morning Chronicle” i dwadzieścia innych miejscowych czasopism stanęło przeciw panu Foggowi. Jedyne gazeta „Daily Telegraph” ujęła się za nim.

O panu Foggowi wyrażano się jak o maniaku, wariacie, zaś członkom klubu „Reforma” brano za złe, że zawarli zakład z człowiekiem chorym na umyśle.

Podczas pierwszych paru dni kilka odważnych umysłów, a były to przeważnie kobiety, stanęło po jego stronie, szczególnie gdy gazeta „Illustrated London News” umieściła na swych szpaltach wizerunek pana Fogga. Nawet kilku dżentelmenów odważnie wyraziło przypuszczenie: „A nuż, kto wie? Zdarzały się dziwniejsze jeszcze rzeczy”. Byli to po części czytelnicy „Daily Telegraph”. Po kilku dniach jednakże i to pismo uległo ogólnemu prądowi. 7 października w gazecie Królewskiego Towarzystwa Geograficznego ukazał się duży artykuł, wszechstronnie roztrząsający kwestię przedsięwzięcia.

Sądząc z tego artykułu, wszystko się układało przeciw podróżnikowi: i ludzie, i natura. By projekt mógł zostać wykonany, trzeba było założyć niezwykłą punktualność w przybyciu i wyruszaniu pociągów i statków, punktualność, która nie istniała i istnieć nie mogła w rzeczywistości. Ogólnie rzecz biorąc, w Europie na stosunkowo niewielkich przestrzeniach można jeszcze liczyć na przybycie pociągów o oznaczonej godzinie. Ale jak można określić na pewno, że w trzy dni przebędzie się Indie, a w siedem Stany Zjednoczone? A wykolejenia, a zderzenia pociągów, zła pogoda, zamiecie śnieżne, czyż wszystko nie układało się przeciw panu Foggowi? A zależność statków podczas zimy od wiatrów i mgieł? Ileż to razy najlepsze parowce spóźniały się o dwa lub trzy dni. Wystarczy jedno jedyne opóźnienie, by sieć komunikacji została bezpowrotnie przerwana. Gdyby pan Fogg spóźnił się na statek choćby tylko o kilka godzin, będzie zmuszony czekać na następny i wskutek tego jego zamiar zostanie zniweczony. Artykuł narobił ogromnego hałasu, powtórzyły go wszystkie gazety i akcje pana Fogga bardzo spadły.

Wiadomo, jak namiętnie zakładają się Anglicy. Mania zakładania się tkwi już w temperamencie tego narodu. Toteż zaraz po wyjeździe pana Fogga zaczęto się zakładać o ogromne sumy za i przeciw szczęśliwemu wynikowi podróży. Nie tylko członkowie klubu „Reforma”, ale i szersza masa publiczności została porwana przez ten szal. Stawiano na Phileasa Fogga jak na wyścigowca. Zrobiono z niego papier wartościowy i

puściwszy go w obieg, robiono ogromne obroty. Zaś po upływie pięciu dni, po ukazaniu się wyżej wspomnianego artykułu w gazecie Królewskiego Towarzystwa Geograficznego, kurs papieru „Phileas Fogg” zaczął się obniżać i spadać coraz bardziej.

Panu Foggowi pozostał już jedyny prawie stronnik. Był nim stary, sparaliżowany lord Albermale. Szanowny dżentelmen, przykuty do swego fotelu, oddałby cały swój majątek za możliwość odbycia podróży dookoła świata, choćby w dziesięć lat. Stawiał pięć tysięcy funtów szterlingów za powodzenie sprawy pana Fogga. A gdy mu przedstawiano całą bezsensowność tego projektu, odpowiadał: „Jeśli ta wyprawa jest możliwa, dobrze będzie, jeśli jako pierwszy dokona tego Anglik”. Pan Fogg miał coraz mniej stronników, wszyscy nie bez słuszności stanęli przeciw niemu. Jego akcje spadały coraz niżej, aż siódmego dnia po jego wyjeździe nieoczekiwany i dziwny fakt rzucił nowe światło na osobę pana Fogga. Z powodu tego faktu już nikt nie kupował jego akcji. Otóż tego dnia o godzinie dziewiątej wieczorem do dyrekcji policji nadszedł telegram następującej treści:

Z Suez do Londynu

Do Rowana, dyrektora policji w administracji centralnej, Scotland Place

Jestem na tropie złodzieja banku, Phileasa Fogga. Natychmiast wysłać do Bombaju rozkaz aresztowania.

Fix, agent policyjny.

Telegram ten sprawił na publiczności wstrząsające wrażenie. Miejsce szanownego dżentelmena zajął złodziej banknotów. Przyjrzano się uważnie jego fotografii jego i znaleziono uderzające podobieństwo do rysopisu złodzieja. Przypomniano sobie dziwny sposób życia pana Fogga, jego odosobnienie, jego nagły wyjazd i stało się jasne jak na dłoni, że osobnik ten pod pozorem podróży dookoła świata, opartej na bezsensownym zakładzie, nie miał nic innego na celu, jak zręczne wymknięcie się z rąk angielskiej policji.

Rozdział VI. Fix niecierpliwi się

Telegram, o którym była mowa w poprzednim rozdziale, wysłany został z następujących powodów.

W środę, dnia 9 października, o godzinie jedenastej rano, oczekiwano przybycia statku „Mongolia”. Statek ten należał do Towarzystwa Żeglugi Indyjskiej i Orientalnej.

Był to żelazny parostatek o wyporności dwóch tysięcy ośmiuset ton i mocy pięciuset koni mechanicznych. Odbywał regularne kursy od Brindisi do Bombaju przez Kanał Sueski i należał do najszybszych okrętów towarzystwa.

W masie miejscowej ludności i cudzoziemców tłoczących się na przystani w oczekiwaniu na przybycie statku można było zauważyć dwóch ludzi, przechadzających się w tłumie. Jeden z nich był agentem konsulatu Zjednoczonego Królestwa. Przybywał tu codziennie, przyglądał się angielskim statkom, które pomimo przewidywań brytyjskiego rządu i smutnych przepowiedni inżyniera Stephensona, przepływały szczęśliwie Kanał Sueski, skracając sobie tym sposobem drogę do Indii o połowę.

Drugi nasz nieznajomy był to człowiek małego wzrostu, chudy, o inteligentnym wyglądzie i niezmiernie ruchliwej twarzy. Spoza długich rzęs błyszczała para bardzo żywych oczu, których blask właściciel umiał dowolnie łagodzić. W tej chwili zdradzał pewne zniecierpliwienie, gdyż chodził gorączkowo tam i z powrotem, nie mogąc sobie znaleźć miejsca.

Człowiek ten nazywał się Fix i był jednym z tajnych agentów rozesłanych do angielskich portów po kradzieży dokonanej w banku. Obowiązkiem jego było obserwować wszystkich podróżnych przejeżdżających Suez i w razie zauważenia jakiegoś podejrzanego osobnika nieustannie go śledzić, aż do chwili otrzymania rozkazu aresztowania.

Od dwóch dni Fix był w posiadaniu rysopisu złodzieja. Rysopis przedstawiał dystygnowaną postać człowieka zauważonego w banku w dniu kradzieży banknotów.

Zachęcony obietnicą nagrody w razie schwytania złodzieja, agent z łatwością do zrozumienia niecierpliwością oczekiwał przybycia „Mongolii”.

— I twierdzi pan, panie konsulu — pytał po raz dziesiąty swego towarzysza — że ten statek nie może się spóźnić?

— Nie, panie Fix — odrzekł konsul. — Wczoraj był w Port Saidzie, a sto sześćdziesiąt kilometrów nic nie znaczy dla tak szybkiego statku. Powtarzam panu, że „Mongolia”, zawsze wygrywała nagrodę dwudziestu pięciu funtów, wyznaczoną przez rząd za wcześniejsze przybycie na miejsce.

— Czy ten statek przybywa wprost z Brindisi? — spytał Fix.

— Tak, z Brindisi, które opuścił w sobotę o piątej wieczorem. Niech się pan uzbroi w cierpliwość, statek nie może się spóźnić. Lecz nie rozumiem, jak pan zdoła poznać człowieka, którego pan poszukuje, mając tylko ogólny opis?

— Panie konsulu — odrzekł Fix — tych ludzi tych bardziej się wyczuwa, niż poznaje. Trzeba posiadać specjalny węch, na który się składa wzrok, słuch i powonienie. Zaaresztowałem już w życiu niejednego z tych panów i niech tylko złodziej będzie na pokładzie, a ręczę panu, że nie zdoła mi się wymknąć.

— Życzę tego panu, panie Fix, gdyż idzie tu o znaczną kradzież.

— O ogromną kradzież! — zawołał Fix z przejęciem. — Pięćdziesiąt pięć tysięcy funtów! Nie często trafia się podobna gratka. Rasa Sheppardów wyradza się, złodzieje pozwalają się wieszać za parę szylingów.

— Panie Fix — rzekł na to agent konsulatu — mówi pan z takim zapalem, że mogę panu tylko życzyć jak najszybszego powodzenia. Powtarzam jednak, że w tych warunkach będzie to dość trudne. Wie pan dobrze, że według rysopisu pański złodziej jest zupełnie podobny do uczciwego człowieka.

— Panie konsulu — rzekł poważnie inspektor policji — wielcy złodzieje mają zawsze wygląd porządnych ludzi. Rozumie pan, że ludzie z fizjonomią nicponiów muszą pozostać uczciwi, inaczej zaraz by ich aresztowano. Zaś fizjonomie uczciwe trzeba dopiero umieć zdemaskować. To dość trudna praca, przyznaję. Nie jest to prosty zawód — wchodzi w zakres sztuki.

Jak widzimy, pan Fix posiadał dość dużą dozę miłości własnej.

Tymczasem przystań stopniowo się ożywiła. Napełniali ją marynarze różnych narodowości, kupcy, pośrednicy, posłańcy itd. Widocznie statek powinien niedługo nadejść. Pogoda była dość ładna, tylko wschodni wiatr ochładzał powietrze. Przy bladym blasku słońca zarysowało się w dali kilka minaretów. Na powierzchni Morza Czerwonego szybowało parę statków przeznaczonych do rybołówstwa lub transportu, z których kilka zachowało piękną formę starożytnych galer.

Kręcąc się w tłumie, Fix z przyzwyczajenia badawczo spoglądał na przechodniów. Wybiła dziesiąta.

— Ależ ten statek nigdy nie nadejdzie! — wykrzyknął zniecierpliwiony w najwyższym stopniu.

— Nie może być daleko — odparł konsul.

— Jak długo zatrzyma się w Suezie?

— Na cztery godziny, podczas których zaopatrzy się w węgiel.

— A z Suezu udaje się wprost do Bombaju?

— Wprost, nigdzie nie zawijając.

— W takim razie, jeśli złodziej znajduje się na tym statku, wysiadzie zapewne w Suezie, żeby się inną drogą przedostać się do kolonii holenderskich lub francuskich w Azji. Wie zapewne, że trudno mu się będzie schronić w Indiach, które należą do Anglii.

— O ile to jest człowiek przebiegły — odparł konsul. — Pan wie najlepiej, że angielski zbrodniarz lepiej się ukryje w Londynie niż gdzie indziej.

Po wypowiedzeniu tego zdania, które dało panu Fixowi wiele do myślenia, konsul udał się do biura znajdującego się w niewielkiej odległości od przystani. Agent pozostał sam i zaczął się ogromnie niecierpliwić. Do dziwnego przekonania, że poszukiwana przez niego osoba znajduje się na „Mongolii”, domieszał się niepokój. „A nuż — myślał — złodziej, opuściwszy Anglię z zamiarem udania się do Nowego Świata, wybrał drogę przez Indie, mniej strzeżoną, trudniejszą do obserwacji policyjnej niż szlak przez Atlantyk”.

Rozmyślenia pana Fix przerwane zostały kilkakrotnym głośnym świstem, zwiastującym przybycie statku.

Dwanaście łódek odbiło od brzegu i podążyło naprzeciw „Mongolii”. Wkrótce u wejścia do kanału ukazał się olbrzymi kadłub i ogromny statek, sapiąc i dysząc, zbliżał się do portu. Punktualnie o jedenastej zarzucono kotwicę i wypuszczono parę, która głośno sycząc, ulatniała się przez komin.

Statek wiozł znaczną liczbę pasażerów. Jedni z nich pozostali na pokładzie, aby podziwiać malowniczy widok miasta, inni zaś — do tych należała większość — wysiedli na brzeg.

Tym ostatnim Fix bacznie się przyglądał. W tej właśnie chwili jeden z pasażerów, silnie odepchnąwszy natarczywie ofiarującego swe usługi fellaha, zbliżył się do Fixa i grzecznie prosząc o wskazanie biura konsula, pokazał mu zarazem paszport, który zapewne chciał podać do wizy.

Fix machinalnie wziął papier do ręki, lecz rzuciwszy okiem na rysopis, ledwie powstrzymał się od okrzyku. Papier zadrżał w jego ręku. Rysopis na paszporcie nieznanego w zupełności odpowiadał przysłanemu przez dyrektora policji z Londynu.

— To pański paszport? — spytał.

— Nie, to paszport mego pana.

— A gdzież on jest?

— Pozostał na statku.

– Ależ on musi pójść osobiście do biura konsula, aby dowieść tożsamości swej osoby.

– Czy to konieczne?

– Nieuniknione.

– Gdzie się znajduje biuro konsula?

– Tam, na placu — odrzekł inspektor policji, wskazując dom znajdujący się o jakieś dwieście kroków od nich.

– W takim razie muszę odszukać mego pana, któremu to wcale nie będzie się podobać, gdyż nie lubi się trudzić.

Po tych słowach nieznajomy, pożegnawszy pana Fixa, udał się na pokład statku.

Rozdział VII. Nieużyteczność paszportu wobec policji

Inspektor policji opuścił przystań i szybkim krokiem podążył do biura konsula. Tam, na jego usilną prośbę, wpuszczono go natychmiast do przedstawiciela Anglii.

– Panie konsulu — zaczął pan Fix bez wstępu — mam ważne powody, żeby uważać, że poszukiwany przeze mnie człowiek znajduje się na „Mongolii”.

Tu opowiedział mu o spotkaniu z nieznajomym i o paszporcie, który ten mu pokazał.

– Dobrze, panie Fix, chciałbym już widzieć oblicze tego nicponia. Lecz jeśli to jest rzeczywiście osobnik, którego pan poszukuje, to nie zgłosi się do mojego biura. Złodziej nie zwykł pozostawiać po sobie śladów; tym bardziej, że formalność wizowania paszportów nie jest wcale obowiązkowa.

– Panie konsulu — odpowiedział agent — jeśli mój złodziej jest człowiekiem przebiegłym, to na pewno przyjdzie wizować paszport!

– Żeby przedłożyć paszport do wizowania?

– Tak. Paszporty uczciwym ludziom zwykle sprawiają tylko kłopot, a złodziejom ułatwiają ucieczkę. Zapewniam pana, że i ten paszport będzie w porządku, ale mam nadzieję, że mu go pan nie poświadczy.

– A dlaczegożby nie? Jeśli paszport będzie w porządku, nie mam prawa odmawiać mu wizy.

– Ale, panie konsulu, tego człowieka trzeba tu koniecznie zatrzymać, dopóki nie nadejdzie z Londynu rozkaz aresztowania.

– O, to pańska rzecz, panie Fix, ale ja nie mogę...

Konsul nie skończył zdania, gdyż w tej chwili woźny zapowiedział przybycie dwóch nieznajomych. Do pokoju weszli pan i służący. Pan przedstawił swój paszport, prosząc lakonicznie konsula o zawizowanie. Konsul, wzięwszy do rąk paszport, czytał uważnie, podczas gdy Fix z kąta gabinetu obserwował, a raczej pożerał wzrokiem nieznajomego.

Skończywszy czytać, konsul zwrócił się do podróżnych.

— Pan jest Phileas Fogg? — spytał.

— Tak, panie — odrzekł dżentelmen.

— A ten człowiek jest pańskim służącym?

— Tak, to Francuz i nazywa się Obieżyświat.

— Pan przybywa z Londynu?

— Tak.

— Jedzie pan?...

— Do Bombaju.

— Dobrze. Pan wie, że podanie paszportów do wizy jest zbyteczne, ponieważ wcale tego nie wymagamy?

— Wiem o tym, panie, lecz chcę, by w ten sposób został poświadczony mój przejazd przez Suez.

— A więc dobrze.

Z tymi słowami konsul podpisał paszport i zaznaczywszy datę, przyłożył pieczęć. Nieznajomy podziękował chłodno i w towarzystwie służącego wyszedł z pokoju.

— A więc?... — spytał inspektor policji.

— No cóż — odparł konsul — ma wygląd człowieka na wskroś uczciwego.

— Być może — odparł Fix — lecz nie o to mi chodzi. Czy nie uważa pan, że ten flegmatyczny dżentelmen jest łudząco podobny do złodzieja z rysopisu?

— Tak, to prawda, ale te wszystkie rysopisy...

— O, ja już to zbadam. Służący wydaje się mniej trudny do odcyfrowania. Przy tym to Francuz i jako taki nie powstrzyma się od gadania. Do widzenia panie konsulu.

Rzekłszy to, agent wyszedł, by odszukać Obieżyświata.

Tymczasem pan Fogg, opuściwszy konsulat, udał się w kierunku przystani. Wsiadł do łódki, która zawiozła go na „Mongolię”. Przeszedłszy do kajuty, wyjął z kieszeni notes, w którym było zapisane, co następuje:

Wyjazd z Londynu, środa, 2 października, 8:45 wieczorem.

Przybycie do Paryża, czwartek, 3 października, 7:20 rano.

Wyjazd z Paryża, w czwartek, 8:04 rano.

Przybycie przez Mont Cenis do Turynu, piątek, 4 października, 6:35 rano.

Wyjazd z Turynu, piątek, 4 października, 7:20 rano.

Przybycie do Brindisi, sobota, 5 października, 4:00 po południu.

Zaokrętowanie na statek „Mongolia”, sobota, 5:00 po południu.

Przybycie do Suez, środa, 9 października, 11:00 rano.

Ogółem spędziłem w drodze 158¹/₂ godziny, czyli 6¹/₂ dnia.

Daty te pan Fogg zapisywał do notatnika podzielonego na kolumny, w których poczynawszy od 2 października do 21 grudnia wpisane były daty, dni tygodnia i miesiąca, godziny przybycia pociągów i statków według rozkładu, ich opóźnienie lub przedwczesne przybycie w każdym z głównych punktów: w Paryżu, Brindisi, Suezie, Bombaju, Kalkucie, Singapurze, Hongkongu, Jokohamie, San Francisco, Nowym Jorku, Liverpoolu, Londynie. W ten sposób łatwo mógł obliczyć sumę zyskanych lub straconych godzin w każdym z przebytych miast.

W dniu, o którym mowa, w środę, 9 października, zapisał swe przybycie do Suez, zaznaczając, że statek zawinął do portu o oznaczonej godzinie, z czego wynikało, że pan Fogg nic na czasie nie zyskał ani nie stracił.

Skończywszy zapisywanie, kazał sobie przynieść śniadanie do kajuty, nie myśląc wcale o zwiedzaniu miasta. Należał do rasy pozostawiającej to zajęcie swym służącym.

Rozdział VIII. Obieżyświat gadułą

Fix po paru minutach dogonił na przystani Obieżyświata, który przyglądał się wszystkiemu z wielką ciekawością.

— No cóż, mój przyjacielu — spytał go Fix — czy twój paszport już zawizowano?

— Ach, to pan! — odparł Francuz. — Dziękuję panu, jesteśmy w zupełnym porządku.

— A pan zwiedza miasto?

— Tak, ale my podróżujemy tak prędko, że zdaje mi się, że to wszystko odbywa się we śnie. Jesteśmy teraz w Suezie, nieprawdaż?

— Tak, w Suezie.

— W Egipcie?

— W Egipcie.

— W Afryce?

— W Afryce.

— W Afryce — powtórzył Obieżyświat. — Trudno mi nawet w to uwierzyć. Niech pan sobie wyobrazi, że zdawało mi się, iż jestem jeszcze w Paryżu; tę piękną stolicę widziałem tylko przez szyby dorożki w ulewnym deszczu, przejazdem z Dworca Północnego na Dworzec Lyoński. Jaka szkoda! Z jaką radością zwiedziłbym Péré-Lachaise i cyrk na Polach Elizejskich.

— Zapewne bardzo się pan spieszy? — spytał inspektor policji.

— Ja nie, lecz mój pan. Aha, dobrze, że sobie przypomniałem. Muszę kupić koszulę i pończochy. Wyjechaliśmy bez rzeczy, za cały bagaż mając tylko torbę podróżną.

— Zaprowadzę pana do sklepu, gdzie będzie pan mógł we wszystko się zaopatrzyć.

— Bardzo pan uprzejmy!

Po czym udali się razem w drogę.

— Żebym się tylko nie spóźnił — rzekł Obieżyświat.

— Ma pan jeszcze dosyć czasu — rzekł Fix. — Nie ma jeszcze południa.

Obieżyświat wyciągnął z kieszeni swą dużą „cebule”.

— Południe? — rzekł. — Cóż znowu, jest dopiero dziewiąta pięćdziesiąt dwie.

— Pański zegarek się spóźnia.

— Mój zegarek? Zegarek rodzinny, który mam po moim pradziadku. On się przez cały rok ani pięć minut nie spóźnia. To prawdziwy chronometr.

— Już wiem, o co chodzi — odparł Fix. — Zegarek wskazuje godzinę, jaka jest obecnie w Londynie, co daje jakieś dwie godziny opóźnienia w stosunku do czasu w Suezie. Niech pan pamięta, żeby w każdym kraju nastawiać zegarek według słońca w południe.

— Co, miałbym przestawiać mój zegarek? — zawołał Obieżyświat. — Nie, nigdy!

— W takim razie nie będzie się zgadzał ze słońcem.

— Tym gorzej dla słońca!

Z tymi słowami poczciwiec pełnym powagi ruchem wsunął zegarek do kieszeni.

Po kilku chwilach Fix spytał Obieżyświata:

— Zapewne nagle opuściliście Londyn?

— O tak! W ostatnią środę pan Fogg wbrew swemu przyzwyczajeniu wrócił z klubu o ósmej i w trzy kwadransy potem ruszyliśmy w drogę.

— A dokąd się udaje pański chlebobawca?

— Ciągłe przed siebie; odbywa podróż dookoła świata.

— Podróż dookoła świata? — zdziwił się Fix.

— Tak, w osiemdziesiąt dni! Idzie mu niby o zakład, ale, między nami mówiąc, ja w to nie wierzę. To by nie miało sensu. Musi być w tym coś innego.

— A to oryginał, ten pan Fogg.

— Ja myślę.

— Jest pewnie bogaty?

— Niewątpliwie. Ma z sobą okazałą sumkę w nowiuteńkich banknotach. Nie żałuje pieniędzy w drodze. Przypomina mi się, że obiecał piękną nagrodę kapitanowi statku „Mongolia” w razie przybycia o parę godzin wcześniej do Bombaju.

— A dawno zna pan swego chlebodawcę?

— Ja? — odparł Obieżyświat. — Wstąpiłem na służbę w dniu naszego wyjazdu.

Można sobie wyobrazić wrażenie, jakie sprawiły te słowa na i tak już rozgorączkowanym umyśle agenta.

Ten nagły wyjazd z Londynu, duża suma pieniężna, o której mówił Francuz, pośpiech w podróży i wreszcie pretekst w postaci tak dziwnego zakładu — wszystko to utwierdzało pana Fixa w powziętym mniemaniu. Rozmawiając w dalszym ciągu z Francuzem, dowiedział się, że chłopak nie znał wcale swego pana, że ten ostatni mieszkał w odosobnieniu w Londynie, że miano go za bogatego, nie wiedząc nic o źródle jego dochodów, że był człowiekiem trudnym do zgłębienia itp. itp. W tej chwili pan Fix był przekonany, że pan Fogg nie wysiądzie w Suezie i że naprawdę udaje się do Bombaju.

— Czy daleko stąd do Bombaju? — spytał Obieżyświat.

— Dość daleko — odparł agent. — Spędzicie zapewne dwanaście dni na morzu.

— A gdzie leży Bombaj?

— W Indiach.

— W Azji?

— Naturalnie.

— Tam do licha! Powiem panu... jest coś, co mnie martwi... to płomień gazu...

— Jaki płomień gazu?

— Płomień gazu, który zapomniałem zgasić i który pali się obecnie na mój koszt. Obliczyłem, że w ciągu dwudziestu czterech godzin wypali się gazu za dwa szylingi, co przewyższa o sześć pensów moją pensję. Pojmuje więc pan, że im dłużej przeciągnie się podróż, tym...

Czy Fix zrozumiał historię z gazem? Trudno przypuścić. Nie słuchał go więcej i układał w myśli plan działania.

Przybyli wreszcie na rynek. Fix pozostawił tu swego towarzysza i upominając go, aby się nie spóźnił na statek, sam udał się spieszenie do konsula. Teraz, kiedy nabrał pewności, że jego przypuszczenia są trafne, odzyskał swą zimną krew.

— Panie — rzekł do konsula — nie mam już najmniejszej wątpliwości co do tego pana. Chce uchodzić za dziwaka, który ma zamiar odbyć podróż dookoła świata w osiemdziesiąt dni.

— Ależ to przebiegły jegomość! — odparł konsul. — Zamierza powrócić do Londynu, wymknąwszy się z rąk policji wszystkich części świata.

— Zobaczymy — odparł Fix.

— Ale czy się pan czasami nie myli?

— Ja się nie mylę.

— W takim razie dlaczego temu złodziejowi zależało na potwierdzeniu wizą jego przejazdu przez Suez?

— Na to nie mogę nic odpowiedzieć, panie konsulu, bo sam nie wiem. Ale niech pan posłucha.

I w kilku słowach agent streścił swoją rozmowę ze służącym pana Fogga, kładąc nacisk na niektóre obciążające szczegóły.

— W samej rzeczy, wszystkie te poszlaki są przeciw temu panu. I cóż zamierza pan zrobić?

— Zatelegrafować w tej chwili, żądając nadesłania rozkazu aresztowania pana Fogga w Bombaju, następnie wsiąść na „Mongolię” i towarzyszyć memu złodziejowi do Indii i tam, na tej ziemi angielskiej, trzymając w jednej ręce rozkaz aresztowania, drugą kładąc mu na ramieniu, delikatnie go zatrzymać.

Wypowiedziawszy te słowa, agent pożegnał konsula i udał się do biura telegraficznego. Stąd wysłał do zarządu policji w Londynie telegram, treść którego jest nam już znana. W kwadrans później pan Fix z małą walizką w ręku, dobrze zaopatrzony w pieniądze, wsiadł na pokład „Mongolii” i ten szybki statek jak strzała pomknął po falach Morza Czerwonego.

Rozdział IX. Wszystko sprzyja planom pana Fogga

Według rozkładu odległość między Suezem i Adenem, równa tysiąc trzystu dziesięciu milom, powinna zostać przebyta w ciągu stu trzydziestu ośmiu godzin. „Mongolia”, puszczona całą siłą pary, pędziła z taką szybkością, iż można było

przypuszczać, że wcześniej przybędzie na miejsce. Większość podróżnych na statku udawała się do Indii.

Jedni spieszyli do Bombaju, drudzy do Kalkuty. Między pasażerami znajdowało się kilku wyższych urzędników i sporo wojskowych.

Życie na „Mongolii” upływało bardzo przyjemnie. Intendent, zaufany człowiek kompanii, zajmował się organizowaniem pobytu na statku.

Rano przy śniadaniu, przy lunchu o godzinie drugiej po południu, przy obiedzie o godzinie wpół do szóstej i przy kolacji o ósmej stoły uginały się pod ciężarem różnych świeżych mięs i wykwintnych zakąsek.

Podróżujące panie, a było ich kilka, zmieniały dwa razy dziennie toalety. Grano, śpiewano, a nawet tańczono, o ile stan morza na to pozwalał.

Zdarzało się często, że od strony Azji lub Afryki zrywał się szalony wiatr i rzucał „Mongolią” jak łupiną orzecha. Wtedy panie znikwały, milkły śpiewy, muzyka i tańce ustawały.

Jednak pomimo burz, pomimo wichury, statek z największą szybkością dotarł do Bab al-Mandab.

Cóż porabiał pan Fogg? Można by sądzić, że zawsze trwożny i zaniepokojony obserwował każdą zmianę wiatru, drżał podczas każdej burzy, mogącej mieć dla „Mongolii” niemiłe następstwa; jednym słowem, że bał się wszystkiego, co zmusiłoby statek do zatrzymania się w jakimś porcie. W rzeczywistości jednak nic podobnego nie miało miejsca, nie wzruszał się niczym. Żaden wypadek, żadna okoliczność, nie mogły go wyprowadzić z równowagi. Prawie nigdy nie widziano go na pokładzie; nic go nie obchodziło Morze Czerwone, ta arena tylu scen historycznych, tak bogata we wspomnienia. Nigdy go nie zaciekawiał widok malowniczych miast rozsypanych na jego brzegach. Nie myślał nawet o niebezpieczeństwach, jakie przedstawiała Zatoka Arabska, o której starożytni historycy opowiadali z przerażeniem. Cóż więc robił ten oryginał dobrowolnie więziony na „Mongolii”? Otóż jadał cztery razy dziennie, a potem grywał w wista. Znalazł trzech partnerów: jakiegoś poborcę podatków jadącego objąć posadę w Goa, ministra Decimusa Smitha wracającego do Bombaju i generała wojsk angielskich, którego oddział stał w Benares.

Panowie ci, tak jak pan Fogg, byli namiętными amatorami wista; grywali więc z zapalem całymi godzinami. Co się tyczy Obieżyświata, ten pędził na statku życie bardzo wygodne. Miał swoją kajutę, jadł i pił należycie, nie wiedząc nic o morskiej chorobie.

Ostatecznie pogodził się już ze swoim losem, podróż w takich warunkach nie była dla niego wcale przykra, przy tym w duchu był przekonany, że zakończy się ona w Bombaju.

Nazajutrz po wyjeździe z Suez, to jest 10 października, Obieżyświat, wyszedłszy na pokład, spotkał znajomego z Suez.

— Jeżeli się nie mylę — rzekł do niego — to pan tak uprzejmie ofiarował mi się za przewodnika w Suezie?

— W samej rzeczy — odrzekł agent. — Poznaję pana! Jest pan służącym tego Anglika, dziwaka.

— Tak, panie...

— Fix.

— ...panie Fix. Cieszę się bardzo, że spotykam tu pana na pokładzie. A pan dokąd jedzie?

— Także do Bombaju.

— Ach, tym lepiej! Czy pan już kiedyś odbył tę drogę?

— Kilka razy — odrzekł Fix. — Jestem agentem Towarzystwa Indyjskiego.

— W takim razie pan zna Indie?

— Ależ tak... — odparł Fix, nie chcąc powiedzieć za wiele.

— Czy to ciekawy kraj, te Indie?

— Bardzo ciekawy! Minarety, świątynie, pagody, tygrysy, węże, bajaderki! Przypuszczam, że zwiedzicie te strony.

— Spodziewam się, panie Fix. Rozumie pan przecież, że człowiek przy zdrowych zmysłach nie skacze z kolei na statek i ze statku na kolej pod pozorem odbycia podróży dookoła świata w osiemdziesięciu dniach. Cała ta gimnastyka skończy się w Bombaju, nie wątpię o tym wcale.

— Czy pan Fogg dobrze się czuje? — spytał Fix naturalnym tonem.

— Doskonale panie Fix, ja również czuję się wyśmienicie. Mam olbrzymi apetyt. Morskie powietrze wybornie działa.

— Wie pan co, panie Obieżyświacie, zdaje mi się, że pod tą rzekomą podróżą ukrywa się jakaś tajemnicza misja.

— Być może; ale zapewniam pana, panie Fix, że nic o tym nie wiem. Zresztą, nie dałbym nawet pół korony, żeby się dowiedzieć.

Od tego spotkania Obieżyświat i Fix często z sobą rozmawiali. Inspektor policji starał zbliżyć się do lokaja pana Fogg. Częstował go szklanką whisky albo grogu, którą pocziwiec przyjmował bez ceremonii.

Tymczasem statek szybko mknął naprzód. 13 października ukazała się Mokka, otoczona łańcuchem ruin, spoza których gdzieniegdzie zieleniły się drzewa daktyłowe. W dali, w górach, roztaczały się obszerne pola kawy.

Widok tego sławnego miasta zachwycił Obieżyświata. Twierdza, ze swymi okrągłymi murami, jest podobna do ogromnej, płaskiej filizanki.

Podczas następnej nocy „Mongolia” opuściła cieśninę Bab al-Mandab, której arabska nazwa oznacza „Wrota Łez” i nazajutrz zatrzymała się w Steamer Point, na północny zachód od Adenu. Tam też miała zaopatrzyć się w potrzebny opał i żywność.

Wywołane tym opóźnienie nie popsuło panu Foggowi planów, uprzedzono go zresztą o tym. Poza tym „Mongolia”, zamiast przybyć do Adenu 15 października, dotarła tam już czternastego, zyskał więc piętnaście godzin.

Dżentelmen wraz z swym służącym zszedł na brzeg w celu wizowania paszportu. Fix posuwał się w pewnym oddaleniu za nimi. Załatwiwszy tę formalność, pan Fogg powrócił na statek do przerwanej partii wista.

Co się tyczy Obieżyświata, jak zwykle wmieszał się w różnorodny tłum Persów, Żydów, Arabów i Europejczyków. Podziwiał forty tworzące Gibraltar mórz indyjskich i wspaniałe fontanny, nad budową których pracowali inżynierowie angielscy dwa tysiące lat po inżynierach króla Salomona.

— To bardzo ciekawe, bardzo ciekawe — mówił do siebie Obieżyświat. — Uważam, że podróż jest bardzo pożyteczna, gdy chce się zobaczyć coś nowego.

O szóstej wieczorem „Mongolia” odbiła od brzegu i pomknęła w kierunku Indii. Pogoda sprzyjała, wiał wiatr północno-zachodni, żagle pomagały parze. Przy tak sprzyjających warunkach statek bez przeszkód posuwał się naprzód, kołysząc się spokojnie. Na pokładzie pojawiły się panie w lekkich toaletach. Rozpoczęły się tańce i śpiewy. W niedzielę, 20 października, około południa zarysowała się w dali ziemia Indii, a w dwie godziny później do statku dopłynęła łódź.

Wkrótce ukazały się całe rzędy palm upiększających miasto. Statek wpłynął w obszar przystani utworzonej z wysp Salcette, Colaba, Elephanta, Butcher, a o czwartej trzydzieści dobił do nabrzeży portu Bombaju.

„Mongolia”, mająca przybyć dopiero 22 października, przybyła dwudziestego.

Pan Fogg zyskał więc na czasie dwa dni, których nie omieszkał zapisać w odpowiedniej rubryce.

Rozdział X. Przygody Obieżyświata

Wszystkim zapewne wiadomo, że Indie, ten wielki trójkąt, którego podstawa znajduje się na północy, a wierzchołek na południu, zajmują obszar o powierzchni miliona czterystu tysięcy mil kwadratowych. Na tym olbrzymim terytorium mieści się prawie sto osiemdziesiąt milionów mieszkańców. Pewna część tego kraju znajduje się pod rządem brytyjskim.

Indie zaś tzw. angielskie, rozciągają się zaledwie na siedmiuset tysiącach mil kwadratowych z ludnością około studzięciemilionową. Widzimy więc, że większa część tego kraju wymknęła się spod władzy Anglii i zachowała niezależność.

Wygląd tego kraju, jego zwyczaje, podział etnograficzny zmieniają się szybko. Dawniej podróżowano tu sposobem bardzo prostym, pieszo, konno, w lektykach lub na plecach ludzi. Teraz zaś na rzekach indyjskich kursują statki, a kolej żelazna, przecinająca Indie na całej szerokości, umożliwia odbycie podróży z Bombaju do Kalkuty w ciągu trzech dni.

O wpół do piątej po południu pasażerowie „Mongolii” wysiedli w Bombaju. Pociąg do Kalkuty odjeżdżał dopiero o ósmej. Pan Fogg pożegnał swych partnerów, wydał służącemu szczegółowe dyspozycje co do niektórych zakupów i upominając, aby się stawił na dworcu przed ósmą, udał się miarowym krokiem do biura paszportowego. Miasto z jego osobliwościami nie obchodziło go wcale. Ani hotele, ani bogata biblioteka, ani rynki z kretonami, ani sklepy, ani synagogi, ani ormiańskie kościoły nie zwróciły jego uwagi. Nie obdarzył ani jednym spojrzeniem arcydzieł wyspy Elephanty ani grot Kanheri na wyspie Salcette, wszystkich tych pięknych zabytków architektury buddyjskiej.

Powróciwszy na przystań, pan Fogg kazał sobie podać obiad. Między innymi daniami gospodarz gorąco polecał jakąś potrawkę z królika, opowiadając cuda o jej delikatnym smaku. Pan Fogg przystał na królika, lecz po pierwszym kęsie stwierdził, że jest obrzydliwy. Natychmiast zadzwonił na gospodarza.

- Panie — rzekł, patrząc nań badawczo — czy to ma być królik?
- Tak, milordzie — odparł śmiało gospodarz. — To młody królik.
- Czy królik ten nie miauczał czasami, gdy go zabijano?

— Miauczał? O, milordzie! Przysięgam...

— Panie gospodarzu — odparł chłodno pan Fogg — nie przysięgaj i przypomnij sobie, że dawniej w Indiach uważano koty za święte. Były to dobre czasy.

— Dla kotów, milordzie.

— A być może, że i dla podróżników!

Zrobiwszy powyższą uwagę, pan Fogg dokończył przerwany obiad.

W parę minut po panu Foggu statek opuścił także Fix i co tchu pospieszył do dyrektora policji w Bombaju. Przedstawivszy się jako agent policyjny, opowiedział mu o swej misji. Na pytanie, czy rozkaz aresztowania już nadszedł, otrzymał przeczącą odpowiedź. Fix był zbity z tropu. Próbował wymóc na dyrektorze, aby ten wydał nakaz aresztowania pana Fogga. Dyrektor odmówił. Sprawa dotyczyła administracji londyńskiej i tylko ona mogła wydawać podobne rozkazy. To ściśle przestrzeganie przepisów było zupełnie zgodne z angielskimi zwyczajami, które w sprawach dotyczących swobody osobistej nie znają ustępstwa. Toteż Fix nie nalegał, zamierzał ze spokojem oczekiwać nadejścia rozkazu.

Postanowił jednak nie tracić z oczu swego tajemniczego nicponia przez cały czas jego pobytu w Bombaju. Agent, tak samo jak Obieżyświat, nie wątpił, że Phileas Fogg zatrzyma się w tym mieście przez jakiś czas. Cieszył się z tego, mając nadzieję, że w tym czasie nadejdzie rozkaz aresztowania.

Co do Obieżyświata, to ten, ku swemu wielkiemu niezadowoleniu z instrukcji swego pana, zrozumiał, że w Bombaju będzie to samo co w Paryżu i w Suezie, że ich podróż się nie skończy i pojedą zapewne do Kalkuty albo i dalej. Zapytywał się w duchu, czy zakład pana Fogga był całkiem poważny i czy zły los nie spletał mu figła, zmuszając go, tak pragnącego spokoju, do objechania świata w osiemdziesięciu dniach. Kupivszy koszule i skarpetki, pocziwiec spacerował po ulicach Bombaju. Tego dnia na ulicach miasta panował ogromny ruch i zgiełk. Zapelniały je tłumy Europejczyków wszystkich narodowości, Persów w spiczastych czapkach, Bunhyów w okrągłych turbanach, Armeńczyków w długich sukniach itd. Parsowie, czyli Gwebrowie, obchodzili tego dnia święto. Są oni najbardziej cywilizowaną i wykształconą rasą wśród mieszkańców Indii, do której należą także najzamożniejsi kupcy w Bombaju.

W tym dniu święcili rodzaj karnawału religijnego z procesjami i przedstawieniami, w których brały udział bajaderki, przystrojone w różową gazę przetykaną złotem i srebrem. Przy dźwiękach instrumentów muzycznych tańczyły lekko, z nadzwyczajną

gracją. Obieżyświat z szeroko otwartymi oczami i ustami przyglądał się tym ceremoniom, a na twarzy jego malowały się na przemian podziw i zdumienie.

Na nieszczęście dla niego i dla pana Fogga, któremu mógł popsuć szyki, ciekawość jego nie zadowoliła się tym jednym widokiem. Przechodząc koło pięknej świątyni na Malabar Hill, powziął nieszczęsną myśl zwiedzenia jej. Nie wiedział biedaczysko, że wstęp do niektórych świątyń hinduskich jest surowo wzbroniony chrześcijanom i że nawet wierni, wchodząc tam, winni zdjąć obuwie. Trzeba zaznaczyć, że rząd angielski szanował w najdrobniejszych szczegółach religię kraju i surowo karał każdego obrażającego obrzędy religijne. Obieżyświat, wszedłszy do świątyni bez złej myśli, jak zwykły turysta olśniony przepychem ornamentacji bramińskiej, przyglądał się ciekawie, gdy jakieś silne ramię rzuciło go na świętą podłogę. Zanim się opamiętał, trzech kapłani napadli na niego, zerwali mu z nóg obuwie i zaczęli go okładać pięściami, wydając dzikie wrzaski. Zręczny i ruchliwy Francuz szybko się podniósł. Jednym uderzeniem pięści i kopnięciem nogi oswobodził się od napastników zaplątanych w swych długich szatach i wydostawszy się z pagody, pędził z całej siły, pozostawiając daleko za sobą Hindusa usiłującego go dogonić.

Na pięć minut przed odejściem pociągu Obieżyświat bez czapki, bosy, zgubiwszy w popłochu pakiet ze sprawunkami, przybiegł na dworzec kolei żelaznej.

Pan Fix był już na stacji. Odprowadziwszy pana Fogga na kolej, zrozumiał, że zamierza on opuścić Bombaj. Postanowił więc jechać z nim razem do Kalkuty, a choćby i dalej, gdyby było trzeba. Obieżyświat, nadbiegłszy, opowiedział krótko swemu panu awanturę, jaka go spotkała, a Fix, niezauważony przez nikogo, wysłuchał całej historii.

— Spodziewam się, że już nic podobnego się nie zdarzy — rzekł spokojnie pan Fogg, zajmując miejsce w wagonie.

Biedny chłopak, bosy i zmieszany, bez słowa zajął swoje miejsce. Co do Fixa, to już miał wsiąść do wagonu, gdy nagła myśl zupełnie zmieniła jego zamiary.

— Zostaję — rzekł do siebie. — Popelniono świętokradztwo na ziemi indyjskiej. Już cię mam, złodzieju!

W tej chwili lokomotywa gwizdnęła przeraźliwie i pociąg znikł w ciemnościach nocy.

Rozdział XI. Phileas Fogg kupuje słonia

Pociąg odjechał o zwykłej porze. Wiózł w swych wagonach dużą liczbę pasażerów, kilku oficerów, urzędników cywilnych, kupców opium i indygo, których interesy wzywały na wschodnie wybrzeże.

W wagonie zajmowanym przez naszych znajomych znajdował się jeszcze trzeci pasażer. Był nim generał Cromarty, jeden z partnerów pana Fogga na „Mongolii”, który zdążył do swych wojsk stacjonujących w Benares.

Franciszek Cromarty był to wysoki blondyn w wieku pięćdziesięciu lat. Od najmłodszych lat mieszkał w Indiach i tylko od czasu do czasu odwiedzał swój rodzinny kraj. Generał był człowiekiem wykształconym, który chętnie udzieliłby wskazówek co do zwyczajów, historii organizacji kraju Hindusów itp., gdyby pan Fogg zechciał czegoś się o tym dowiedzieć. Lecz dżentelmen ten nie pytał o nic. W tej chwili obliczał liczbę godzin spędzonych w podróży i wyniki były takie, że zatarłby ręce z zadowoleniem, gdyby nie należał do ludzi unikających wszelkich zbytecznych ruchów. Pan Franciszek Cromarty, pomimo że widział go tylko z kartami w ręku, znał go już nieco.

Zastanawiając się nad dziwną postacią pana Fogga, zapytywał się w duchu, czy pod tą chłodną powłoką biło człowiecze serce, czy jegomość ten mógł być wrażliwy na piękno natury i mieć jakiegokolwiek dążenia.

Pan Fogg był dla generała ciekawym okazem i ze wszystkich napotykanym oryginałów największym dziwakiem. Phileas Fogg nie ukrywał przed Franciszkiem Cromartym projektu podróży dookoła świata ani też warunków, w jakich ją odbywa. Generał brygady widział w tym zakładzie ekscentryczność bez pożytecznego celu, którym się zawsze powinien kierować człowiek myślący i rozumny.

W godzinę po wyjeździe z Bombaju pociąg przebył wyspę Salcette i podążył w stronę stałego lądu. W Kalian, minąwszy leżącą po prawej stronie stacji odnogę prowadzącą przez Kandallah i Pune do południowo-wschodnich Indii, skierował się do najbliższego przystanku w Pauwell. Tu zapuścił się w bardzo strome Ghaty Zachodnie, bazaltowe góry, których najwyższe wierzchołki pokryte są gęstymi drzewami.

Od czasu do czasu pan Cromarty z panem Foggiem zamieniali kilka słów. W tej chwili generał na nowo wszczął rozmowę, urywaną co chwila.

— Parę lat temu, panie Fogg, miało miejsce opóźnienie, które na pewno popsułoby pański projekt.

— Dlaczego?

— Dlatego że pociąg zatrzymał się u stóp tych gór i trzeba je było przebywać na kucach lub na grzbiecie słonia do stacji Kandallah, leżącej po przeciwnej stronie.

— Opóźnienie nie może zmienić mojego planu — odparł pan Fogg — gdyż przewidziałem możliwość pewnych przeszkód.

— Powinien pan jednak wiedzieć, panie Fogg — odparł generał — że czeka pana niemiła historia z powodu awantury tego chłopca. Rząd angielski surowo karze tego rodzaju przestępstwa — ciągnął dalej — bowiem bardzo zważa na to, żeby szanowano religijne obrzędy Hindusów. A gdyby pańskiego służącego zatrzymano...

— Cóż wtedy? Gdyby go zatrzymano, zostałby skazany, odsiedziałby karę i powrócił najspokojniej do Europy. Nie widzę przyczyny, z powodu której moja sprawa miałaby ucierpieć.

Rozmowa znowu się urwała. Podczas nocy pociąg przebył Ghaty i miasto Nasik i nazajutrz, 21 października, zapuścił się w płaską krainę, terytorium Kandesz. Napotymano tu dobrze utrzymane wsie, pełne dostatnich chat; kopuły świątyni zastępowały dzwonnice kościołów europejskich. Mnóstwo małych strumyków upiększało tę urodzajną okolicę.

Przebudziwszy się, Obieżyświat patrzył i nie mógł uwierzyć, że przebywał Indie. Jednak przekonywał się o tym niezbitcie. Lokomotywa, prowadzona ręką angielskiego maszynisty i ogrzewana angielskim węglem, okopcała swym dymem plantacje kawy, drzewa muszkatołowe, gwoździkowe i krzaczki czerwonego pieprzu. Para kłębami wznosiła się nad różnymi punktami, między którymi ukazywały się malownicze chatki, klasztory i świątynie z ozdobami architektury hinduskiej. Następnie ukazywały się ogromne przestrzenie pełne tygrysów i węży, wreszcie lasy, w których stąpały słonie, spoglądające poważnie na mknący szybko pociąg.

Tego właśnie poranka, za stacją Malligaum, podróżni przebywali tę okropną okolicę, tak często skrapianą krwią ofiar sekciarzy bogini Kali. W pobliżu wnosilo się miasto Eluru ze swymi prześlicznymi świątyniami; niedaleko znakomity Aurungabad, niegdyś stolica Aurangzeba, obecnie tylko główne miasto prowincji odłączonej od królestwa Nizam.

W tej właśnie okolicy roztaczał swą władzę Feringhea, wódz Thugów, tak zwany król Duszących. Mordercy, łącząc się w okropne stowarzyszenia, dusili na cześć bóstwa śmierci ofiary w każdym wieku. Bywały czasy, że na każdym kawalku tej ziemi napotykało się trupy. Rząd angielski starał się położyć kres tym morderstwom, lecz ohydne stowarzyszenie istnieje i działa w dalszym ciągu.

O wpół do pierwszej w południe pociąg zatrzymał się na stacji Burhampur. Tu Obieżyświat kupił sobie parę pantofli wyszywanych szklanymi paciorkami i założył je z uczuciem zadowolonej próżności. Po zjedzeniu śniadania podróżni pospieszyli na stację Assurghur, przebywszy małą rzeczkę Tapti, wpadającą do Zatoki Kambajskiej w pobliżu miasta Surat.

Co wówczas myślał Obieżyświat?

Aż do przyjazdu do Bombaju był w głębi duszy przekonany, że podróż tutaj się skończy, lecz teraz, od czasu, gdy unoszony z siłą pary przebywał Indie, w jego umyśle zaszła ogromna zmiana. Powrócił jego dawny temperament, nagle odżyły w nim fantastyczne dążenia jego młodości, zaczął poważnie zapatrywać się na projekt swego pana, uwierzył w istnienie zakładu i chęć odbycia podróży dookoła świata w tak krótkim czasie. Zaczęły go wówczas niepokoić myśli o możliwości spóźnienia się, o wypadkach mogących się wydarzyć w drodze. Zainteresował się bardzo sprawą zakładu i drżał na myśl, że mógł wszystko zniweczyć z powodu swej wczorajszej karygodnej ciekawości. Wciąż liczył dni spędzone w podróży; przeklinał postój pociągu, zarzucał mu powolność, miał pretensje do pana Fogga, że nie obiecał maszyniście nagrody. Poczciwy chłopak nie wiedział, że co było możliwe na statku, było niemożliwe na kolei, której prędkość jest ustalona.

Pod wieczór zapuszczono się w góry Sutpura.

Nazajutrz, 22 października, na pytanie Franciszka Cromarty'ego, która godzina, Obieżyświat, spojrzawszy na swój zegarek, odpowiedział, że jest trzecia rano.

W rzeczywistości ten znakomity zegarek, nastawiony według południka Greenwich, spóźniał się o cztery godziny. Pan Cromarty zrobił mu tę samą uwagę, co i Fix, starając się wytłumaczyć, że powinien regulować zegarek na każdym południku. Wszystko daremnie, uparty chłopak postanowił nie przesuwając wskazówki zegarka wskazującego czas londyński. Była to niewinna mania, która nikomu nie mogła szkodzić.

O ósmej rano, piętnaście mil od stacji Rothal, pociąg zatrzymał się w na środku obszernego placu okolonego chatkami rzemieślników. Konduktor przeszedł koło wagonów, wołając:

— Wysiadać!

Pan Fogg spojrzął na Franciszka Cromarty'ego, który nie mógł zrozumieć przyczyny zatrzymania się pociągu w środku lasu. Obieżyświat nie mniej zdumiony, wyskoczył z wagonu i powrócił natychmiast, wołając:

— Panie, nie ma już torów!

— Co chcesz przez to powiedzieć? — spytał pan Cromarty.

— Chcę powiedzieć, że pociąg dalej nie pojedzie.

Generał brygady natychmiast wysiadł z wagonu. Pan Fogg poszedł za jego przykładem, nie spiesząc się wcale. Obaj zwrócili się do konduktora:

— Gdzie jesteśmy? — spytał Franciszek Cromarty.

— W wiosce Kholby — odparł konduktor.

— Czy tu stajemy?

— Bez wątpienia. Kolej żelazna nie jest jeszcze dokończona.

— Jak to, nie jest dokończona?

— Nie jest. Pozostało do położenia pięćdziesiąt mil, dzielących to miejsce od Allahabadu, gdzie znów zaczynają się tory.

— Przecież gazety donosiły o otwarciu drogi żelaznej na całej przestrzeni?

— Cóż, generale, gazety się pomyliły.

— Ale sprzedajecie bilety z Bombaju do Kalkuty? — odparł Cromarty rozgniewany.

— Bez wątpienia — odpowiedział konduktor — ale podróżni dobrze wiedzą, że z Kholby do Allahabadu muszą się dostać w inny sposób.

Pan Cromarty był wściekły. Obieżyświat najchętniej udusiłby niewinnego konduktora; nie śmiał nawet spojrzeć na swego pana.

— Panie Franciszku — rzekł spokojnie pan Fogg — jeśli pan chce, poszukamy sposobu dotarcia do Allahabadu.

— Ależ, panie Fogg, przecież to spóźnienie może fatalnie wpłynąć na pańskie zamiary.

— Nie, panie Franciszku, gdyż było to przewidziane.

— Co, wiedział pan, że droga?...

— Nie, ale wiedziałem, że wcześniej czy później natrafię na jakąś przeszkodę. Ostatecznie nic jeszcze nie straciłem, mam dwa dni zapasu, które mogę poświęcić. Statek z Kalkuty do Hongkongu odpływa dwudziestego piątego w południe, dziś mamy dopiero dwudziesty drugi, więc zdążymy na czas.

Większość podróżnych wiedziała o tej przerwie w linii kolei żelaznej i wychodząc z pociągu, zajęła miejsca w różnego rodzaju pojazdach, w czterokołowych wózkach ciągnionych przez zebu, rodzaj jednogarbnych bawołów, w podróżnych wozach przypominających ruchome pagody, na kucach itp. Panowie Fogg i Cromarty, po przeszukaniu całej wioski, powrócili, nic nie znalazłszy.

— Pójdę pieszo — rzekł pan Fogg.

Obieżyświat, usłyszawszy te słowa, skrzywił się, spojrzawszy przy tym markotnie na swe piękne, ale niewygodne w pieszej podróży pantofle. Wtem zaświtała mu w głowie szczęśliwa myśl i zwrócił się do swego pana.

— Panie — rzekł — zdaje mi się, że znalazłem środek transportu.

— Jaki?

— Słonia, który należy do Hindusa mieszkającego o sto kroków stąd.

— Chodźmy obejrzyć tego słonia — rzekł pan Fogg.

W pięć minut później Phileas Fogg, Franciszek Cromarty i Obieżyświat przybyli do chaty stojącej obok wysokiej budy. W chacie znajdował się Hindus, w budzie zaś słoń. Na ich prośby Hindus wprowadził pana Fogga i jego towarzyszy do budy. Tam znaleźli na wpół oswojonego słonia, którego właściciel tresował do potrzeb wojennych. W tym celu zaczął zmieniać ciche i spokojne usposobienie zwierzęcia, stopniowo rozdrażniając zwierzę i doprowadzając je do paroksyzmów wściekłości, zwanych w języku Hindusów mutsh. Karmił go podczas trzech miesięcy cukrem i masłem. Na szczęście dla pana Fogga wychowanie słonia, o którym mowa, dopiero niedawno się rozpoczęło i mutsh się jeszcze nie objawił. Kiuni, bo tak się nazywało zwierzę, mógł jak wszystkie słonie, przez długi czas iść szybkim krokiem i wobec braku innego wierzchowca pan Fogg zdecydował się z niego skorzystać.

Słonie w Indiach, gdzie stają się coraz rzadsze, są bardzo drogie. Szczególnie poszukiwane są samce, ponieważ tylko one nadają się do walk w cyrku. Z tego też powodu są one przedmiotem ogromnej pieczołowitości. Gdy pan Fogg zaproponował Hindusowi, żeby pożyczył mu słonia, ten kategorycznie odmówił. Pan Fogg nalegał i zaproponował sumę dziesięciu funtów za godzinę, a gdy Hindus się nie zgodził, dawał dwadzieścia, wreszcie czterdzieści; właściciel słonia nadal się nie zgadzał. Obieżyświat skakał z oburzenia przy każdym podniesieniu ceny. Ale Hindus pozostał niewzruszony.

Pan Fogg, nie przejmując się wcale, zaproponował Hindusowi kupno zwierzęcia za tysiąc funtów. Hindus nie chciał sprzedać. Być może przeczuwał świetny interes.

Pan Cromarty wziął pana Fogga na stronę i radził dobrze się namyślić, zanim znowu podniesie cenę. Pan Fogg odrzekł swemu towarzyszowi, że nie zwykł nic czynić bez zastanowienia, że tu idzie o zakład dwudziestu tysięcy funtów szterlingów, że słoń ten jest mu niezbędny i że choćby mu przyszło dwadzieścia razy przepłacić wartość zwierzęcia, musi go mieć.

Pan Fogg zaofiarował Hindusowi tysiąc dwieście funtów, następnie tysiąc pięćset, potem tysiąc osiemset, w końcu dwa tysiące funtów. Gdy doszło do dwóch tysięcy funtów, Hindus się zgodził.

— Na moje pantofle! — wykrzyknął Obieżyświat. — Drogo nicpoń sprzedaje mięso słonia.

Po ubitym targu trzeba się było rozejrzeć za przewodnikiem. Znaleziono go niebawem. Młody Pars o inteligentnym wyglądzie zaofiarował swoje usługi.

Pan Fogg przyjął go, obiecując sowitą zapłatę. Przeprowadzono słonia i zajęto się jego wyekwipowaniem.

Pars dobrze znał rzemiosło przewodnika. Okrył grzbiet słonia rodzajem dery i umocował po bokach dwa kosze, niezbyt jednak wygodne.

Pan Fogg zapłacił Hindusowi banknotami wyjętymi ze znanej nam już torby podróżnej i zaproponował panu Cromarty'emu, by zabrał się wraz z nim do stacji Allahabad. Generał przyjął propozycję; jedna osoba więcej nie stanowiła różnicy dla tak olbrzymiego stworzenia.

Kupiono zapasy żywności, pan Cromarty zajął miejsce w jednym koszu, pan Fogg w drugim. Obieżyświat dosiadł słonia okrakiem między generałem a swym panem. Pars usadowił się na szyi słonia i o godzinie dziewiątej zwierzę, opuściwszy wioskę, weszło w gęsty las.

Rozdział XII. W lesie

By skrócić sobie drogę, przewodnik pozostawił po prawej stronie rozpoczętą linię kolejową. Linia ta, przerywana ciągle kapryśnymi odnogami gór Windhja, nie była najkrótsza. Przewodnik, bardzo dobrze obeznany ze wszystkimi drogami i ścieżkami swego kraju, przypuszczał, że przecinając las, skróci sobie drogę o jakieś dwadzieścia mil. Podróżni pozostawili mu w tym względzie zupełną swobodę.

Panowie Fogg i Cromarty, zagłębieni po szyję w swych koszach, z powodu szybkiego kroku słonia byli co chwila podrzucani w górę, co znosili z istic angielską flegmą, niewiele z sobą rozmawiając i nie widząc się prawie wcale. Co do Obieżyświata, to umieszczony na barkach zwierzęcia zajmował najmniej wygodną pozycję, wystawiony na uderzenia ze wszystkich stron; pocziwy chłopak znosił to wszystkim z prawdziwym stoicyzmem.

Po dwugodzinnej jeździe przewodnik zatrzymał się na odpoczynek. Zwierzę pożerało gałązki i krzaczki. Pan Cromarty cieszył się z tego postoju; był po prostu rozbity tą jazdą, pan Fogg zaś czuł się jak najlepiej.

— Ależ to człowiek z żelaza! — rzekł generał, patrząc nań z podziwem.

— I to z kutego żelaza — dodał Obieżyświat, zajmując się przygotowaniem śniadania.

W południe przewodnik dał znak do odjazdu. Kraj, który przebywali, nabierał coraz dzikszego wyglądu. W ślad za ogromnymi lasami ciągnęły się gaje palm, potem obszerne równiny pokryte rzadkimi krzakami. Cała ta część górnego Bundelkundu, mało uczęszczana przez podróżnych, zamieszkała jest przez ludność fanatyczną, zatwardziałą w swych okropnych praktykach religii hinduskiej.

Anglicy nie mogli utrwalić swojej władzy w tym kraju, poddanym wpływowi radźów, których trudno było dopaść w ich niedostępnych schronieniach w górach Windhja. Kilka razy po drodze spotykano dzikich Hindusów, którzy na widok szybko idącego słonia gestami i mimiką okazywali swój gniew i niezadowolenie. Pars unikał jak mógł spotkania z nimi. Zwierząt tego ranka widziano mało, ukazało się zaledwie kilka małych, które zaraz uciekły.

Tymczasem Obieżyświat był niezmiernie zajęty myślą, co też pan Fogg zrobi ze słoniem, gdy przybędą na stację Allahabad. Czy zabierze go ze sobą? Nie, to niemożliwe, koszty transportu dodane do ceny kupna zrujniają pana Fogga. A może sprzeda słonia lub wypuści na wolność? To pocziwe zwierzę zasługiwało na względy.

Tego dnia przebyto dwadzieścia pięć mil, tyle samo pozostawało jeszcze do stacji Allahabad. O ósmej wieczorem zatrzymano się w lesie na odpoczynek. Pars rozniecił z suchych gałęzi ogień. Przygotowano wieczerzę z zapasów żywności zakupionych w Kholby i zajadano z wielkim apetytem. Rozmowa, wlokąca się wskutek zmęczenia podróżnych, urwała się wkrótce i niebawem dało się słyszeć głośnie i przeciągłe chrapanie. Przewodnik pozostał przy Kiuni, który również zasnął, oparty o pień grubego drzewa.

Noc minęła bez żadnego wypadku. Od czasu do czasu tylko ryk pantery, tygrysa lub ostry pisk małpy na chwilę przerywał ogólną ciszę. Generał spał głęboko jak po walnej bitwie; Obieżyświat w gorączkowym i niespokojnym śnie raz jeszcze przeżywał wszystkie wypadki poprzedniego dnia, a pan Fogg odpoczywał tak spokojnie, jak gdyby był w swym mieszkaniu przy Saville Row.

O siódmej ruszono w dalszą podróż. Przewodnik miał nadzieję, że jeszcze tego samego dnia wieczorem staną w Allahabadzie. Tym sposobem pan Fogg straci tylko

część z czterdziestu ośmiu godzin zaoszczędzonych w ciągu podróży. Zjechało już z ostatnich stoków gór Windhja.

Około południa przewodnik minął wioskę Kallenger, położoną nad rzeką Kani, jednym z dopływów Gangesu. Omijał jak mógł miejsca zaludnione, czując się pewniej w opuszczonych wioskach. Do stacji Allahabad było tylko dwanaście mil w kierunku północno-wschodnim. Zatrzymywano się pod palmą, której owoce, równie zdrowe jak chleb, również smaczne jak śmietana, jak mówią podróżni, są niezwykle cenione.

Po upływie dwóch godzin przewodnik wszedł do lasu, w którego gęstym cieniu miano przejść kilka mil. Dotychczas podróż odbywano bez żadnych przeszkód i sądzono, że tak będzie do końca, gdy wtem słoń się zaczął niepokoić i w końcu stanął, nie chcąc iść dalej. Była czwarta po południu.

— Co się stało? — spytał pan Cromarty, wysuwając się ze swego siedzenia.

— Nie wiem, panie oficerze — odparł Pars, przysłuchując się szmerowi dochodzącemu z gęstwiny leśnej. W kilka chwil później szmer stał się wyraźniejszy. Dało się słyszeć coś w rodzaju koncertu, jeszcze bardzo odległego, złożonego z ludzkich głosów i miedzianych instrumentów. Obieżyświat zamienił się cały w słuch i wzrok.

Pan Fogg czekał cierpliwie, nie mówiąc ani słowa. Pars zeskoczył na ziemię, przywiązał słonia do drzewa i zapuścił się w głąb lasu.

Po kilku chwilach powrócił.

— Procesja braminów — rzekł — zbliża się ku nam. Jeśli to możliwe, ukryjmy się.

Przewodnik zaprowadził słonia w gąszcz, prosząc podróżnych, żeby nie schodzili na ziemię. Sam zaś był przygotowany w razie potrzeby wskoczyć szybko na kark słonia. Sądził jednak, że dzięki nieprzejrzystej gęstwinie pochód wiernych przejdzie, nie zauważwszy go.

Szum głosów z dźwiękami instrumentów coraz bardziej się zbliżał. Monotonne śpiewy mieszały się z uderzeniami bębnów i dźwiękami cymbałów. Niebawem między drzewami ukazało się czoło procesji. Pan Fogg i jego towarzysze mogli, nie będąc sami widziani, przypatrywać się ciekawej ceremonii religijnej.

Na samym przodzie posuwali się kapłani w spiczastych czapkach i długich, obramowanych szatach. Otaczała ich grupa mężczyzn, kobiet i dzieci, śpiewających pogrzebowe psalmy, przerywane uderzeniami tam-tamu i dźwiękami cymbałów. Za nimi, na wozie o szerokich kołach, których szprychy i obręcze przedstawiały splecione węże, ciągniętym przez czwórkę zebu przystrojonych w piękną uprząż, ukazał się szkaradny posąg. Figura ta miała cztery ciemnoczerwone ramiona, wypukłe oczy i

rozczochrane włosy, wywieszony język i pomalowane karminem usta. Naszyjnik z czaszek i pas z obciętych rąk służyły jej za ozdobę. Stała na powalonym bezgłowym olbrzymie.

Franciszek Cromarty poznał tę statwę.

— To bogini Kali — rzekł półgłosem — bogini śmierci i miłości.

— Śmierci, na to się zgodzę, ale miłości, takie szkaradzieństwo? — rzekł Obieżyświat.
— Nigdy.

Pars dał znak, żeby zamilkli.

Wokół posągu trzęsa się, poruszała, łamała w konwulsyjnych ruchach grupa starych fakirów o ciałach ochrą pomalowanych w pasy, pokrytych ranami w kształcie krzyża, z których kropla po kropli płynęła krew, fanatyków, którzy podczas wielkich ceremonii rzucali się pod koła wozu Juggernauta.

Za nimi widać było kilku braminów, odzianych w pełne przepychu wschodnie szaty, ciągnących kobietę ledwie mogącą się utrzymać na nogach. Kobieta była młoda, biała jak Europejka. Jej głowa, szyja, plecy, ręce, uszy i palce były obwieszane naszyjnikami, bransoletami, kolcami i pierścieniami. Jej kształty okrywała lamowana złotem tunika, przysłonięta lekkim muślinem.

Za tą młodą kobietą straż, z obnażonymi szablami w ręku i pistoletami za pasem, dźwigała na noszach trupa.

Były to zwłoki starca w bogatym odzieniu radzów, w wysadzonym perłami turbanie, w jedwabnej szacie przetykanej złotem, przepasanej kaszmirowym pasem z brylantami, ze wspaniałą bronią książąt hinduskich. Procesję zamykali muzykanci i banda fanatyków, których przeraźliwe wrzaski zagłuszały hałaśliwe dźwięki instrumentów.

Pan Cromarty z przejęciem przypatrywał się konduktowi i zwracając się do przewodnika, rzekł:

— To sati.

Pars skinął głową na znak potwierdzenia i przyłożył palec do ust. Długa procesja posuwała się powoli między drzewami i wkrótce skryła się zupełnie w głębi lasu.

Stopniowo śpiewy nikły w oddali i nastąpiła zupełna cisza.

Phileas Fogg usłyszał słowa wypowiedziane przez Franciszka Cromarty'ego i gdy tylko procesja znikła, spytał:

— Co to jest sati?

— Sati, panie Fogg — odpowiedział generał — to ofiara ludzka, ale ofiara dobrowolna. Kobieta, którą pan widział, jutro o świcie zostanie spalona.

— O niegodziwcy! — wykrzyknął Obieżyświat, nie mogąc powstrzymać objawów oburzenia.

— A te zwłoki? — spytał pan Fogg.

— To zwłoki księcia, jej męża — odparł przewodnik — udzielnego radży Bundelkundu.

— Jak to — ciągnął dalej pan Fogg, głosem niezdradzającym najmniejszego wzruszenia — te barbarzyńskie zwyczaje istnieją jeszcze w Indiach i Anglia nie zniosła ich dotąd?

— W większej części Indii — odparł pan Cromarty — ofiary takie już się nie odbywają, ale my nie mamy najmniejszego wpływu na te dzikie kraje, zwłaszcza na tereny Bundelkundu. Cała północna strona gór Windhja jest areną ciągłych morderstw i grabieży.

— O, biedna! — mruzczał Obieżyświat. — Spalona żywcem.

— Tak — ciągnął dalej generał — gdyby jej nie spalono, nie uwierzycie, w jaki okropny sposób obchodziliby się z nią jej krewni. Obcięto by jej włosy, dano za ledwie garść ryżu jako strawę, odpychano by ją od siebie. Byłaby uważana za istotę nieczystą i umarłaby gdzieś w kącie jak nędzny pies. Dlatego obawa przed tak strasznym losem znacznie silniej niż miłość lub fanatyzm religijny skłania do ofiary te nieszczęsne istoty. Czasami jednak ofiara jest rzeczywiście dobrowolna, nieraz rząd musi użyć swej władzy, aby temu przeszkodzić. Przed paroma laty, gdy mieszkałem w Bombaju, młoda wdowa prosiła gubernatora, żeby pozwolił na spalenie jej wraz ze zwłokami męża. Łatwo się domyśleć, że gubernator odmówił. Wtedy wdowa opuściła miasto, schroniła się pod opiekę niezawisłego radży i tam spełniła ofiarę.

Podczas opowiadania przewodnik kiwał głową i gdy generał skończył, rzekł:

— Ofiara, która odbędzie się jutro, nie jest dobrowolna.

— Skąd o tym wiesz?

— W Bundelkundzie wszyscy znają tę historię — odrzekł przewodnik.

— Ale ta nieszczęśliwa nie okazywała żadnego oporu — zauważył Franciszek Cromarty.

— To dlatego, że odurzono ją dymem z konopi i opium.

— Ale dokąd ją prowadzą?

— Do świątyni Piladzi, o dwie mile stąd. Tam spędzi noc, oczekując godziny, w której odbywają się ofiary.

— Kiedy nastąpi ofiara?

— Jutro o świcie.

Po tej odpowiedzi przewodnik wyprowadził słonia z gęstwiny i wskoczył mu na szyję. Ale w chwili, gdy chciał zagwizdać na zwierzę, aby zachęcić je do biegu, pan Fogg powstrzymał go i zwracając się do pana Cromarty'ego, rzekł:

— A gdybyśmy ją uratowali?

— Tę kobietę, uratowali?! — wykrzyknął Cromarty.

— Mam jeszcze dwanaście godzin do dyspozycji, mogę je poświęcić.

— Ależ pan ma szlachetne serce — rzekł pan Cromarty.

— Czasami — odparł spokojnie pan Fogg — zwłaszcza, gdy czas mi na to pozwala.

Rozdział XIII. Szczęście sprzyja odważnym

Zamiar był trudny, pełen przeszkód, może nawet niewykonalny. Pan Fogg narażał swe życie, a co najmniej wolność, a tym samym szczęśliwy rezultat swej podróży. Nie wstrzymywało go to jednak. Zresztą znalazł w panu Cromarty'ym pomocnika, a Obieżyświat także chętnie zaofiarował swe usługi. Plan jego pana wprowadził go w zachwyt, przekonał się bowiem, że pod tą lodową powłoką biło serce pełne ciepła. Od tej chwili serdecznie polubił swego pana.

Jak się wobec tej sprawy zachowa przewodnik? Czy nie stanie po stronie Hindusów? Jeśli nie można liczyć na jego pomoc, trzeba się upewnić co do jego bierności.

Pan Cromarty spytał go otwarcie.

— Panie oficerze, jestem Parsem, a ta kobieta Parsyjka. Rozporządzaj mną.

— Dobrze — odparł pan Fogg.

— W każdym razie powinniście wiedzieć, panowie — ciągnął dalej Pars — że nie tylko narażamy swoje życie, ale w razie gdyby nas schwytano, czekają nas straszne męki.

— Rzecz postanowiona — odparł pan Fogg. — Sądzę, że zabierzemy się do dzieła dopiero z nadejściem nocy.

— Ja też tak sądzą — odparł przewodnik.

Dzielny Hinduś przybliżył niektóre szczegóły z życia ofiary. Była to niezwykle piękna kobieta pochodzenia parskiego, córka bogatego kupca z Bombaju. W tym mieście otrzymała angielskie wychowanie. Nazywała się Aouda. Osierocona, została wbrew swojej woli wydana za mąż za starego radcę z Bundelkundu, a w trzy miesiące potem

została wdową. Wiedząc, jaki los ją czeka, próbowała uciec, lecz została schwytana i skazana na spalenie przez krewnych radży, którym zależało na jej śmierci.

Opowiadanie to mogło tylko umocnić pana Fogga i jego towarzyszy w szlachetnym zamiarze. Postanowiono, że przewodnik przeprowadzi słonia do świątyni Piladzi i umieści go w jej pobliżu. Pół godziny później zatrzymano się w gąszczu o pięćset kroków od pagody, której wprawdzie nie widziano, ale wyraźnie dawały się słyszeć wrzaski i wycia fanatyków.

Zaczęto się naradzać nad sposobami przedostania się do ofiary. Przewodnik znał świątynię Piladzi, w której, jak twierdził, więziona jest młoda kobieta. Czy będzie można przedostać się do wnętrza podczas snu całej bandy, czy też trzeba będzie zrobić otwór w murze?

Sprawę tę można było rozstrzygnąć dopiero na miejscu. Zgodzili się jednak, żeby uprowadzenie ofiary odbyło się w nocy, a nie o świcie, w chwili prowadzenia jej na stos; wtedy już żadna siła ludzka nie zdoła jej ocalić.

Pan Fogg ze swymi towarzyszami oczekiwał nadejścia nocy; jak tylko się ściemni, obejdą dokoła świątynię. Według zwyczaju Hindusi, po spożyciu hang, napoju z opium zmieszanego z wywarem z konopi, zapadli w głęboki sen. Można więc było ostrożnie prześliznąć się obok nich do samej świątyni. Cicho, bez szmeru przesuwali się odważni ludzie przez las. Po dziesięciu minutach dotarli brzegu małej rzeczki i tu przy świetle pochodni zauważyli stos narąbanego drzewa. Był to stos z drzewa sandałowego, skropionego pachnącymi olejkami. Na nim leżały zabalsamowane zwłoki starego radży. O sto kroków od stosu znajdowała się świątynia, której wieże wznosiły się ponad wierzchołki drzew.

— Chodźcie — rzekł cicho przewodnik.

Nasi znajomi, poprzedzani przez Parsa, zaczęli posuwać się przez wysoką trawę. Panowała głęboka cisza. Po paru chwilach, w miejscu, gdzie las się przerzedzał, przewodnik się zatrzymał. Kilka pochodni oświetlało to miejsce.

Jak na polu bitwy, podobni do trupów, leżeli na ziemi pogrążeni w głębokim upojeniu, mężczyźni, kobiety i dzieci. Tu i ówdzie odzywały się jęki.

W głębi, w masie drzew, rysowała się świątynia Piladzi. Ale ku największemu rozczarowaniu przewodnika okazało się, że drzwi świątyni strzeże straż z bronią w rękę. Można było przypuszczać, że wewnątrz kapłani również czuwali. Widząc, że nie sposób dostać się do wnętrza, nasi śmiałkowie zawrócili i stojąc w cieniu, cicho rozmawiali.

— Poczekajmy — rzekł generał — dopiero ósma, możliwe, że strażnicy pogrążą się we śnie.

— To bardzo możliwe — odparł Pars.

Położyli się pod drzewami i wyczekiwali. Jak nieskończenie powoli włókł im się czas. Przewodnik od czasu do czasu oddalał się, by zbadać sytuację. Strażnicy ciągle czuwali i trudno było przypuszczać, że kiedykolwiek zasną. Trzeba więc było posłużyć się innym sposobem i dostać się do wnętrza przez otwór wybity w murze. Najpierw jednak należało zbadać, czy kapłani strzegą swej ofiary równie pilnie jak strażnicy wejścia. Umówiwszy się ostatecznie, jak postąpić, przewodnik wraz z towarzyszami udali się w drogę i po zatoczeniu sporego kręgu dotarli do tylnej części świątyni.

Około wpół do pierwszej przybyli do stóp muru. Z tej strony nie było żadnej straży, nie było tu też ani drzwi, ani okien.

Noc była zupełnie ciemna. Księżyc, otulony w gęste mgły, opuścił horyzont.

Nie wystarczyło jednak dotrzeć do muru; trzeba było zrobić w nim otwór, a nasi znajomi nie mieli żadnych narzędzi oprócz scyzoryków. Na szczęście mur sklecono z cegieł i drzewa, więc nietrudno było go przedziurawić.

Po wyjęciu pierwszej cegły robota szła coraz łatwiej. Przy pracy zachowywano jak największą ostrożność. Przewodnik z jednej, Obieżyświat z drugiej strony wyciągali cegłę po cegle. Uzyskano już dość spory otwór, gdy nagle z wnętrza świątyni rozległ się krzyk, na który prawie jednocześnie odpowiedziano z zewnątrz. Obieżyświat i przewodnik przerwali pracę. Czyżby ich odkryto? Rozsądek nakazywał oddalić się, co też wszyscy czterej zaraz zrobili. Schroniwszy się w gęstwinie, oczekiwali, aż hałas ucichnie, by na nowo zabrać się do dzieła. Lecz, o zgrozo, oto na tyłach świątyni rozstawiono strażę, uniemożliwiając wszelkie zbliżenie się.

Trudno sobie wyobrazić zniechęcenie naszych śmiałków wobec takiego obrotu sprawy. Jak ratować ofiarę, nie mogąc się do niej przedostać?

Pan Cromarty gryzł palce, zrozpaczonego Obieżyświata przewodnik ledwie zdołał uspokoić, tylko pan Fogg zachował równowagę, nie zdradzając swych uczuć.

— Nie pozostaje nam nic innego, jak odejść? — spytał półgłosem generał.

— Niech pan poczeka — odezwał się pan Fogg. — Przecież w Allahabadzie muszę być dopiero jutro przed dwunastą.

— Lecz czego się pan spodziewa? — odparł Franciszek Cromarty. — Za parę godzin zaczniesz dnieć, a wtedy...

— Szczęśliwa sposobność może się nadarzyć w ostatniej chwili.

General brygady chciałby w tej chwili umieć czytać w duszy pana Fogg. Na co liczył ten chłodny Anglik? Czyżby miał w ostatniej chwili rzucić się ku młodej kobiecie i wyrwać ją z rąk katów? Byłoby to szaleństwo! W każdym razie postanowił czekać na koniec tej strasznej sprawy.

Przewodnik zaprowadził swych towarzyszy na przeciwny koniec polany, skąd ukryci w gęstwinie drzew mogli obserwować śpiący tłum.

Tymczasem Obieżyświat, usadowiwszy się wśród dolnych konarów drzewa, zaabsorbowany był jedną myślą, która mignawszy mu z początku w umyśle lotem błyskawicy, utkwiała następnie mocno w głowie, nie dając mu spokoju. Z początku mówił do siebie: „Co za szaleństwo!”, lecz potem powtarzał ciągle: „A dlaczegożby nie? Może to jedyny środek na takie bydłota”.

W takiej mniej więcej formie wyrażała się ta myśl i ciągle nią zajęty, Obieżyświat zręcznie jak małpa zsunął się na najniższe gałęzie drzewa, których końce zwisały tuż nad polaną.

Godziny mijały, zaczęło dzień. Zbliżała się krytyczna chwila. Senne, na wpół martwe tłumy, zaczęły się ożywiać. Rozległy się uderzenia bębna, krzyki i śpiewy. Wybiła godzina śmierci nieszczęsnej ofiary.

Drzwi świątyni otworzyły się i pośrodku jasnego światła wydobywającego się z wnętrza panowie Fogg i Cromarty wyraźnie widzieli dwóch kapłanów wlokących biedną kobietę.

Zdawało im się nawet, że nieszczęsna, idąc za głosem instynktu samozachowawczego, stara się przezwyciężyć odurzenie i usiłuje wyrwać się z rąk swych katów.

Pan Cromarty, któremu na ten widok ścisnęło się serce, schwycił konwulsyjnym ruchem rękę pana Fogg i... poczuł, że tkwi w niej nóż!

Między dzikimi zapanował ruch. Młodą kobietę, omdlałą od kadzideł z konopi, prowadzono przez tłumy fakirów śpiewających pobożne pieśni.

Phileas Fogg i jego towarzysze, zmieszawszy się z tłumem, znaleźli się wkrótce o pięćdziesiąt kroków od stosu, na którym spoczywało ciało radży. Obok trupa, nieruchoma, na wpół martwa, leżała nieszczęśliwa ofiara.

Zbliżono pochodnie do stosu i drzewo, przesiąknięte oliwą, zajęło się jasnym płomieniem. W tej chwili Cromarty i jego towarzysz przemocą zatrzymywali pana Fogg, który w szlachetnym szale chciał dopaść stosu. Silnie ich odepchnawszy, już miał wykonać swój zamiar, gdy cały obraz nagle się zmienił. Rozległ się straszny krzyk

i zebrany tłum z wielkim przerażeniem rzucił się na ziemię. Stary radża więc wcale nie umarł; widziano wyraźnie, jak podniósłszy się ze swego miejsca, straszny jak upiór, schwycił w swe ramiona swą młodą żonę i przesuwał się jak duch, przez obłoki dymu wynosił ją ze stosu.

Fakirzy, strażę, kapłani w śmiertelnym strachu padli na ziemię, nie śmiać podnieść oczu na ten cud.

Silne ramiona unosiły omdlałą postać młodej kobiety. Panowie Cromarty i Fogg stali jak wryci, nie wiedząc, co myśleć, przewodnik spuścił głowę. Zmartwychwstała zbliżył się tymczasem do pana Fogga i jego towarzyszy i wyszeptał: „Uciekajmy!”

Był to Obieżyświat, który przez obłoki dymu przecisnął się do stosu. On to, korzystając z panującej jeszcze ciemności, wydarł śmierci młodą kobietę, to on z niesłychanym męstwem, wystawiając swoje życie na próbę, przechodził przez sparaliżowane strachem tłumy.

W jednej chwili usadowiono się na szerokim grzbiecie słonia i pocziwe zwierzę uniosło ich w szybkim pędzie. Ale szybko krzyk, wycia i wystrzelone w ślad za nimi kule powiadomiły ich, że poznano się na podstępie. Rzeczywiście, ochłonawszy z przerażenia, zauważyli przy świetle płonącego stosu ciało starego radży. Nieobecność Aoudy kazała domyślać się porwania. Strażnicy, ruszywszy w ślad za nimi, strzelali z karabinów, ale nasi rabusie umknęli już daleko, tak że ani kule, ani strzały dosięgnąć ich nie mogły.

Rozdział XIV. Obojętność pana Fogga na piękno doliny Gangesu

Odważne porwanie udało się. Jeszcze godzinę później Obieżyświat zaśmiewał się ze szczęśliwego wyniku swego śmiałego przedsięwzięcia. Pan Cromarty ścisnął serdecznie dłoń pocziwego chłopaka, a pan Fogg rzekł: „Dobrze”, co w ustach tego dzentelmena równało się największej pochwale. Obieżyświat na wszystko odpowiadał, że cała zasługa należy się panu Foggowi; on chciał tylko spłatać pociesznego figła, a na myśl, że on, niegdyś gimnastyk, eks-sierżant, był przez chwil kilka wdowcem pięknej kobiety, starym zabalsamowanym radżą, śmiał się do rozpuku.

Co do młodej kobiety, to pozostała w ciągłym omdleniu. Owinięta w pledy leżała w jednym z koszy. Słoń, kierowany pewną ręką przewodnika, pędził w głąb lasu pogrążonego jeszcze w ciemnościach. O siódmej zatrzymano się na odpoczynek. Młoda kobieta, zupełnie wyczerpana, leżała nieruchomo. Przewodnik wlał jej do ust trochę

wody zmieszanej z wódką, ale stan odurzenia, w jakim się znajdowała, musiał potrwać jeszcze przez jakiś czas.

Pan Cromarty, któremu wpływ dymu z konopi dobrze był znany, nie niepokoił się tym wcale, zapewniając, że chora powróci stopniowo do normalnego stanu.

Natomiast nie dawała mu spokoju troska o dalszy los biednej kobiety. Wyjaśnił panu Foggowi, że w razie gdyby pani Aouda pozostała w Indiach, na pewno wpadnie ponownie w ręce swych katów. Fanatycy ci, rozproszeni po całym półwyspie, pomimo przeszkód ze strony policji, znajdą sposób schwywania swej ofiary, czy to w Madrassie, czy w Bombaju, czy też w Kalkucie. Na poparcie swoich słów przytoczył podobny wypadek, który się niedawno wydarzył. Według niego młoda kobieta tylko wtedy będzie pewna swego życia, gdy opuści Indie.

Pan Fogg odpowiedział, że weźmie to pod uwagę i się zastanowi.

O dziesiątej przewodnik powiadomił, że dotarli do stacji Allahabad, gdzie przerwana trasa kolei żelaznej rozpoczynała się na nowo. Stąd w przeciągu doby można było przebyć odległość z Allahabadu do Kalkuty.

Pan Fogg mógł więc na czas dotrzeć się na statek, wypływający nazajutrz, to jest 25 października, do Hongkongu. Młodą kobietę złożono w jednym z pokoi na stacji.

Obieżyświata wysłano na zakupy niektórych potrzebnych dla niej rzeczy, jak suknia, szal, futro itd.

Allahabad, czyli miasto Boga, jest jednym z najbardziej czczonych miejsc w Indiach, gdyż leży w miejscu, w którym dwie święte rzeki, Ganges i Jumma zlewają się w jedną. Tutaj też ze wszystkich krańców półwyspu ściągają pielgrzymi. Wiadomo, że według legendy Ramajany Ganges ma swoje źródła w niebie, skąd z łaski Brahmy wylewa się na ziemię.

Robiąc zakupy, Obieżyświat rozglądał się po mieście niegdyś strzeżonym przez piękną fortecę, zamienioną obecnie na więzienie. W tej części miasta, dawniej tak ożywionej, nie ma teraz ani handlu, ani przemysłu.

Obieżyświat na próżno szukał magazynu mód. Znalazł tylko starego handlarza Żyda, u którego kupił suknię w szkocką kratę i szeroki, podbity futrem płaszcz. Z tryumfalną miną powrócił do swych towarzyszy. Pani Aouda stopniowo wracała do przytomności.

Odurzenie, w jakim się znajdowała, powoli ustępowało; piękne oczy nabierały wyrazu i słodczy, cechującej hinduskie kobiety. Wdowa po radży z Bundelkundu była piękną kobietą w całym znaczeniu tego słowa, a staranne wychowanie, które odebrała, czyniło ją podobną do angielskiej lady.

Tymczasem pociąg miał już opuścić stację Allahabad i pan Fogg zapłacił przewodnikowi, co mu się należało, ani grosza więcej. Bardzo to zdziwiło Obieżyświata, który wiedział, ile pan jego zawdzięczał przewodnikowi. W samej rzeczy, Pars narażał swoje życie, gdyż gdyby dowiedziano się o tym, że brał udział w porwaniu, nie uniknąłby zemsty Hindusów.

Pozostała kwestia Kiuniego. Co zrobić ze słoniem tak drogo kupionym?

Pan Fogg widocznie postanowił coś w tym względzie, gdyż zwrócił się do przewodnika.

— Parsie — rzekł — służyłeś mi sumiennie i byłeś mi oddany. Zapłaciłem ci za twe usługi, ale nie za twe poświęcenie. Chcesz słonia? To bierz go!

Oczy przewodnika zabłysły radością.

— Ależ wasza wielmożność oddaje mi majątek! — wykrzyknął.

— Bierz tylko, ja i tak zostaję twym dłużnikiem.

— To mi się podoba! — wykrzyknął Obieżyświat. — Weź, przyjacielu. Kiuni jest pocziwym i mężnym zwierzęciem.

Potem zbliżył się do słonia i dając mu parę kawałków cukru, rzekł:

— Bierz, Kiuni, bierz, bierz!

Słoń mruknął z zadowoleniem i schwyciwszy Obieżyświata w pasie trąbą, podniósł go na wysokość swej głowy. Obieżyświat nie zląkł się ani trochę; pogłaskał zwierzę, które delikatnie postawiło go na ziemi.

W chwilę później pan Fogg wraz z panem Cromartym i Obieżyświatem, ulokowawszy się w wygodnym wagonie, w którym najlepszy kącik zajęła pani Aouda, pędzili całą siłą pary ku Benares.

Osiemdziesiąt mil dzielących Allahabad od Benares przybyto w ciągu dwóch godzin.

Podczas podróży młoda kobieta zupełnie wytrzeźwiała.

Jakież było jej zdziwienie, gdy obudziwszy się, znalazła się w wagonie, w europejskim stroju, wśród zupełnie nieznanym podróżnych.

Generał wyjaśnił młodej kobiecie jej sytuację. Opowiedział o bohaterstwie pana Fogg, który, aby ją ratować, narażał swoje życie i o szczęśliwym zakończeniu przygody, które zawdzięczali pomysłowi odważnego Obieżyświata.

Pan Fogg słuchał bez słowa, a zawstydzony Obieżyświat powtarzał ciągle: „Nie warto o tym mówić”.

Pani Aouda dziękowała serdecznie swym wybawcom. Jej piękne, pełne łez oczy były jeszcze wymowniejsze od ust. Lecz gdy jej myśli powróciły do stosu i wyobraźnia

zarysowała niebezpieczeństwa grożące jej na ziemi indyjskiej, dreszcz przerażenia wstrząsał nią całą.

Odgadłszy, co się działo w duszy pani Aoudy, pan Fogg bardzo chłodnym tonem oznajmił jej, że gotów odprowadzić ją do Hongkongu, gdzie powinna pozostać, dopóki sprawa nie zostanie zapomniana.

Pani Aouda z wdzięcznością przyjęła tę propozycję. W Hongkongu mieszkał jej krewny, jeden z najznakomitszych kupców w mieście.

O wpół do pierwszej pociąg zatrzymał się na stacji Benares. Tutaj wysiadał pan Cromarty. Oddział wojska, do którego się udawał, znajdował się na północnej stronie miasta. Generał brygady, żegnając się z panem Foggiem, życzył mu pomyślności i radził odbyć tę podróż po raz drugi w sposób wprawdzie mniej oryginalny, lecz pożyteczniejszy. Pan Fogg uściskał z lekka palce pana Cromarty'ego; pani Aouda żegnała się z nim serdecznie, zapewniając, że nigdy nie zapomni tego, co mu zawdzięcza. Obieżyświat zaszczycony uściskiem dłoni generała, był do głębi wzruszony.

Od Benares pociąg jakiś czas przejeżdżał przez dolinę Gangesu. Przed oknami wagonu przesuwały się jeden po drugim malownicze widoki: góry pokryte zielenią, pola obsiane jęczmieniem, kukurydzą i pszenicą, stawy i błota pełne zielonych aligatorów, dostatnie wioski i gęste tajemnicze lasy.

Kilka słoni i zebu przychodziło się kąpać w świętej wodzie rzeki. Pomimo spóźnionej pory i zimnej już wody, całe masy Hindusów obojga płci z religijnym namaszczeniem zstępowały w chłodną toń.

Wierni ci, fanatyczni czciciele religii bramińskiej, a zaciekli wrogowie buddyzmu; mają trzy bóstwa: Wisznu, boga słońca, Sziwę, który uosabia siłę przyrody i wreszcie Brahmę, patrona kapłanów i prawodawców. Jakimże okiem musieli spoglądać Brahma, Sziwa i Wisznu na zbrytanizowane Indie, gdy jakiś statek całą siłą pary mącił święte fale Gangesu, przestraszał mewy fruujące nad jego powierzchnią, rozpraszał rojące się na brzegu żółwie morskie i wyrывał z religijnego upojenia leżących wzdłuż brzegu rzeki fanatyków!

Wreszcie nadeszła noc. Wśród ryku tygrysów, niedźwiedzi i wilków uciekających przed lokomotywą, pociąg pędził z niezwykłą szybkością, niepozwalającą dojrzeć ani Bengalowi, ani cudów Golkondy, ani Chandarnagoru, jedyne kawałka indyjskiej ziemi należącego do Francuzów, na której Obieżyświat z dumą i radością ujrzaliby powiewającą flagę swej ojczyzny.

Nareszcie o siódmej rano przyjechano do Kalkuty.

Statek udający się do Hongkongu wyruszał dopiero o dwunastej, tak że pan Fogg miał przed sobą pięć godzin.

Według swego notatnika dżentelmen powinien był przybyć do stolicy Indii 25 października, w dwadzieścia trzy dni po opuszczeniu Londynu, i tak się też stało. Niestety, dwa dni zaoszczędzone w drodze z Londynu do Bombaju zostały stracone w znany nam sposób. Należy jednak przypuszczać, że pan Fogg tego nie żałował.

Rozdział XV. Torba z banknotami staje się o parę tysięcy funtów lżejsza

Pociąg zatrzymał się na stacji. Obieżyświat pierwszy opuścił wagon, za nim pan Fogg, pomagając wysiąść swej towarzyszce. Pan Fogg zamierzał natychmiast udać się na statek odchodzący do Hongkongu, nie chcąc ani chwili pozostawać w kraju tak niebezpiecznym dla młodej kobiety.

W chwili, gdy nasi znajomi opuszczali dworzec kolei, zbliżył się do nich jakiś policjant.

— Pan Phileas Fogg? — spytał dżentelmena.

— Tak.

— Ten człowiek jest pańskim służącym? — rzekł, wskazując Obieżyświata.

— Tak.

— Panowie będą łaskawi udać się ze mną.

Pan Fogg nie okazał najmniejszego zdziwienia, policjant był przedstawicielem prawa, a prawo dla każdego Anglika jest święte.

Obieżyświat, zwyczajem francuskim, chciał protestować, lecz policjant dotknął go końcem pałki, a pan Fogg nakazał mu posłuszeństwo.

— Czy ta młoda dama może pójść z nami? — spytał pan Fogg.

— Tak — odrzekł policjant.

Zaprowadził wszystkich do palki ghari, rodzaju powozu o czterech kołach, zaprzęzonego we dwa konie. Podczas jazdy wszyscy zachowywali milczenie.

Powóz przejeżdżał z początku przez tak zwane „czarne miasto”, z wąskimi uliczkami i nędznymi domkami, w których mieszkali ludzie biedni i obdarci. Potem oczom ich ukazała się europejska część miasta, bardzo przyjemnie wyglądająca ze swymi domami z cegły ocienionymi drzewami, gdzie o rankiem widziało się elegancką młodzież rozpierającą się w zbytkownych zaprzęgach.

Zatrzymali się przed skromnie wyglądającym domem. Policjant, poprosiwszy swych więźniów, aby wysiedli, zaprowadził ich do pokoju o zakratowanych oknach.

— O wpół do dziesiątej staną panowie przed sędzią Obadiahem — rzekł, po czym opuścił pokój, zamknąwszy ich na klucz.

— Więc złapano nas! — zawołał Obieżyświat, osuwając się na krzesło.

Pani Aouda, zwracając się do pana Fogg, rzekła drżącym od wzruszenia głosem:

— Panie, musi pan mnie opuścić. To przeze mnie was prześladują.

Pan Fogg odpowiedział stanowczo, że to niemożliwe. Nie do pomyślenia, żeby byli ścigani za sprawę sati. Oskarżyciele nie ośmieliliby się wystąpić z takim zarzutem. Musiało tu zajść jakieś nieporozumienie. Pan Fogg dodał, że w żadnym razie nie opuści młodej kobiety, że odprowadzi ją do Hongkongu.

— Ale statek odpływa w południe — zauważył Obieżyświat.

— Przed południem będziemy na brzegu — rzekł spokojnie niewzruszony dżentelmen.

Słowa te były wypowiedziane z taką pewnością siebie, że Obieżyświat nie mógł się powstrzymać od powiedzenia do siebie:

— Tam do licha! To możliwe, przed południem będziemy na brzegu.

Jednak wcale nie był tego pewien.

O wpół do dziewiątej otworzyły się drzwi, wszedł policjant i zaprowadził więźniów do sąsiedniej sali.

Była to sala sadowa, do połowy wypełniona publicznością, składającą się z Hindusów i Europejczyków.

Pan Fogg, pani Aouda i Obieżyświat zajęli miejsca na ławie naprzeciw krzesel sędziów i pisarzy sądowych.

Natychmiast wszedł sędzia Obadiah w towarzystwie pisarza. Sędzia był gruby i okrągły. Szybko zdjął wiszącą na gwoździu perukę i włożył ją na głowę.

— Pierwsza sprawa — zaczął.

Ale dotknąwszy głowy, zawołał:

— Cóż to, przecież to nie moja peruka!

— W samej rzeczy, panie Obadiah, to moja — odrzekł pisarz sądowy.

— Drogi panie Oysterpuf, czy sędzia może wydać sprawiedliwy wyrok, będąc w peruce pisarza?

Zamieniono peruki. Podczas tej sceny Obieżyświat siedział jak na rozżarzonych węglach, gdyż wskazówka zegara w sali sądowej posuwała się w jego oczach z przerażającą szybkością.

— Pierwsza sprawa — powtórzył sędzia.

— Phileas Fogg — rzekł pisarz sądowy Oysterpuf.

— Jestem — odezwał się pan Fogg.

— Obieżyświat.

— Obecny — odpowiedział służący.

— Dobrze — rzekł sędzia. — Od dwóch dni, podsądni, poszukujemy was przy każdym pociągu, który przybywa z Bombaju.

— Ale o co nas obwiniają? — wykrzyknął zniecierpliwiony Obieżyświat.

— Zaraz się pan o tym dowie — odrzekł sędzia.

— Panie — rzekł pan Fogg — jestem angielskim obywatelem i służy mi prawo...

— Czy panu ubliżono w czymkolwiek?

— Nie.

— Dobrze. Niech wejdą oskarżyciele!

Na rozkaz sędziego otworzono drzwi i woźny wprowadził trzech hinduskich kapłanów.

— Otóż to! — mruknął Obieżyświat. — To przecież ci sami, którzy chcieli spalić naszą młodą panią.

Kapłani stanęli przed sędzią, a pisarz sądowy donośnym głosem odczytał oskarżenie o świętokradztwo, popełnione przez pana Fogg'a i jego służącego w miejscu uświęconym przez religię bramińską.

— Słyszał pan? — spytał sędzia pana Fogg'a.

— Tak, panie — odparł pan Fogg — i przyznaję się do tego.

— Aaa, przyznaje się pan?...

— Przyznaję i czekam, żeby ci kapłani również zeznali, co zamierzali uczynić w świątyni Piladzi.

Kapłani spojrzeli po sobie zdziwieni. Zdawało się, że w ogóle nie rozumieją słów oskarżonego.

— Właśnie! — zawołał nagle Obieżyświat. — W świątyni Piladzi, przed którą chcieli spalić swoją ofiarę.

Zdziwieni w najwyższym stopniu kapłani milczeli, a sędzia spytał zdziwiony:

— Co za ofiara? Spalić kogoś? W środku Bombaju?

— W Bombaju? — zawołał Obieżyświat.

— Bez wątpienia. Mowa tutaj nie o świątyni w Piladzi, ale o świątyni z Malabar Hill w Bombaju.

— A jako dowód tego niecnego czynu... oto obuwie bluźniercy — I pisarz sądowy położył na swoim biurku parę butów.

— Moje buty! — zawołał w najwyższym stopniu zdumiony Obieżyświat, nie mogąc się powstrzymać od mimowolnego okrzyku.

Wyobraźmy sobie zmieszanie pana i słuźącego.

Zupełnie zapomnieli o przygodzie w Bombaju, a tylko z tego powodu wezwano ich do sędziiego w Kalkucie.

Jednak agent Fix postarał się skorzystać z tego przykrego zajścia. Opóźniając swój wyjazd z Bombaju o dwanaście godzin, odbył długą naradę z kapłanami z Malabar Hill, obiecał im sowite wynagrodzenie, wiedząc dobrze, że rząd surowo karze tego rodzaju przestępstwa, po czym następnym pociągiem wysłał ich w ślad za bluźniercą. Z powodu straty czasu zużytego na ratowanie młodej wdowy Fix i Hindusi przybyli wcześniej od pana Fogga i jego słuźącego, których tamtejsza policja, upowaźniona telegraficznie, miała aresztować zaraz przy wysiadaniu z wagonu. Łatwo sobie wyobrazić przygnębiecie Fixa, gdy się dowiedział, że pan Fogg jeszcze nie przybył do Kalkuty. Sądził, że ścigany przez niego złodziej wysiadł na którejś stacyjce i uciekł do północnych prowincji.

Przez dwadzieścia cztery godziny w śmiertelnym niepokoju oczekiwał go na dworcu. Jakaż więc była jego radość, gdy tego ranka ujrzał pana Fogga, wysiadającego z wagonu w towarzystwie damy, której obecności nie mógł sobie wytłumaczyć.

Natychmiast wysłał policjanta, który zaprowadził ich do sędziiego Obadiaha.

Gdyby Obieżyświat był mniej zajęty swoimi myślami, mógłby zauważyć w końcu sali agenta, śledzącego z najwyższym zajęciem przebieg sprawy. Oczekiwany przez niego rozkaz aresztowania jeszcze nie nadszedł.

Tymczasem z mimowolnego zeznania Obieżyświata Obadiah sporządził protokół.

— Więc przyznajecie się do tego faktu? — spytał sędzia.

— Przyznajemy — odparł chłodno pan Fogg.

— Otóż — ciągnął sędzia dalej — biorąc pod uwagę, że rząd angielski jednakowo proteguje i opieką swą ochrania wszystkie religie ludu hinduskiego, Obieżyświat za przestępstwo polegające na tym, iż świętokradzką stopą dnia dwudziestego dziewiątego

października przestąpił próg świątyni na Malabar Hill w Bombaju, skazany zostaje na dwutygodniowe więzienie i karę pieniężną trzystu funtów szterlingów.

— Trzystu funtów? — zawołał przerażony Obieżyświat.

— Cicho! — wrzasnął skrzeczącym głosem woźny.

— I — ciągnął dalej sędzia — ponieważ nie jest dowiedzione, iż sługa działał zgodnie z wolą pana i ponieważ ten ostatni musi być odpowiedzialny za czyny i postęпки utrzymywanego przez siebie sługi, przeto Phileas Fogg skazany zostaje na tydzień więzienia i sto pięćdziesiąt funtów kary. Niech woźny wprowadzi następnych podsądnych.

Fix w swoim kącie z niewypowiedzianym zadowoleniem przysłuchiwał się wyrokowi skazującemu pana Fogg na zatrzymanie się w Kalkucie przez tydzień, w ciągu którego rozkaz aresztowania na pewno nadejdzie.

Obieżyświat był w rozpacz. Wyrok rujnował jego pana. Zakład o dwadzieścia tysięcy funtów przegrany, a wszystko dlatego, że on jak ostatni dureń wszedł do tej przeklętej świątyni.

Pan Fogg przez cały ten czas nic nie stracił ze swej zwykłej równowagi, tylko w chwili, gdy pisarz sądowy wniósł inną skargę, powstał i rzekł:

— Składam kaucję.

— Ma pan do tego prawo — odrzekł sędzia.

Fixowi skóra ścierpła z przerażenia, zimny dreszcz przebiegł mu po ciele, uspokoiły go tylko słowa sędziego, który ze względu na to, że pan Fogg i służący są cudzoziemcami, wyznaczył kaucję w wysokości tysiąca funtów szterlingów za każdego z nich.

— Płacę — rzekł pan Fogg.

I z trzymanej przez Obieżyświata torby wyjął paczkę banknotów i złożył je na stoliku pisarza sądowego.

— Suma ta zostanie panu zwrócona po wyjściu z więzienia, tymczasem za kaucją są panowie wolni.

— Chodźmy — rzekł pan Fogg do swego służącego.

— Ale niech mi przynajmniej zwrócą buty! — krzyknął wściekły z gniewu Obieżyświat.

Zwrócono mu je.

— O, drogo kosztują — mrucał do siebie i szedł z posępną miną za swym panem, który prowadził pod rękę panią Aoudę.

Fix miał nadzieję, że złodziej nigdy nie zgodzi się na stratę tak dużej sumy i odsiedzi swą karę, w każdym jednak razie szedł za nim krok w krok, nie spuszczać z niego oka.

Pan Fogg zawołał dorożkę i kazał się zawieźć do przystani. O pół mili od przystani stał na wodzie zakotwiczony statek „Rangoon”, a wywieszona flaga zwiastowała, że wkrótce odbije od brzegu. Była dopiero jedenasta, pan Fogg miał więc jeszcze godzinę. Wsiadłszy z dorożki, wsiadł do łódki, która dowiozła go wraz z towarzyszami do statku. Na ten widok agent tupnął nogą.

— A to nicpoń! — zawołał. — Ucieka, wyrzucając na marne dwa tysiące funtów. Rozrzutny jak złodziej. Ale ja cię złapię, ptaszku, choćbym cię miał ścigać na koniec świata. Oby tylko skradzione pieniądze nie za prędko się rozeszły.

Obawa Fixa miała pewne podstawy. Pan Fogg od swego wyjazdu z Londynu na podróż, nagrody, słońca, kaucję i kary wydał przeszło pięć tysięcy funtów, a im mniejsza będzie zwrócona bankowi suma, tym mniejszą nagrodę otrzyma agent.

Rozdział XVI. Fix udaje nieświadomego

„Rangoon”, jeden ze statków Towarzystwa Żeglugi Indyjskiej i Orientalnej, przeznaczony na morza chińskie i japońskie, był żelaznym parowcem o wyporności siedmuset siedemdziesięciu ton i mocy czterystu koni. Szybkością nie ustępował „Mongolii”, jednak pod względem wygody pozostawiał wiele do życzenia. Toteż pan Fogg musiał zrezygnować z chęci zapewnienia na nim pani Aoudzie takich wygód jak zamierzał.

Zresztą chodziło tylko o odległość trzech tysięcy pięciuset mil, którą przebędą w jedenaście lub dwanaście dni, a pani Aouda nie była wymagającą pasażerką.

Podczas pierwszych dni podróży młoda kobieta bliżej poznała pana Fogg. Przy każdej sposobności okazywała mu jak najżywszą wdzięczność. Flegmatyczny dżentelmen, sądząc z pozoru, przyjmował to wszystko bardzo obojętnie, ani tonem, ani gestem nie zdradzając najmniejszego wzruszenia. Był dla niej wyszukanie grzeczny, dbał, by jej na niczym nie zbywało, ale wszystko, co robił, robił z wdziękiem i spokojem automatu.

Pani Aouda potwierdziła wzruszającą historię, jaką opowiedział o niej przewodnik. Rzeczywiście, pochodziła ona z rasy zajmującej u krajowców pierwszorządne miejsce. Niektórzy kupcy paryjscy dorobili się na handlu bawełną w Indiach ogromnych majątków. Jeden z nich, James Jejeebhoy, otrzymał od rządu angielskiego szlachectwo

i pani Aouda była krewną tego bogatego człowieka. Właśnie kuzyna pana Jejeebhoya, szanownego Jejeha, chciała odszukać w Hongkongu. Czy znajdzie u niego schronienie i opiekę, tego nie mogła stwierdzić na pewno. Na to pan Fogg odpowiedział, by była zupełnie spokojna i że się wszystko ułoży z matematyczną dokładnością. Był to jego zwykły sposób mówienia.

Pierwsza część podróży na „Rangoonie” odbyła się w najlepszych warunkach. Cała ta część olbrzymiej Zatoki Bengalskiej była odpowiednia dla szybkiej żeglugi. Ze statku widziano już największą wyspę archipelagu Andamanów, malowniczą górę Sadle Peak, liczącą dwa tysiące czterysta stóp.

Statek trzymał się blisko brzegu. Dzicy mieszkańcy wyspy nie pokazywali się wcale. Są to istoty stojące na najniższym stopniu cywilizacji, ale nie są ludożercami. Wyspy tworzyły prześliczną panoramę. Na przodzie ogromne lasy drzew muskatołowych i bambusowych, w dali sylwetki gór o kształtnych konturach. Na brzegach roiły się salangany, których gniazda są ulubioną potrawą mieszkańców Państwa Środka. Cała ta dekoracja prędko znikła z oczu i „Rangoon” wpłynął w cieśninę Malakka, aby przez nią dostać się na morza chińskie.

Cóż porabiał inspektor Fix, tak nieszczęśliwie wciągnięty w podróż dookoła świata? Pozostawiwszy w Kalkucie polecenie, by w razie nadejścia rozkazu aresztowania odesłać go do Hongkongu, Fix wsiadał na „Rangoona” niezauważony przez Obieżyświata, starannie unikając spotkania z nim. Rzeczywiście, trudno by mu było wytłumaczyć swoją obecność na pokładzie, nie wzbudzając w Obieżyświacie podejrzeń.

Ale zbieg okoliczności sprawił, że Fix wznowił swą znajomość z pocziwym chłopakiem. Jak się to stało, zaraz zobaczymy.

Wszystkie nadzieje, wszystkie życzenia inspektora policji skoncentrowały się w jednym jedynym punkcie świata. W Hongkongu musiało nastąpić aresztowanie, inaczej złodziej wymknie się bezpowrotnie.

Hongkong był w samej rzeczy ostatnim kawałkiem ziemi angielskiej. Poza nim Chiny, Japonia i Ameryka mogły służyć panu Foggowi za pewne schronienie. W Hongkongu, w chwili nadejścia rozkazu, Fix mógł niezwłocznie zaaresztować pana Fogga i oddać w ręce policji. Nic nie stawało temu na przeszkodzie. Zupełnie co innego poza Hongkongiem. Tam już zwykły nakaz aresztowania nie wystarczał, potrzebne były pewne formalności, wymagające dużo czasu, mogące spowodować zwłokę, z której złodziej skorzysta, by zniknąć na zawsze.

— Otóż — powtarzał sobie Fix podczas długich godzin spędzanych samotnie w kajucie — jeśli rozkaz aresztowania już nadszedł do Hongkongu, wtedy bez długich ceregieli zatrzymuję mojego pana, zaś w przeciwnym razie za wszelką cenę muszę opóźnić jego wyjazd. Nie udało mi się to ani w Bombaju, ani w Kalkucie. Jeśli mi się nie uda także w Hongkongu, moja opinia stracona na zawsze! Niech się dzieje co chce, muszę dopiąć swego! Ale jakiego sposobu użyć, żeby w razie potrzeby opóźnić wyjazd tego przekłętego Fogga?

Gdyby jego zamiary chybiły, Fix był zdecydowany wyznać wszystko Obieżyświatowi i przedstawić mu jego pana we właściwym świetle. Zapoznany ze stanem rzeczy, z obawy, by go nie wzięto za współnika kradzieży, Francuz stanie po stronie Fixa. Był to krok bardzo niebezpieczny, gdyż Obieżyświat jednym słówkiem wypowiedzianym do swego pana mógłby popsuć całą sprawę. Ucieknie się więc do niego tylko w ostateczności.

Obecność pani Aoudy na statku w towarzystwie pana Fogga ogromnie intrygowała inspektora policji. Łamał sobie głowę nad tym, kim była ta kobieta, skąd się wzięła, jaki zbieg okoliczności zbliżył ją do pana Fogga. Przypuszczał, że spotkali się w drodze z Bombaju do Kalkuty. Lecz czy działał tu zwykły przypadek, czy też z góry określony plan?

Łatwo pojąć, do jakiego stopnia była podrażniona jego ciekawość. Zastanawiał się, czy nie wchodzi tu w grę jakiś karygodny postępek. Było to bardzo możliwe. Myśl ta zawładnęła nim zupełnie, widział już wszystkie korzyści, jakie wynikały z tej okoliczności.

Czy kobieta ta była zameźna czy nie, w każdym razie miało tu miejsce porwanie i można było w Hongkongu tak oplątać tego pana, że się nie wykręci pieniędzmi. Ale trzeba zacząć działać przed przybyciem statku do Hongkongu. Ten Fogg ma szkaradny zwyczaj skakania ze statku na statek, mógłby więc być już daleko, zanim sprawa się zacznie.

Trzeba więc zawiadomić władze angielskie jeszcze przed przybyciem statku do portu. Nic nadto łatwiejszego, gdyż „Rangoon” zatrzymywał się w Singapurze, a Singapur był połączony linią telegraficzną z granicą chińską. Zanim jednak coś postanowi, rozpyta Obieżyświata, któremu, jak wiedział z doświadczenia, nietrudno rozwiązać język. Nie było jednak wiele czasu do stracenia. Był 31 października i „Rangoon” nazajutrz zarzucał kotwicę w Singapurze.

Nazajutrz Fix wyszedł na pokład. Obieżyświat przechadzał się, gdy inspektor rzucił się ku niemu, wołając:

— Pan, pan na „Rangoonie”?!

— Pan Fix na pokładzie! — odparł zdziwiony Obieżyświat, poznając swego towarzysza podróży na „Mongolii”. — Jak to, zostawiłem pana w Bombaju, a odnajdujemy się w drodze do Hongkongu? Czy pan także odbywa podróż dookoła świata?

— Ależ nie — odparł Fix. — Zamierzam tylko na kilka dni zatrzymać się w Hongkongu.

— Aha! — odrzekł Obieżyświat trochę zdumiony. — Lecz dlaczegoż nie widziałem pana przez cały ten czas na pokładzie?

— Mała niedyspozycja... Choroba morska zatrzymała mnie w kajucie. Zatoka Bengalska nie służy mi tak jak Ocean Indyjski. A jakże się miewa pan Fogg?

— Zupełnie zdrow i punktualny jak jego podróżny notatnik. Ach, panie Fix, pan nie wie, że mamy ze sobą młodą panią.

— Młodą panią? — spytał Fix, doskonale udając, że nie wie, o kogo chodzi.

Tu Obieżyświat zaczął mu opowiadać o wszystkim, co zaszło. O zdarzeniu w świątyni Piladzi, o kupnie słonia za dwa tysiące funtów, historię sati, uratowanie Aoudy, o tym, jak ich zawezwano do sądu w Kalkucie, jak ich skazano na więzienie, lecz dzięki kaucji używają swobody. Fix, chociaż doskonale znał ostatnie zajście, udawał zupełnie nieświadomego i w końcu spytał Obieżyświata, czy jego pan ma zamiar zabrać młodą kobietę ze sobą do Europy.

— Nie, panie Fix, chcemy ją oddać pod opiekę jednego z jej krewnych, bogatego kupca w Hongkongu.

— Trudna sprawa! — mruknął do siebie Fix. — Może kieliszek anyżówki, panie Obieżyświacie?

— Chętnie, trzeba koniecznie wypić za nasze spotkanie na „Rangoonie”.

Rozdział XVII. Od Singapuru do Hongkongu

Od tego dnia Obieżyświat i agent spotykali się dość często, ale ten ostatni zachowywał wielką ostrożność, nic próbując nawet wyciągnąć go na pogawędkę. Raz czy dwa razy widział pana Foggą, pozostającego prawie cały czas w salonie, czy to dotrzymującego towarzystwa pani Aoudzie, czy też grającego w wista.

Obieżyświata bardzo zastanowiło spotkanie z Fixem. Rozmyślał nad dziwnym trafem, jaki ciągle stawia Fixa na drodze jego pana. Ten ugrzeczniony, niezmiernie uprzejmy dżentelmen, którego spotyka się w Suezie, wsiada na „Mongolię”, przyjeżdża do Bombaju, gdzie zamierza pozostać, następnie ukazuje się na „Rangoonie”; jednym słowem, krok za krokiem odbywa tę samą podróż, co i pan Fogg. Coś podobnego mogło się wydać podejrzanym. Był to zbieg okoliczności co najmniej dziwny. Obieżyświat gotów był przysiąc na swe pantofle, które uważał za coś świętego, że Fix opuści Hongkong jednocześnie z nimi, tym samym statkiem. Gdyby Obieżyświat rozmyślał całą wieczność, nie wpadłby nigdy na pomysł, że jego pana śledzą i tropią jak złodzieja na całej kuli ziemskiej. Ponieważ zaś chęć dociekania przyczyny leży w ludzkiej naturze, więc Obieżyświat po długim namyśle znalazł prawdopodobne wyjaśnienie ciągłej obecności Fixa.

Otóż według niego Fix był agentem wysłanym przez kolegów pana Fogga w ślad za nim w celu kontrolowania, czy podróż dookoła świata odbywa się zgodnie z umówionym planem.

— Nic pewniejszego — powtarzał, dumny ze swej przenikliwości. — To szpieg, którego ci panowie posłali w ślad za nami. Jakże to niegodziwe! Pan Fogg taki uczciwy, taki człowiek honoru. O, panowie z klubu „Reforma”, zapłacicie mi za to!

Zachwycony tym odkryciem Obieżyświat postanowił nic nikomu nie mówić, lecz za to zrećźnie wybadać Fixa.

W środę, 30 października, statek wchodził w cieśninę Malakka, oddzielającą półwysep Malajski od Sumatry. Maleńkie, niezwykle malownicze i bardzo górzyste wysepki zasłaniały widok na dużą wyspę.

Nazajutrz o godzinie czwartej, czyli o pół dnia wcześniej niż zazwyczaj, „Rangoon” przybył do Singapuru i zatrzymał się tu, by zaopatrzyć się w węgiel.

Pan Fogg zszedł z panią Aoudą na ląd, by zażyć wraz z nią spaceru.

Fix, któremu każdy krok pana Fogga wydawał się podejrzanym, ukradkiem ruszył w ślad za nim. Obieżyświat, wyśmiewając się z niego w duszy, załatwiał zakupy.

Wyspa Singapur nie jest ani duża, ani malownicza, gdyż brak jej gór, pomimo to nie jest pozbawiona uroku.

W pięknym powozie, zaprzężonym w parę eleganckich koni, pan Fogg z panią Aoudą wjeżdżali w gęstą aleję palmową. Drzewa sagowe i paprocie urozmaicały tę tropikalną ustron. Drzewa muszkatoowe o lakierowanych liściach przesycaly powietrze silnym

zapachem. Żywe, figlarne małpki ożywiały las, w gąszczu zaś nieraz zabłysło oko tygrysa.

Po dwugodzinnej przejażdżce po tej równinie pani Aouda i pan Fogg powrócili do miasteczka, w którym duże, niekształtne domy tonęły w masie drzew ananasowych, mangowych i innych, najrzadszych w świecie.

O dziesiątej powrócili na statek jednocześnie z panem Fixem, który także został narażony na koszt wynajęcia powozu.

Na pokładzie „Rangoon” oczekiwał ich Obieżyświat. Poczciwy chłopak kupił tuzin owoców mango, wielkości średnich jabłek, ciemnobrunatnych na zewnątrz, a czerwonych w środku, których biały, soczysty miąższ musi przypaść do gustu największemu smakoszowi. Obieżyświat cieszył się bardzo, że może je ofiarować pani Aoudzie, która bardzo uprzejmie mu za nie podziękowała.

O jedenastej „Rangoon”, zaopatrzony w węgiel, podniósł kotwicę i w parę godzin później pasażerowie stracili z oczu wysokie góry Malakki, których gęste lasy służą za kryjówkę dla najpiękniejszych tygrysów w świecie.

Tysiąc trzysta mil dzieli Singapur od wyspy Hongkong, małej angielskiej posiadłości odciętej od wybrzeża Chin. Phileasowi Foggowi zależało na tym, by przebyć tę odległość w ciągu najwyżej sześciu dni, tak aby móc zdążyć do Hongkongu na statek, który odpływał 6 listopada do Jokohamy, jednego z głównych portów japońskich.

Na „Rangoonie” było przepelnienie. W Singapurze wsiadło mnóstwo Hindusów, mieszkańców Cejlonu, Chińczyków, Malajczyków i Portugalczyków. Dotychczasowa dobra pogoda nagle się zmieniła. Morze stało się niespokojne, od czasu do czasu zrywał się silny wiatr, na szczęście od strony południo-wschodu, co tylko sprzyjało żegludze. Wtedy też kapitan statku kazał rozpiąć żagle. Pchany siłą wiatru i pary „Rangoon” płynął stosunkowo wolno wokół brzegów Annamu i Kochinchiny, co bynajmniej nie wzruszało pana Fogga, ale Obieżyświata doprowadzało do najwyższej pasji. Przypisywał winę kapitanowi, mechanikowi, towarzystwu. Bardzo możliwe, że w taką niecierpliwość wprawiała go myśl o płomieniu gazowym, który ciągle palił się na jego koszt w domu przy Saville Row.

— Ależ panu, jak widzę, bardzo się spieszy do Hongkongu? — spytał go pewnego razu agent.

— O tak, bardzo mi się spieszy! — odparł Obieżyświat.

— Przypuszcza pan, że panu Foggowi pilno zdążyć na statek płynący do Jokohamy?

— O tak, ogromnie!

— I wierzy pan teraz w tę niezwykłą podróż dookoła świata?

— Naturalnie. A pan, panie Fix?

— Ja? Nie, ja w nią nie wierzę.

— Błazen! — mruknął Obieżyświat, spojrzawszy złowrogo na agenta.

Wypowiedziane przez Obieżyświata słowo zastanowiło agenta. Czyżby ten Francuz go przejrzał? Nie wiedział, co o tym myśleć. Czyżby Obieżyświat odgadł w nim agenta? Nie, to niemożliwe!

A jednak, wyrażając się w ten sposób, Obieżyświat miał na pewno jakąś ukrytą myśl. Co ona miała znaczyć?

Innym znów razem Obieżyświat, nie mogąc się powstrzymać, poszedł jeszcze dalej.

— Czyżbyśmy z chwilą przybycia do Hongkongu, panie Fix — spytał go ironicznie — mieli stracić pańskie towarzystwo?

— Jeszcze nie wiem... — odparł mocno zakłopotany agent.

— Ach — rzekł Obieżyświat — gdyby pan z nami pozostał, byłoby to dla nas prawdziwe szczęście: agent towarzystwa, do którego pan się zalicza, nie zatrzymuje się w połowie drogi. Jechał pan do Bombaju, a otóż jesteśmy już w Chinach, Ameryka już blisko, a z Ameryki do Europy, to przecież tylko jeden krok.

Fix uważnie spojrział na Obieżyświata, ale niewinna mina służącego pana Fogga uspokoiła go. Zaśmiał się z konceptu Obieżyświata, który, wpadłszy w dobry humor, żartował dalej:

— A dużo przynosi panu pański zawód?

— I tak, i nie — odparł Fix bez wahania. — Bywają dobre i złe interesy. Ale rozumie pan, że nie podróżuję na własny koszt.

— Nie wątpię w to ani przez chwilę — zawołał Obieżyświat, śmiejąc się na całe gardło.

Po skończonej rozmowie agent udał się do swojej kajuty i oddał się rozważaniom: Obieżyświat odgadł w nim agenta, to nie ulegało żadnej wątpliwości. Ale czy uprzedził o tym swego pana? Jaką rolę odgrywa służący? Czyżby sprawa była stracona na zawsze? Agent spędził parę ciężkich godzin, chwilami mając swą sprawę za straconą, chwilami znów pocieszając się myślą, że pan Fogg o niczym nie wie. Stopniowo w jego umyśle zapanował spokój i zdecydował się pomówić otwarcie z Obieżyświatem. W razie, gdyby rozkaz aresztowania do Hongkongu jeszcze nie nadszedł i gdyby pan Fogg miał zamiar opuścić terytorium angielskie, Fix wszystko wyzna Obieżyświatowi. Albo służący był

wspólnikiem kradzieży, w takim razie sprawa była przegrana, albo też nic o niej nie wiedział, w tym wypadku zechce się uwolnić od swego pana.

O tym wszystkim nie miał pan Fogg najmniejszego pojęcia, z majestatyczną obojętnością odbywał swą podróż dookoła świata, nie zwracając uwagi na to, co się wkoło niego działo.

Natomiast Obieżyświat wечно się niepokoił i wciąż powtarzał:

— Nic nie posuwamy się naprzód. Oj, ci Anglicy! Amerykański statek może wysadziłby nas w powietrze, ale szedłby jak się należy.

Rozdział XVIII. Pan Fogg, Fix i Obieżyświat mają zajęcie

Podczas ostatnich dni podróży pogoda była niedobra.

Silny wiatr od strony północno-zachodniej tamował bieg statku. „Rangoon” przechylał się z jednego boku na drugi i pasażerowie słusznie złorzeczyli bałwanom, które zganiał wiatr. Między 3 a 4 listopada zerwała się burza. Silne podmuchy wiatru biczowały morze; „Rangoon” na pół dnia musiał zaprzestać podróży, a tylko lawirował po rozjuszonym morzu.

Wszystkie żagle zwinięto.

Prędkość „Rangoona” wskutek tego znacznie się zmniejszyła i można było przypuszczać, że statek, w razie gdyby się burza nie uciszyła, przybędzie na miejsce o jakieś dwadzieścia godzin opóźniony.

Pan Fogg zachowywał wobec tego wzburzonego morza, które jakby walczyło przeciw niemu, swą zwykłą równowagę. Jego czoło ani na chwilę się nie zachmurzyło, a przecież spóźnienie na statek w Jokohamie mogło zupełnie popsuć jego plany. Ten człowiek bez nerwów nie odczuwał ani niecierpliwości, ani zniechęcenia. Zdawałoby się, jakby ta burza była przewidziana w jego planach. Pani Aouda, rozmawiająca z panem Foggiem o wciąż trwającej niepogodzie, zauważyła, że był tak spokojny jak zwykle.

Co do Fixa, to ten z nadzwyczajnym zadowoleniem przypatrywał się burzy, pragnąc, by zmusiła „Rangoona” do ucieczki. Wszelkie opóźnienia były mu bardzo na rękę, gdyż zmuszały pana Fogga do zatrzymania się przez parę dni w Hongkongu. Zachmurzone niebo i ciągła wichura sprzyjały jego życzeniom. Trapiiony morską chorobą, nie zwracał na nią uwagi, rozkoszując się nadzieją wygrania sprawy.

Można sobie wyobrazić, co się działo w duszy Obieżyświata.

Dotychczas wszystko szło jak z płatka. Ziemia i morze zdawały się służyć jego panu i pociągi spełniały jego wolę. Wiatry i para, zgodnie połączone, sprzyjały jego planom. Czyżby od tej chwili miało się nie udawać?

Obieżyświat tak się martwił, jakby dwadzieścia tysięcy funtów przegranej miało być wypłacone z jego własnej kieszeni. Biedny chłopak! Fix starannie ukrywał przed nim swoje wewnętrzne zadowolenie i dobrze zrobił, gdyż gdyby Obieżyświat przeczuł tylko myśli agenta, ten miałby się z pyszna.

Przez cały czas trwania burzy Obieżyświat znajdował się na pokładzie. Wszędzie go też było pełno wdrapywał się na maszty, ze zręcznością małpy, pomagał jak mógł i zdumiewał majtków siłą i elastycznością swych mięśni.

Wciąż pytał kapitana, oficerów i majtków, nie mogących się powstrzymać od śmiechu, jak długo będzie trwała burza. Odesłano go do barometru, który nie chciał się podnieść, choć Obieżyświat silnie nim potrząsał.

Wreszcie burza się uciszyła. 4 listopada nastąpiła korzystna zmiana pogody. Zmienił się też zaraz i humor Obieżyświata. Znowu rozpięto wszystkie żagle i „Rangoon” z zadziwiającą szybkością pomknął dalej. Lecz straty czasu nie można było odwrócić.

Dopiero 6 listopada o piątej rano ujrzano ląd.

Według notatnika pana Fogg przybycie do Hongkongu miało nastąpić 5 listopada, a miało miejsce szóstego. Było to opóźnienie dwudziestoczwierogodzinne, więc o zdążeniu na statek odpływający do Jokohamy nie można było marzyć.

O szóstej sternik zajął swoje miejsce, by przeprowadzić statek przez kanał do portu Hongkong.

Obieżyświat pałał chęcią spytania tego człowieka, czy statek do Jokohamy opuścił już Hongkong. Wahał się jednak, chcąc do ostatniej chwili zachować nadzieję.

Ze swoich obaw zwierzył się Fixowi. Chytry lis uspokajał go, mówiąc, że w razie opóźnienia pan Fogg wsiądzie na następny statek. Słowa te wprawiły Obieżyświata w szalony gniew.

To, czego nie śmiał uczynić Obieżyświat, zrobił pan Fogg i spokojnym głosem spytał pilota, czy czasem nie wie, kiedy najbliższy statek z Hongkongu udaje się do Jokohamy.

— Jutro rano z odpływem — odrzekł pilot.

— Aha... — rzekł pan Fogg, nie okazując zbytniego zdziwienia.

Obecny przy tej rozmowie Obieżyświat miał ochotę uściskać pilota, któremu Fix najchętniej skręciłby kark.

— Jak się nazywa ten statek? — spytał pan Fogg.

– „Carnatic” – odparł sternik.

– Czy nie miał odpłynąć wczoraj?

– Tak, panie, ale jeden z kotłów wymagał naprawy, dlatego też odjazd nastąpi jutro.

– Dziękuję panu – odrzekł pan Fogg i krokiem automatu zszedł do salonu.

Obieżyświat tymczasem, ściskając dłoń pilota, mówił:

– Jesteś dzielny człowiekiem, pilocie.

Pilot nigdy się nie dowiedział, czemu zawdzięczał tak niezwykłą wylewność uczuć.

Gwizdnąwszy silnie, skierował statek ku portowi na drogę obłęzoną przez mnóstwo statków, łódek rybackich, dzonek i po godzinie lawirowania „Rangoon” nareszcie osiągnął port, a pasażerowie jeden po drugim opuścili statek.

Tym razem przypadek bardzo przysłużył się panu Foggowi. Gdyby nie naprawa kotła, „Carnatic” byłby wyruszył już piątego i pasażerowie chcący się udać do Japonii musieliby czekać cały tydzień. Pan Fogg stracił wprawdzie dwadzieścia cztery godziny, ale ta strata czasu nie miała żadnego wpływu na losy podróży. Statek, który z Jokohamy udaje się do San Francisco, kursuje w powiązaniu ze statkiem z Hongkongu, tak że przed jego przybyciem nie mógł wyruszyć z Jokohamy. Wprawdzie stracił dwadzieścia cztery godziny, ale podczas dwudziestodniowej podróży po cichym oceanie łatwo je można było odzyskać.

„Carnatic” miał odpłynąć dopiero o piątej rano, pan Fogg miał więc przed sobą szesnaście godzin na zajęcie się sprawą pani Aoudy. Zszedłszy ze statku, podał ramię młodej kobiecie i podprowadził ją do lektyki, w której zanieśiono ją do pobliskiego hotelu. Znalaziono pokój dla młodej kobiety i pan Fogg, postarawszy się, aby jej na niczym nie zbywało, wyszedł natychmiast na miasto, żeby odszukać kuzyna pani Aoudy. Obieżyświatowi rozkazał pozostać w hotelu do swego powrotu, by młoda kobieta nie była w nim sama.

Nasz dżentelmen kazał się zaprowadzić na giełdę, gdzie Jojeh, zaliczający się do najbogatszych kupców miasta, musiał być powszechnie znany. Woźny, do którego zwrócił się pan Fogg, znał parskiego kupca. Ale od dwóch lat nie mieszkał on już w Chinach. Dorobiwszy się majątku, udał się, jak mniemano, do Holandii. Wróciwszy do hotelu, pan Fogg kazał się zaanonsować pani Aoudzie i wszedłszy do jej pokoju, bez żadnego wstępu wyjaśnił jej, że kuzyna nie ma w Hongkongu i że prawdopodobnie przebywa w Holandii.

Na razie pani Aouda nic nie odrzekła, po krótkim namyśle spytała swym słodkim głosem:

- Cóż mam więc robić?
- To bardzo proste. Jechać do Europy.
- Ależ ja nie mogę wyzyskiwać...
- Pani nie wyzyskuje i pani obecność w niczym nie psuje mi planów. Obieżyświacie!
- Słucham pana.
- Idź na „Carnatica” i zamów trzy kajuty.

Obieżyświat ucieszony, że nadal będą odbywać podróż w towarzystwie młodej i tak sympatycznej osoby, natychmiast wyszedł spełnić polecenie swego pana.

Rozdział XIX. Obieżyświat dzieli los swego pana

Hongkong to mała wysepka, która w roku 1842 na mocy traktatu w Nankinie przeszła w ręce Anglii. W ciągu kilku lat dzięki geniuszowi kolonizacyjnemu Wielkiej Brytanii powstało tu znaczne miasto i port Victoria. Wyspa ta leży u ujścia rzeki Kanton, o sześćdziesiąt mil od portugalskiego miasta Macao, położonego na drugim brzegu rzeki. W walce handlowej Hongkong zwyciężył Macao i większa część eksportu chińskiego odbywa się przez miasto angielskie. Doki, hotele, magazyny, katedra gotycka, ratusz, szerokie ulice — wszystko to sprawiało złudzenie, jakby któreś z miast handlowych hrabstwa Kent lub Surrey, obiegłszy kulę ziemską, zatrzymało się w tym zakątku Chin, prawie u swych antypodów.

Obieżyświat z rękami w kieszeniach udał się do portu Victoria, przyglądając się lektykom, taczkom i różnobarwnemu tłumowi złożonemu z Chińczyków, Japończyków i Europejczyków zapelniających ulice. Nareszcie przybył do portu. Tam, przy ujściu rzeki Kanton, roilo się od statków różnych narodowości. Przechadzając się, Obieżyświat zauważył kilku krajowców w bardzo podeszłym wieku, ubranych w żółte kostiumy. Fryzjer, do którego wszedł, by się ogolić, objaśnił mu po angielsku, że każdy z tych staruszków ma najmniej osiemdziesiąt lat i w tym wieku przysługuje im przywilej noszenia żółtej barwy, która jest kolorem królewskim. Po obsłużeniu przez fryzjera udał się do przystani i tam bez zdziwienia zauważył przechadzającego się Fixa. Na twarzy agenta policyjnego malowało się wielkie przygnębienie.

„Doskonale!” — pomyślał sobie Obieżyświat. „Sprawa panów dżentelmenów z klubu »Reforma« źle stoi”.

I jakby nie widział zmieszanej miny agenta, przywitał go z uśmiechem.

Biedny agent miał słuszne powody przeklinania piekielnego losu, który go prześladował. Rozkaz aresztowania jak dotąd jeszcze nie nadszedł, bez wątpienia był w drodze. Niestety, Hongkong był ostatnim kawałkiem angielskiej ziemi po drodze i pan Fogg umknie mu na zawsze, jeżeli nie znajdzie sposobu zatrzymania go tutaj.

— Więc jakże, panie Fix, czy postanowił pan jechać z nami do Ameryki?

— Tak — odrzekł Fix przez zaciśnięte zęby.

— Ależ to świetne! — zawołał Obieżyświat, wybuchając śmiechem. — Od razu wiedziałem, że nie będzie się pan mógł z nami rozstać. Chodźmy, nich pan sobie zamówi miejsce.

Weszli do biura żeglugi i zamówili kajuty dla czterech osób.

Tu urzędnik oznajmił im, że naprawa już skończona i że zamiast nazajutrz rano, jak to przewidywano, statek opuści przystań jeszcze dziś, o ósmej wieczorem.

— Bardzo dobrze! — odrzekł Obieżyświat. — Idę uprzedzić mego pana.

W tej właśnie chwili Fix zdobył się na stanowczy krok. Postanowił wszystko powiedzieć Obieżyświatowi. Był to jedyny sposób zatrzymania Phileasa Fogg'a na kilka dni w Hongkongu.

Po wyjściu z biura Fix zaprosił swego towarzysza do szynku. Obieżyświat chętnie przyjął zaproszenie, tym bardziej, że czas mu na to pozwalał.

Szynk, do którego weszli nasi znajomi, miał zachęcający wygląd. Był to dość duża izba, przyzwoicie umeblowana. W głębi znajdowało się olbrzymie łóżko, pokryte poduszkami, na którym spało kilka osób. W tej dużej sali ze trzydzieści osób zajmowało małe stoliczki z trzciny. Kilku z nich opróżniało małe kufle piwa angielskiego lub porteru, inni kieliszki likieru, dżinu lub brandy. Większość paliła w długich fajkach opium zmieszane z esencją różaną. Od czasu do czasu jakiś odurzony palacz zsuwał się pod stół i chłopiec usługujący, biorąc go wpół, kładł na łożo obok jednego z towarzyszy. Ze dwudziestu leżało już na łożu w stanie najwyższego zamroczenia. Fix i Obieżyświat pojęli, że zaszli do jednej z palarni opium, uczęszczanych przez nieszczęsnych ludzi, którym przemysłowa Anglia corocznie sprzedaje za dwieście sześćdziesiąt milionów franków tej zgubnej rośliny. Na próżno rząd chiński usiłował różnymi sposobami zapobiec szerzeniu się tego zgubnego nałogu. Przeszedł on nawet do klas najniższych. Mężczyźni i kobiety oddają się tej wyniszczającej namiętności, a gdy się przyzwyczajają do palenia opium, nie mogą się już bez niego obejść bez narażenia się na okropne bóle żołądka. Namiętny palacz może wypalić dziennie do ośmiu fajek, lecz umiera w ciągu pięciu lat. Otóż do jednego z takich szynków, których pełno w Hongkongu, zaszli nasi

znajomi. Nie mając pieniędzy, Obieżyświat chętnie przyjął poczęstunek od Fixa w nadziei odwzajemnienia się przy sposobności.

Podano dwie butelki porteru. Obieżyświat chętnie czynił honory, podczas gdy Fix uważnie go obserwował. Poruszali różne kwestie, a szczególnie cieszyli się, że razem odbędą dalszą podróż. Po wypiciu kilku butelek Obieżyświat powstał, żeby pójść uprzedzić swego pana, iż statek odpływa jeszcze dziś.

Fix go powstrzymywał.

— Jeszcze słówko — rzekł.

— Słucham, panie Fix!

— Chcę pomówić z panem o ważnych rzeczach.

— O ważnych rzeczach! — zawołał Obieżyświat, sącząc ostatnich kilka kropli pozostałych na dnie szklanki. — Dobrze, pomówimy o tym jutro. Dziś nie mam czasu.

— Niech pan zostanie — odparł Fix. — Tu chodzi o pańskiego chlebodawcę.

Po tych słowach Obieżyświat spojrzał uważnie na swego towarzysza. Wyraz twarzy Fixa wydawał mu się dziwny.

— Cóż ma mi pan do powiedzenia? — spytał Fixa, kładąc mu rękę na ramieniu.

— Czy pan odgadł, kim ja jestem?

— Tam do licha! — uśmiechnął się Obieżyświat.

— Otóż chcę wszystko wyznać!

— Teraz, gdy ja już i tak wiem wszystko. O, to nie było mądre, mój panie!... Ale wszystko jedno, nich pan mówi. Dodam tylko, że ci panowie na próżno narażali się na koszty.

— Na próżno! — rzekł Fix. — Jak widać, nie zna pan wysokości sumy.

— Ależ znam! — odrzekł Obieżyświat. — Dwadzieścia tysięcy funtów.

— Pięćdziesiąt pięć tysięcy funtów — odparł Fix, zmuszając Obieżyświata do siedzenia, i kazał podać butelkę brandy. — Jeśli mi pan zechce dopomóc, otrzyma pan pięćset funtów.

— Dopomóc panu? — wykrzyknął Obieżyświat, szeroko otwierając oczy.

— Tak, dopomóc mi w zatrzymaniu pana Fogga przez kilka dni w Hongkongu.

— Co? Co pan mówi? Nie zadowolając się szpiegowaniem mego pana, powątpiewaniem w jego uczciwość, ci panowie chcą mu jeszcze stawiać przeszkody? O, wstydzę się za nich!

— Co pan chce przez to powiedzieć? — spytał Fix.

— Chcę powiedzieć, że to jest okropna niedelikatność, to wprost wyjmowanie pieniędzy z kieszeni.

— Otóż właśnie o to nam chodzi!

— Ależ to podstęp! — zawołał Obieżyświat, ożywiając się coraz bardziej pod wpływem brandy, której mu ciągle dolewał Fix. — Prawdziwy podstęp. I tak postępują dżentelmeni, koledzy.

Fix nic nie rozumiał.

— Koledzy! — krzyczał Obieżyświat. — Członkowie klubu „Reforma”! Niech pan zapamięta, panie Fix, że pan mój jest uczciwym człowiekiem. Jeśli się założył, ma pełne prawo starać się wygrać zakład.

— Ale za kogo właściwie pan mnie ma? — spytał Fix, patrząc badawczo na Obieżyświata.

— Tam do licha! Jest pan agentem członków klubu „Reforma”, kontrolującym podróż mego pana; od jakiegoś czasu przejrzałem pańskie zamiary, ale mój pan nie wie o niczym.

— Więc on nie wie? — spytał Fix żywo.

— Nie — odrzekł Obieżyświat, opróżniając jeszcze jedną szklanekę.

Inspektor policji przetarł ręką czoło. Wahał się z odpowiedzią. Cóż teraz zrobić? Omyłka Obieżyświata wydawała się szczerą, lecz to jeszcze bardziej utrudniało położenie. Widać było, że chłopak nic nie wie i w żadnym razie nie jest współwinny kradzieży. „A więc, skoro nie jest współwinny, pomoże mi” — myślał sobie.

Agent po raz drugi zdobył się na stanowczy krok. Nie było czasu do stracenia. Za wszelką cenę trzeba było zatrzymać pana Fogga w Hongkongu.

— Nich pan posłucha — rzekł Fix krótko — i posłucha uważnie. Nie jestem tym, za kogo mnie pan bierze, nie jestem agentem członków klubu „Reforma”.

— Ba — rzekł Obieżyświat, patrząc na niego z drwiącą miną.

— Jestem inspektorem policji, którego obowiązkiem...

— Pan, inspektorem policji?

— Tak, mogę panu dowieść — rzekł Fix. — Oto zlecenie, które otrzymałem.

I agent, wyjmując papier ze swego portfela, pokazał Obieżyświatowi zlecenie podpisane przez dyrektora policji.

Ogłuszony Obieżyświat patrzył na Fixa, nie będąc w stanie wyrzec ani słowa.

— Zakład pana Fogga jest tylko pretekstem, na który daliście się złapać pan i koledzy z klubu „Reforma”, gdyż w jego interesie było zapewnić sobie pańską współwinę.

— Ale dlaczego?! — zawołał Obieżyświat.

— Niech pan posłucha. 28 września w Banku Anglii dokonał kradzieży pięćdziesięciu pięciu tysięcy funtów osobnik zupełnie podobny do pana Fogga. Oto rysopis.

— Ale cóż znowu?! — krzyknął Obieżyświat, z całej siły uderzając pięścią w stół. — Mój pan jest najpocziwszym człowiekiem na świecie.

— Co pan o nim wie? — odrzekł Fix. — Przecież wcale go pan nie zna. Zgodził się pan na służbę u niego w dniu, w którym wyjechał nagle pod bezsensownym pretekstem, bez rzeczy, wioząc z sobą ogromną sumę w banknotach. I pan ośmiela się utrzymywać, że to człowiek uczciwy?

— Tak, tak — powtarzał machinalnie biedny chłopak.

— Chciałby pan więc być aresztowany jako współwinny?

Obieżyświat schwycił się za głowę. Nie śmiał spojrzeć na agenta. Co, Phileas Fogg złodziejem, wybawiciel Aoudy, człowiek tak szlachetny i prawy? Wszelkimi siłami starał się odsunąć podejrzenia, które mu się cisnęły do mózgu. Nie chciał i nie wierzył w winę swego pana.

— Więc czego pan właściwie chce ode mnie? — spytał Fixa.

— Otóż — odrzekł Fix — śledziłem pana Fogga aż do tego miejsca, ale nadal nie otrzymałem jeszcze rozkazu aresztowania, o który pisałem do Londynu. Musi mi pan pomóc w zatrzymaniu go w Hongkongu.

— Ja śmiałbym!...

— A ja podzielę się z panem moją nagrodą dwóch tysięcy funtów obiecanych przez Bank Angielski.

— Nigdy! — zawołał Obieżyświat, który chcąc powstać, upadł na krzesło, czując, że siły go opuszczają.

— Panie Fix — wybelkotał — gdyby nawet to, co pan mówi, było prawdą, gdyby pan mój był złodziejem, którego pan poszukuje, czemu stanowczo zaprzeczam... ja byłem... jestem u niego na służbie... widziałem, że on jest dobry i szlachetny... Jego zdradzić... nigdy... za żadne skarby świata. Jestem z kraju, w którym takiego chleba nie jedzą.

— Odmawia pan?

— Odmawiam!

— Zapomnijmy więc o całej sprawie i pijmy!

— Tak, pijmy!

Obieżyświat coraz bardziej się upijał. Fix, chcąc go do reszty obezwładnić, wziął jedną z leżących na stole fajek z opium i wsunął mu ją do ręki. Obieżyświat, zaciągnąwszy się kilka razy, rozciągnął się jak długi, z głową ocieżoną pod wpływem narkotyku.

— Doskonale — rzekł Fix, widząc nieprzytomnego Obieżyświata. — Pan Fogg nie zostanie uprzedzony o chwili odjazdu „Carnatica”, a gdy pomimo to opuści Hongkong, to przynajmniej bez tego przekłętą Francuza.

Zapłaciwszy, ile należało, agent wyszedł z szynku.

Rozdział XX. Pan Fix nawiązuje stosunki z panem Foggiem

Podczas tej sceny, mogącej mieć poważne następstwa dla pana Fogg, ten ostatni przechadzał się z panią Aoudą po ulicach miasta. Z chwilą, w której pani Aouda przyjęła jego opiekę i zgodziła się pojechać do Europy, czuł się w obowiązku myśleć o jej potrzebach. Że on, jako Anglik, odbywał podróż naokoło świata z torbą w rękę, z tego nie wynikało jeszcze, aby kobieta mogła również podróżować w podobnych warunkach. Należało zaopatrzyć ją w niezbędną w drodze odzież i drobiazgi. Pan Fogg wywiązywał się z tego zadania z właściwym sobie spokojem i na wszelkie wyrazy podziękowania ze strony młodej wdowy odpowiadał niezmiennie:

— Robię to we własnym interesie, to leży w moich planach.

Załatwiwszy zakupy, pan Fogg i młoda kobieta wrócili do hotelu. Tam przy ogólnym wspaniale zastawionym stole zjedli obiad, po czym młoda wdowa udała się do swego pokoju.

Szanowny dżentelmen spędził cały wieczór na czytaniu „Timesa” i „London News”. Gdyby pan Fogg posiadał zdolność dziwienia się, musiałyby go zastanowić tak długa nieobecność Obieżyświata. Ale wiedząc, że statek z Jokohamy nie wypływa z Hongkongu przed jutrem, nie myślał o tym więcej. Nazajutrz Obieżyświat nie zjawił się na odgłos dzwonka.

Co pomyślał poważny dżentelmen, dowiedziawszy się, że Obieżyświat nie wrócił wcale do hotelu, nikt nie mógłby powiedzieć. Wziąwszy jak najspokojniej do rąk worek podróży, uprzedził panią Aoudę i posłał po lektykę.

Gdy przyniesiono lektykę, pan Fogg i pani Aouda wsiedli do niej, a bagaż zawieszono za nimi na ręcznym wózku.

W pół godziny później nasi podróżni schodzili na przystań i tu pan Fogg dowiedział się, że „Carnatic” odpłynął poprzedniego dnia.

Dżentelmen liczący na to, że znajdzie na przystani statek i służącego, musiał się obejść bez jednego i bez drugiego. Nic jednak nie zdradzało jego rozczarowania, a na zdziwienie pani Aoudy odpowiedział tylko:

— To jakiś przypadek, pani, nic więcej.

W tej chwili obserwujący ich z daleka osobnik zbliżył się do nich i rzekł:

— Czy nie jest pan czasem, tak jak ja, pasażerem z „Rangoonu”, przybyłym wczoraj?

— Tak, panie — odparł chłodno pan Fogg — ale nie mam zaszczytu...

— Proszę wybaczyć, ale sądziłem, że znajdę tu pańskiego służącego.

— Czy wie pan, gdzie on się znajduje? — spytała żywo młoda kobieta.

— Czyż nie ma go tu z państwem? — spytał Fix, udając zdziwienie.

— Nie — odrzekła pani Aouda. — Od wczoraj się nie zjawił. Czyżby wsiadł na „Carnatic” bez nas?

— Bez państwa, pani? — odparł agent. — Ale proszę wybaczyć moje pytanie, czy zależało państwu, ażeby odpłynąć na „Carnaticu”?

— Tak, panie.

— Mnie także, pani, spotkała wielka przykrość. Po naprawie statek opuścił Hongkong o dwanaście godzin wcześniej, nie uprzedziwszy nikogo, i teraz trzeba czekać osiem dni do najbliższej okazji.

Na myśl, że pan Fogg będzie zmuszony osiem dni pozostać w Hongkongu, serce Fixa zabiło radośnie. Agent nie wątpił, że przez ten czas nadejdzie rozkaz aresztowania.

Wyobraźmy sobie jego zdziwienie, gdy pan Fogg swoim spokojnym głosem rzekł:

— Ale sądzę, że w porcie Hongkongu są jeszcze i inne statki oprócz „Carnatica”.

I podając ramię pani Aoudzie, udał się w stronę doków. Fix szedł wciąż za nimi, jakby jakaś niewidzialna siła łączyła go z dżentelmenem.

Tymczasem zdawało się, że los opuszcza swego ulubieńca. Pan Fogg przez trzy godziny przemierzał cały port wzdłuż i wszerz, chcąc wynająć statek na przeprawę do Jokohamy. Znalazł jednak tylko statki załadowywane towarami lub wyładowywane, ale żadnego z nich nie wypuszczano na morze.

Fix odetchnął.

Pan Fogg jednak nie tracił głowy i nie ustawał w poszukiwaniach. Wtem jakiś marynarz, skłoniwszy się, zatrzymał go, pytając:

— Czy wielmożny pan poszukuje statku?

— A czy macie statek gotowy do wypłynięcia? — spytał pan Fogg.

— Tak, wielmożny panie, pilotowy numer czterdzieści trzy, najlepszy z całej flotyli.

— A jego prędkość?

— Osiem do dziewięciu mil na godzinę. Czy chce pan zobaczyć?

— Tak.

— Wielmożny pan będzie zadowolony. Czy chodzi o przejażdżkę po morzu?

— Nie, o podróż.

— O podróż?

— Czy podejmiecie się zabrać mnie do Jokohamy?

Przy tych słowach pilot opuścił ramiona i wytrzeszczył oczy.

— Wielmożny pan chyba żartuje? — spytał.

— Nie, spóźniłem się na statek „Carnatic”, a najpóźniej czternastego muszę być w Jokohamie, żeby zdążyć na statek do San Francisco.

— Żałuję — odparł pilot — ale to niemożliwe.

— Daję wam sto funtów dziennie i dwieście funtów nagrody, jeśli przybędę na czas.

— Naprawdę? — spytał pilot.

— Zupełnie serio — odrzekł pan Fogg.

Pilot zamyślił się, patrzył na morze. Chęć dobrego zarobku walczyła w nim z obawą wypuszczenia się tak daleko.

Fix był w śmiertelnej trwodze.

W tej chwili pan Fogg zwrócił się do pani Aoudy:

— Czy nie będzie się pani bała? — zapytał.

— Z panem nie, panie Fogg — odparła.

Pilot zbliżył się do dżentelmena, mnąc czapkę w rękach.

— A więc, pilocie? — zapytał pan Fogg.

— Otóż, wielmożny panie — odparł pilot — nie mogę narażać siebie, swych ludzi i pana, puszczając się w tak daleką podróż na statku zaledwie dwudziestotonowym, i to o tej porze roku. Poza tym nie przybędziemy na czas, bo z Hongkongu do Jokohamy jest tysiąc sześćset pięćdziesiąt mil.

— Tylko tysiąc sześćset — poprawił pan Fogg.

— To wszystko jedno.

Słyszając tę rozmowę, Fix odetchnął głęboko.

— Ale — rzekł pilot — można znaleźć inny sposób.

Fix wstrzymał oddech.

— Jaki?

— Popłynąć do Nagasaki, na południowym krańcu Japonii, o tysiąc sto mil, lub do Szanghaju, o osiemset mil od Hongkongu. Gdy wybierzemy tę drugą trasę, nie oddalimy się zbyt od brzegów chińskich, co byłoby lepsze, szczególnie że tamtejsze prądy płyną na północ.

— Pilocie — odparł pan Fogg — ja muszę wsiąść na amerykański statek w Jokohamie, a nie w Szanghaju czy w Nagasaki.

— Będzie to możliwe — odrzekł pilot. — Statek do San Francisco nie zaczyna rejsu od Jokohamy, zatrzymuje się tam tylko, podobnie jak w Nagasaki, ale portem, z którego wyrusza, jest Szanghaj.

— Czy jesteście tego pewni?

— W zupełności.

— A kiedy statek opuszcza Szanghaj?

— Jedenastego o siódmej wieczór. Mamy więc przed sobą cztery dni, czyli dziewięćdziesiąt sześć godzin, więc robiąc średnio osiem mil na godzinę przy spokojnym morzu i przy południowo-wschodnim wietrze, możemy z łatwością przebyć te osiemset mil, które nas dzielą od Szanghaju.

— A kiedy możecie wyruszyć?

— Za godzinę. Przez ten czas kupię żywność i przygotuję statek do podróży.

— Interes ubity. Czy jesteście właścicielem statku?

— Tak, nazywam się John Bunsby i jestem właścicielem „Tankadery”.

— Czy chcecie zadatek?

— Jeśli to nie urazi wielmożnego pana...

— Oto tymczasem dwieście funtów... Panie — dodał Phileas Fogg, zwracając się do Fixa — jeśli chce pan skorzystać?...

— Panie — odparł mężnie Fix — chciałem właśnie prosić o tę grzeczność.

— Dobrze, za pół godziny będziemy na pokładzie.

— Ale ten biedny chłopak... — rzekła pani Aouda, którą bardzo niepokoiło zniknięcie Obieżyświata.

— Zrobię dla niego wszystko, co będzie można — odrzekł pan Fogg.

Skloniwszy się Fixowi, udał się wraz ze swą towarzyszką do biura policji i do francuskiego konsula, gdzie pozostawił rysopis Obieżyświata i dostateczną ilość pieniędzy, żeby wystarczyło na odesłanie go do kraju. Następnie, zabrawszy rzeczy z hotelu, kazał się wieźć na statek.

Z wybiciem godziny trzeciej statek pilotowy numer czterdzieści trzy z załogą na pokładzie, zaopatrzony w żywność i opał, był gotowy do wypłynięcia na morze.

„Tankadera” była uroczym małym szkunerem o wyporności dwudziestu ton, zwinnym, o zgrabnym kształcie, jakby była prawdziwym jachtem wyśigowym. Lśniący mosiądz, galwanizowane okucia, pokład lśniący bielą jak kość słoniowa — wszystko to wskazywało, że John Bunsby bardzo dba o to, by nadać statkowi elegancki wygląd.

Jego dwa maszty nachylały się lekko ku tyłowi. Nosił grot, marsel, foki i topsle, co świadczyło, że musiał to być statek szybki, który w samej rzeczy nieraz wygrywał nagrody podczas zawodów pilotów. Załoga „Tankadery” składała się z właściciela Johna Bunsby'ego i czterech majtków. Byli to dzielni marynarze, doskonale znający morze. Sam John Bunsby, człowiek czterdziestopięcioletni, olbrzymiego wzrostu, o cerze spalonej, żywym spojrzeniu, wyglądem energicznym, dzielny na swoim stanowisku, wzbudzał swą postacią zaufanie nawet w najbardziej bojaźliwych.

Phileas Fogg i pani Aouda weszli na pokład statku, gdzie Fix już ich oczekiwał. Następnie wszyscy troje udali się do kajuty, pokoiku małego, lecz schludnego.

— Żałuję, że nie mogę panu zaoferować niczego lepszego — rzekł pan Fogg, zwracając się do Fixa.

Inspektorowi policji było niezmiernie przykro korzystać z uprzejmości pana Fogg.

„Jestem prawie pewny — pomyślał — że mam do czynienia ze złodziejem, bardzo grzecznym wprawdzie, ale złodziejem”.

O trzeciej dziesiątej postawiono żagle i statek powoli zaczął się oddalać od brzegu.

Pasażerowie pozostali na pokładzie, a pani Aouda i pan Fogg rzucili ostatnie spojrzenie ku przystani w nadziei ujżenia tam Obieżyświata. Fix ogromnie się obawiał, by jakiś przypadek nie sprowadził tu nieszczęśliwego chłopca, z którym tak niegodziwie postąpił. Lecz Francuz się nie pokazał. Niewątpliwie pozostawał jeszcze pod wpływem narkotyku.

Rozdział XXI. Trudna przeprawa

Morza chińskie są bardzo kapryśne, zwłaszcza w początkach listopada, gdy bywają wystawione na poddmuchy silnych wiatrów.

Tak daleka przeprawa na dwudziestotonowym statku była więc przedsięwzięciem wielce ryzykownym.

Było to też ze strony marynarza dowodem niezwyklej odwagi wypuszczać się w podobnych warunkach aż do Szanghaju, leżącego o osiemset mil od Hongkongu, ale John Bunsby ufał swej „Tankaderze”, sunącej po fali morskiej jak mewa.

— Sądzę, że chyba zbyt czyste byłoby — rzekł pan Fogg do sternika, gdy statek wypłynął na pełne morze — zalecać możliwy pośpiech.

— Niech wielmożny pan będzie spokojny — odparł John Bunsby — zrobi się wszystko, co będzie można.

Phileas Fogg, stojąc na pokładzie, patrzył na wzburzone fale, a młoda kobieta, siedząc na tyle statku, ze wzruszeniem przyglądała się oceanowi, który przepływali na tak wątlym statku. Nad jej głową białe żagle jak wielkie białe skrzydła. Zdawało się, że unoszona wiatrem „Tankadera” frunie w powietrzu.

Nadeszła noc, księżyc znajdował się w pierwszej kwadrze. Jego niewystarczające światło zniknęło wkrótce we mgle horyzontu. Od wschodu nadciągały chmury i zajęły część nieba.

Sternik zapalił światła pozycyjne. Jest to ostrożność konieczna na tych zatłoczonych wodach przybrzeżnych, gdzie łatwo o zderzenia statków.

Fix rozmyślał na pokładzie. Trzymał się na uboczu, wiedząc, że pan Fogg jest z natury małomówny. Poza tym przykro mu było rozmawiać z człowiekiem, którego grzeczności nadużywał. Myślał o przyszłości. Przypuszczał, że prawdopodobnie pan Fogg nie zatrzyma się w Jokohamie, że wsiądzie niezwłocznie na statek do San Francisco, aby dotrzeć do Ameryki, której szersze przestrzenie dadzą mu możliwość ukrycia się i uniknięcia kary. Plan Phileasa Fogg'a wydawał mu się bardzo prosty. Zamiast z Anglii udać się wprost do Ameryki, jak zwyczajny rzeźmieszek, ten Fogg kreśli ogromne koło, zwiedza trzy czwarte globu ziemskiego, żeby bez przeszkody dotrzeć do kontynentu amerykańskiego, gdzie spokojnie przeje pieniądze skradzione z banku. Ale cóż on, Fix, ma zrobić, gdy znajdą się w Stanach Zjednoczonych, czy ma opuścić Fogg'a? Nie, po tysiąc razy nie! Dopóki nie otrzyma rozkazu aresztowania, ani na chwilę go nie odstąpi. Uważa to za swój obowiązek i do końca go spełni. W każdym razie zdarzyła się szczęśliwa okoliczność: Obieżyświata nie było już przy panu Fogg'u, a po tym, co zaszło pomiędzy nim i agentem, było bardzo pożądane, by pan i służący nigdy się nie spotkali.

Pan Fogg myślał ciągle o Francuzie i uwzględniając wszystko, był prawie pewny, że biedny chłopak wskutek jakiegoś nieporozumienia w ostatniej chwili wsiadł na

„Carnatica”. Tak też myślała i pani Auoda, która nie mogła odżalować tego przywiązanego służącego. Pocieszała się myślą, że odnajdą go w Jokohamie.

Około dziesiątej wiatr stał się ostrzejszy, może byłoby rozsądniej zwinąć żagle, ale sternik, zbadawszy dokładnie horyzont, nie zrobił tego. „Tankadera”, mając duże zanurzenie, szła doskonale pod żaglami i zbliżała się szybko do celu.

O północy Phileas Fogg i pani Auoda zeszli do kajuty. Fix uprzedził ich, rozciągnąwszy się na jednym z posłań. Co do sternika i jego ludzi, to ci na całą noc pozostali na stanowisku.

Nazajutrz, 8 listopada, o wschodzie słońca statek miał już za sobą ponad sto mil, robiąc osiem do dziewięciu mil na godzinę. Była to największa szybkość, jaką można było osiągnąć. Gdyby wiatr się nie zmienił, „Tankadera” miała wszelkie szanse na przybycie na czas.

Pan Fogg i młoda kobieta, nie cierpiąc na chorobę morską, spożywali z apetytem konserwy i suchary. Fix, zaproszony do dzielenia z nimi posiłku, chętnie go przyjął. Jego sytuacja z godziny na godzinę stawała się coraz bardziej nieznośna.

Podróżować na koszt tego człowieka, korzystać z jego uprzejmości, wydawało mu się nieuczciwe.

Wreszcie, skończywszy kolację, zwrócił się do pana Fogga i wzięwszy go na stronę, rzekł:

— Proszę pana... Był pan bardzo łaskawy, ofiarując mi miejsce na swym statku, ale choć środki nie pozwalają mi być tak szczodrym jak pan, chcę jednakże zapłacić swoją część.

— Nie mówmy o tym!

— Ależ, proszę pana...

— Nie, proszę pana — powtórzył pan Fogg stanowczym tonem. — To jest wliczone do wydatków ogólnych.

Fix skłonił się i przez cały dzień nie wymówił ani słowa. Tymczasem posuwano się szybko naprzód. John Bunsby miał nadzieję przybyć na czas do Szanghaju. Cała załoga małego okrętu dokładała wszelkich starań. Nadzieja nagrody nęciła tych poczciwców. Rozkazy były sumiennie wypełniane.

Nawet fregata z Królewskiego Jachtklubu nie mogła być lepiej dowodzona. Wieczorem odnotowano, że od Hongkongu statek przepłynął dwieście dwadzieścia mil i Phileas Fogg mógł się spodziewać, że przybywszy do Jokohamy, nie będzie zmuszony

zapisywać opóźnienia. Pierwsza poważna przeszkoda od czasu wyjazdu z Londynu prawdopodobnie zostanie usunięta bez straty czasu.

O brzasku następnego dnia „Tankadera” wsunęła się w cieśninę Fo-Kien, która oddziela dużą wyspę Formozę od brzegu chińskiego, po czym przecięła zwrotnik Raka. Morze w tym miejscu było bardzo niebezpieczne, pełne wirów tworzonych przez przeciwprądy. Statek przechylał się z boku na bok. Trudno było utrzymać się na pokładzie.

Z nadejściem ranka wiatr stał się silniejszy. Przy tym barometr zwiastował bliską zmianę pogody, w ciągu dnia jego wskazania były nierówne, rtęć wahała się kapryśnie. Na południowym wschodzie morze wzdymało się dużymi bałwanami, czuło się zbliżającą się burzę. Poprzedniego dnia słońce zaszło w czerwonej mgle pośród lśniącego fosforycznie oceanu.

Sternik długo badał ten nic dobrego nie wróżący wygląd nieba i mruknął coś niezrozumiałego przez zęby, a znalazłszy się obok swego pasażera, rzekł:

- Czy mogę wielmożnemu panu wszystko wyjawić? — spytał cichym głosem.
- Wszystko — odparł Phileas Fogg.
- Otóż będziemy mieli silny wiatr.
- Czy nadejdzie z północy, czy z południa? — spytał pan Fogg.
- Z południa. Niech pan spojrzy. To nadciąga tajfun.
- Płynmy na tajfun, pogna nas we właściwym kierunku — odrzekł pan Fogg.
- Jeśli pan tak każe — odparł sternik — nie mam nic więcej do dodania.

Przecucia Johna Bunsby'ego nie omyliły go. We wczesnej porze roku tajfun, mówiąc językiem meteorologów, przelatuje jak świecąca kaskada płomieni elektrycznych, ale podczas zimowego zrównania dnia z nocą należało obawiać się jego gwałtowności.

Sternik podjął wszelkie środki ostrożności.

Sumiennie zbadano i zakryto luki statku, aby ani jedna kropla wody z zewnątrz nie dostała się do wnętrza. Zwinięto wszystkie żagle i rozpięto jedynie trójkątny żagiel sztormowy z mocnego płótna, by chwytać wiatr od tyłu.

John Bunsby zaproponował pasażerom zejście do kajuty, lecz ciasne i duszne pomieszczenie nie nęciło ich wcale, woleli więc pozostać na pokładzie.

Około ósmej zerwał się silny wicher i spadł ulewny deszcz. „Tankadera” ze swym jedynym żaglem, niesiona wiatrem, mknęła jak piórko z szybkością trudną do opisaną. Przez cały dzień statek pędził w stronę północy, unoszony przez olbrzymie bałwany,

zachowując na szczęście jednakową prędkość. Ze dwadzieścia razy góry wodne piętrzyły się za statkiem, ledwie go nie zalały, ale za każdym razem sternik zręcznym ruchem unikał niebezpieczeństwa. Na podróży niekiedy bryzgały strumienie wody, ale znosili wszystko z prawdziwym stoicyzmem. Fix złorzeczył, lecz wstydząc się odważnej pani Aoudy, udawał zucha.

Co do Phileasa Fogga, to tajfun zdawał się należeć do programu jego wycieczki.

Dotychczas „Tankadera” posuwała się ciągle ku północy, lecz pod wieczór, tak jak się tego obawiano, wiatr zmienił kierunek i zaczął dąć z północnego zachodu. Statek, mocno pochylony na bok, nieustannie był wstrząsany bałwanami.

Z nadejściem nocy burza wzmogła się jeszcze. John Bunsby, widząc ogarniającą morze ciemność, zaniepokoił się mocno. Zastanawiał się, czy nie czas przerwać żeglugę. Poradziwszy się swej załogi, zwrócił się następnie do pana Fogga i rzekł:

— Sądzę, wielmożny panie, że dobrze byłoby zawinąć do któregoś z portów na wybrzeżu.

— Ja też tak myślę — odparł pan Fogg.

— A — rzekł sternik. — A więc do którego?

— Ja znam tylko jeden — odparł pan Fogg.

— A jest nim?...

— Szanghaj.

Sternik nie pojął w pierwszej chwili, co miała znaczyć ta odpowiedź, lecz namyśliwszy się, wykrzyknął:

— A więc dobrze, wielmożny pan ma słuszność. Do Szanghaju!

I statek utrzymał kurs na północ.

Noc była okropna. Prawdziwy cud, że maleńki statek jeszcze się nie wywrócił. Dwa razy przechylił się prawie prostopadle.

Pani Aouda była zupełnie wyczerpana, ale żadna skarga nie wyszła z jej ust. Wielokrotnie pan Fogg musiał ją ratować przed gwałtownością fal.

Nastał dzień. Burza wciąż szalała z furją, ale wiatr zmienił się i znowu dął z południowego wschodu. Zmiana była korzystna i „Tankadera” popłynęła z nową energią.

Od czasu do czasu przez rozdarcia we mgle widać było brzeg, ale nie widziano żadnego statku. „Tankadera” była sama jedna na olbrzymiej morskiej przestrzeni.

W południe morze zaczęło się uspokajać, a z zachodem słońca uciszyło się znacznie. Podróżni, okropnie wyczerpani, mogli odpocząć i posilić się.

Noc była stosunkowo spokojna. Rozpięto wszystkie żagle, szybkość statku była znaczna. Nazajutrz o świcie, jedenastego, John Bunsby rozpoznał kształt wybrzeża i oznajmił, że znajdują się o sto mil od Szanghaju. Sto mil, a im został tylko jeden dzień, aby je przebyć! Jeśli pan Fogg chciał zdążyć na statek z Jokohamy, musiał tego wieczoru być w Szanghaju. Gdyby nie burza, podczas której stracili kilka godzin, już byłiby o trzydzieści mil od portu.

Wiatr znacznie się zmniejszył i morze opadało. Na „Tankaderze” rozpięto wszystkie żagle.

W południe byli już o czterdzieści pięć mil od Szanghaju. Pozostało im jeszcze sześć godzin na osiągnięcie portu. Na statku panował żywy niepokój. Chciano koniecznie przybyć na czas. Aby to osiągnąć, statek musiał płynąć ze średnią prędkością dziesięciu mil na godzinę, a tymczasem wiatr ciągle słabł.

O siódmej byli jeszcze o trzy mile od Szanghaju. Sternik zaklął straszliwie. Nagroda dwustu funtów szterlingów wymykała mu się z rąk. Spojrzał na pana Foggę, który nie stracił ze swego spokoju, choć w tej chwili stawką był cały jego majątek.

W tej właśnie chwili na powierzchni wody ukazał się wrzecionowaty, czarny kształt zwieńczony pasmem dymu. Był to parostatek amerykański wychodzący z portu o przepisowej godzinie.

— Przekleństwo! — wykrzyknął John Bunsby, odpychając z rozpaczą ster.

— Sygnały! — rzekł spokojnie pan Fogg.

Na przodzie statku „Tankadera” znajdowało się małe działko. Służyło ono do dawania sygnałów w czasie mgły. Działko nabito prochem po sam otwór, lecz w chwili, gdy sternik chciał przyłożyć żarzący się węgiel, pan Fogg zawołał:

— Opuścić banderę!

Opuszczono banderę do połowy masztu. Był to sygnał wzywający pomocy. Można się było spodziewać, że parowiec amerykański, zauważywszy go, zmieni nieco kurs i zbliży się do statku pilotowego.

— Ognia! — rozkazał pan Fogg.

I wystrzał z działka rozległ się w powietrzu.

Rozdział XXII. Obieżyświat przekonuje się, że nawet na antypodach nieźle jest mieć pieniądze w kieszeni

„Carnatic”, opuściwszy 7 października Hongkong o wpół do siódmej wieczorem całą siłą pary podążył ku Japonii. Wiózł pełny ładunek i komplet pasażerów. Tylko dwie kajuty, zarezerwowane dla pana Fogga i pani Aoudy, pozostały niezajęte. Nazajutrz rano załoga statku zauważyła ze zdziwieniem pasażera o na wpół idiotycznym wyglądzie, niepewnym chodzie i z głową rozczochraną, wychodzącego z kajuty drugiej klasy.

Pasażerem tym był Obieżyświat we własnej osobie.

Oto, co się z nim stało.

W parę chwil po wyjściu Fixa z szynku dwóch chłopców podniosło mocno uśpionego Obieżyświata i złożyło go na łożu przeznaczonym dla palaczy opium. Lecz w trzy godziny później, dręczony nawet we śnie jakąś uporczywą myślą, obudził się i przezwyciężył narkotyczne działanie opium. Myśl o niewypełnionym obowiązku przemogła jego ociężałość.

Opuściwszy łóżko, chwiejąc się i trzymając muru, padając i na nowo się podnosząc, pchany nieprzewyciężoną siłą instynktu, wyszedł z szynku, krzycząc jakby przeze sen: „Carnatic! Carnatic!”

O kilka kroków od niego stał statek, mający właśnie odbić od brzegu. Obieżyświat rzucił się ku mostkowi, dopadł pokładu i upadł bez życia na podłogę w chwili, gdy „Carnatic” ruszył na otwarte morze.

Kilku majtków podniosło go i zniosło do kajuty drugiej klasy, gdzie zbudził się nazajutrz rano, sto pięćdziesiąt mil od lądu chińskiego.

Dlatego też tego ranka Obieżyświat znajdował się na pokładzie „Carnatica” i całą pierś wchłaniał świeże morskie powietrze. To go otrzeźwiło. Zaczął zbierać myśli. Na początku szło mu z wielką trudnością, lecz stopniowo przypominał sobie wczorajsze zajście, zwierzenia Fixa, scenę w szynku i tak dalej.

„Oczywiście byłem mocno pijany” — myślał. „Co powie na to mój pan? W każdym razie nie spóźniłem się na statek, a to najważniejsze”.

Pomyślawszy o agencie, rzekł do siebie:

— Spodziewam się, że uwolniliśmy się od niego. Po tym, co mi proponował, nie ośmieliłby się wsiąść z nami na statek. Mój pan miałby być złodziejem, podejrzanym o

kradzież w Banku Anglii? Nie, to za wiele. Z pana Fogga taki złodziej, jak ze mnie morderca.

Czy miał wszystko wyznać swemu panu? Nie, lepiej poczeka i dopiero w Londynie powie mu, że jakiś agent tropił go po całym świecie. Ależ wtedy będzie śmiechu!

Obieżyświat zebrał siły i niepewnym jeszcze krokiem udał się na rufę statku.

Na pokładzie nie znalazł ani swego pana, ani pani.

„Pani Aouda pewnie jeszcze śpi” — pomyślał. „Co do pana Fogga, to znalazł zapewne partnera do wista i swoim zwyczajem...”

Tak rozmyślając, wszedł do salonu. Pana Fogga tam nie było. Zwrócił się więc do chłopca okrętowego z prośbą o wskazanie mu kajuty zajmowanej przez pana Fogga. Chłopiec odpowiedział, że nie ma żadnego pasażera o tym nazwisku.

— Przepraszam — rzekł, nalegając, Obieżyświat — czy nie widziałeś wysokiego, małomównego pasażera w towarzystwie młodej kobiety?

— Nie ma żadnej kobiety na statku — odrzekł chłopiec. — Proszę, oto lista pasażerów. Może pan ją przejrzeć.

Obieżyświat rzucił okiem na listę. Na próżno jednak szukał, nazwiska jego pana na niej nie było.

Przeraził się, lecz zaraz się opamiętał.

— Czy na pewno jestem na „Carnaticu”? — zapytał.

— Tak — odrzekł chłopiec.

— W drodze do Jokohamy.

— Oczywiście.

Biedny chłopiec padł na fotel jak rażony gromem. Wszystko od razu stało się jasne. Przypomniał sobie, że miał uprzedzić swego pana o przesunięciu godziny wypłynięcia statku i że tego nie zrobił. A więc z jego winy pan Fogg i pani Aouda spóźnili się na statek.

Tak, to z jego winy, a właściwie z winy tego zdrajcy, którego podstęp dopiero teraz zrozumiał.

Niegodziwiec, chcąc go oddzielić od pana, by tamtego zatrzymać w Hongkongu, spoił go w szynku. Wskutek tego pan Fogg będzie zrujnowany, zakład przegrany, on sam zaś aresztowany, może nawet uwięziony.

Na samą myśl o tym Obieżyświat z rozpaczą wrywał sobie włosy z głowy.

Ach! Gdyby mu teraz Fix wpadł w ręce, porachowałby się z nim sumiennie!

Po chwili jednak opamiętał się i zaczął na zimno rozważać swoje położenie. Płynął do Japonii bez pensa przy duszy i nie widział sposobu powrotu stamtąd. Dobrze przynajmniej, że jego przejazd i utrzymanie na statku były wcześniej opłacone, ponadto miał przed sobą pięć czy sześć dni, a przez ten czas można coś obmyślić.

Trzynastego o świcie „Carnatic” wszedł do portu Jokohama. Był to jeden z większych przystanków na Pacyfiku, gdzie zatrzymują się statki przewożące pocztę i podróżnych między Ameryką Północną, Chinami, Japonią i wyspami Malezji. Jokohama leży w zatoce Edo, niedaleko ogromnego miasta o tej samej nazwie, drugiej stolicy japońskiej.

Przybiwszy do portu, „Carnatic” znalazł się między mnóstwem statków z najróżniejszych krajów.

Zszedłszy na ląd w ziemi Synów Słońca, Obieżyświat zaczął się błąkać po ulicach miasta.

Dzielnica, w której się obecnie znajdował, miała całkiem europejski wygląd: domy o niskich fasadach, okolone werandami, pod którymi wznosiły się eleganckie kolumny, piękne ulice, place i magazyny. Tak samo jak w Hongkongu i Kalkucie roilo się od różnobarwnego tłumu Amerykanów, Anglików, Chińczyków i Holendrów, kupców gotowych do kupna i sprzedaży, między którymi nasz Francuz czuł się tak obco, jakby się znalazł w kraju Hotentotów.

Aby wydobyć się z przykrej sytuacji, powinien się zwrócić do konsula francuskiego i angielskiego, ale tak niezręcznie mu było opowiadać swą historię, ściśle związaną z historią jego pana, że postanowił uciec się do tego tylko w ostateczności.

Obszedłszy część europejską miasta, przeszedł do dzielnicy japońskiej, zdecydowany w razie potrzeby pójść aż do Edo.

Ta część miasta zwie się Benten, od imienia bogini morza, czczonej przez ludność sąsiednich wysp. Ciągnęły się tu piękne aleje jodeł i cedrów, wśród nich święte bramy dziwnej architektury; świątynie ocienione melancholijną gęstwiną cedrów stuletnich, święte schronienia kapłanów buddyjskich i wyznawców religii Konfucjusza; dalej ulice bez końca, a na nich mnóstwo dzieciaków o różowych buziach, bawiących się wśród pudli o krótkich nogach, żółtych kotów bez ogonów, bardzo leniwych, lecz przymilnych.

Na ulicy panował ogromny ruch, procesje z odgłosem bębnow, urzędnicy celni, oficerowie i żołnierze w niebieskich kretonach, z nabitą bronią, przyboczna gwardia mikada w swoich jedwabnych kaftanach, w pancerzach i mnóstwo innych wojskowych różnych stopni. W Japonii wojenne rzemiosło jest poważane tak bardzo, jak w Chinach pogardzane. Następnie spotykał tłumy braci żebrzących, pielgrzymów w długich

szatach, zwyczajnych śmiertelników o gładkich czarnych włosach, dużych głowach i długich tułowiach, cienkich nogach, cerze rozmaitej barwy, począwszy od ciemnego odcienia miedzi aż do matowej bieli.

Kilka godzin przechadzał się Obieżyświat w tym pstrym tłumie, przechodząc koło pięknych i bogatych sklepów i wystaw pełnych japońskich świecideł, restauracji, tak zwanych herbaciarni, gdzie po całych dniach pije się herbatę z domieszką sake, wódki z ryżu, zbytkownie urządzonych palarni, gdzie palą bardzo dobry tytoń (w Japonii prawie nie używa się opium). Idąc wciąż przed siebie, Obieżyświat znalazł się wreszcie w polu, pośród ogromnych plantacji ryżu. Rozkwitały tam także przepyszne kamelie, rosnące nie na krzakach, lecz na drzewach w otoczeniu drzew bambusowych, wiśniowych, śliwkowych i jabłkowych, które krajowcy hodują bardziej dla kwiatów niż dla owoców. Od dziobów wróbli, gołębi, wron i innego złodziejskiego ptactwa, strzegły je szkaradne straszdyła i hałaśliwe kołowrotki. Na cedrach bujały orły, na wierzbach płaczących ukrywały się melancholijne czaple; wszędzie pełno było wron, kaczek, dzikich gęsi i mnóstwo żurawi, bardzo szanowanych przez Japończyków i będących dla nich symbolem szczęścia i długiego życia.

Tak się błakając, Obieżyświat zauważył w trawie kilka fiołków.

„Dobrze!” — pomyślał. „Będę miał kolację”.

Ale powąchawszy je, nie wyczuł żadnego zapachu. Przewidujący Francuz przed opuszczeniem statku zjadł obfite śniadanie, ale po kilkogodzinnej przechadzce poczuł dotkliwy głód. Zauważywszy, że w jatkach nie było mięsa ani baraniego, ani wieprzowego, a wiedząc, że świętokradztwem jest zabijanie byków przeznaczonych do uprawy roli, Obieżyświat doszedł do przekonania, że mięso w Japonii musi być bardzo drogie. Nie pomylił się co do tego, ale nie zależało mu wcale na mięsie z jatek, zadowoliliby się z chęcią zwykłym pożywieniem Japończyków: ćwiartką cielęciny, kuropatwą lub przepiórką, czymkolwiek z drobiu lub ryby, z garstką ryżu do tego. Jednak musiał się bez tego wszystkiego obejść i z rezygnacją myśl o posiłku odłożył do jutra.

Z nadejściem nocy wszedł do dzielnicy japońskiej, gdzie się błakał przy świetle różnokolorowych latarni, przypatrując się grupom tancerzy wykonujących dziwaczne ruchy i astrologom, dookoła których zbierały się tłumy ciekawych słuchaczy.

Rozdział XXIII. Nos Obieżyświata wydłuża się

Nazajutrz głodny i wycieńczony Obieżyświat rozmyślał nad sposobami zdobycia jakiegokolwiek posiłku. Mógłby sprzedać zegarek, ale wolał umrzeć z głodu, niż zrobić coś podobnego. Nadeszła więc chwila dla poczciwca, w której mógłby spożytkować swój silny, choć niezbyt melodyjny głos.

Znał kilka piosenek francuskich i angielskich, postanowił więc spróbować. Miał Japończyków za naród muzykalny, gdyż wszystko odbywa się u nich przy dźwiękach tam-tamu, cymbałów i tamburynów; nie mogli więc nie docenić talentu europejskiego artysty.

Było może zbyt wcześnie, żeby rozpocząć koncert i zbudzeni amatorzy muzyki nie zechcą zapłacić artyście brzęczącą monetą, postanowił więc jeszcze kilka godzin poczekać i przez ten czas się przebrać, gdyż jego ubranie wydawało mu się zbyt strojne jak na artystę. Chciał je zamienić na kapotę, a zamiana ta, mogąca mu przysporzyć trochę grosza, była bardzo pożyteczna ze względu na jego głód. Po długich poszukiwaniach Obieżyświat znalazł nareszcie handlarza, któremu zaproponował zamianę. Kupcowi podobał się strój i wkrótce nasz Francuz ukazał się w starej japońskiej szacie i wyblakłym od słońca turbanie. Kilka srebrnych monet zadźwięczało w jego ręku.

„Doskonale” — pomyślał. „Niech mi się zdaje, że jesteśmy w karnawale”.

Tak zjaponizowany wszedł do bardzo skromnie wyglądającej herbaciarni i zjadł śniadanie złożone z kurczęcia i kilku garści ryżu.

Posiliwszy się, zaczął rozmyślać nad sposobami jak najprędszego opuszczenia Kraju Słońca. Zamierzał odwiedzić statki udające się do Ameryki i zaoferować swe usługi jako kucharz lub służący, jedynie za przejazd i utrzymanie. Po przybyciu do San Francisco da sobie już tam radę. Oby tylko przebyć te cztery tysiące siedemset mil Oceanu Spokojnego, dzielące Japonię od Nowego Świata.

Obieżyświat lubił prędko wykonywać raz powzięte postanowienie, pospieszył więc do portu. Lecz w miarę jak zbliżał się do doków, projekt jego, na pozór tak prosty, wydawał się coraz trudniejszy do wykonania.

Z jakiej racji amerykański statek miałby przyjąć go na służbę, dlaczego miałby mu zaufać, skoro nie miał ani listu polecającego, ani świadectwa do pokazania?

Tak rozmyślając, spojrzął przypadkiem na ogromny afisz, dźwigany przez kłowna przebiegającego ulicę Jokohamy. Afisz ten oznajmiał:

Akrobatyczna sztuka japońska
Szanownego Williama Batulkara
Ostatnie przedstawienie
przed wyjazdem do Stanów Zjednoczonych Ameryki
słynnych Długich Nosów
pod bezpośrednią opieką boga Tingu
Wielka atrakcja!

Idąc w ślad za człowiekiem-afiszem, Obieżyświat doszedł do dzielnicy japońskiej. W kwadrans później zatrzymał się przed obszerną budą udekorowaną chorągiewkami. Na deskach tworzących ścianę jakiś artysta przedstawił w bardzo jaskrawych barwach całą bandę kuglarzy. Było to pomieszczenie szanownego Batulkara, dyrektora trupy kuglarzy, kłownów, akrobatów, linoskoczków, gimnastyków, którzy, sądząc z afiszy, dawali ostatnie przedstawienie przed wyjazdem do Stanów Zjednoczonych. Obieżyświat wszedł pod galeryjkę przed budą i spytał o pana Batulkara. Pan Batulkar ukazał się we własnej osobie.

— Czego chcecie, człowieku? — spytał Obieżyświata, biorąc go za krajowca.

— Czy nie przyjąłby pan czasem służącego? — spytał Obieżyświat.

— Służącego! — zawołał Batulkar, głaszcząc swą gęstą, siwą brodę. — Mam dwóch posłusznych, wiernych, którzy mnie nigdy nie opuszczają, a służą mi darmo, tylko za wyżywienie. A otóż oni — dodał, pokazując swe dwa mocne ramiona, po których przechodziły żyły grube jak postronki.

— Więc nie mogę panu niczym służyć?

— Niczym!

— Tam do licha! Bardzo bym chciał jednak zabrać się z panem.

— Ach, tak — rzekł szanowny Batulcar. — Z ciebie taki Japończyk, jak ze mnie małpa. Dlaczegoś się tak ubrał?

— Ludzie ubierają się, jak mogą.

— To prawda. Jesteś Francuzem?

— Tak, czystej krwi Paryżaninem.

— W takim razie umiesz zapewne stroić miny?

— Na honor — odparł Obieżyświat trochę urażony — my Francuzi, umiemy stroić miny, jednak nie dorównujemy w tym Amerykanom.

— Ma się rozumieć. Otóż, nie przyjmę cię na służącego, ale mogę cię zatrudnić jako kłowna. We Francji angażują błaznów zagranicznych, za granicą zaś błaznów francuskich.

— Panie!...

— Jesteś silny, prawda?

— Szczególnie, gdy wstaję od stołu.

— Śpiewasz?

— Tak — odparł Obieżyświat, który niegdyś zdobywał laury na ulicy.

— Ale czy umiesz śpiewać, stojąc na głowie, mając na stopie jednej wirującego bąka, a na drugiej szablę stojącą na ostrzu?

— Poradzę sobie! — wykrzyknął Obieżyświat, przypomniawszy sobie pierwsze ćwiczenia swego młodocianego wieku.

— A więc załatwione — rzekł szanowny Batulkar i Obieżyświat, dzięki swym talentom, zyskał posadę.

Nie było to stanowisko zbyt zaszczytne, miało jednak dla niego tę wartość, że za tydzień będzie w drodze do San Francisco. Przedstawienie, o którym z tak wielkim hałasem obwieszczał Batulkar, miało się rozpocząć o godzinie trzeciej. Dźwięki ogromnych instrumentów, tamburynów i tam-tamów, z których się składała orkiestra, rozlegały się już u wejścia.

Obieżyświat nie miał nawet czasu przygotować się do swej roli, gdy kazano mu wziąć udział w wielkim przedstawieniu, wykonywanym przez Długie Nosy boga Tingu. Jeszcze przed trzecią publiczność napełniła obszerne wnętrze budy. Europejczycy, krajowcy, mężczyźni, kobiety i dzieci — wszystko to spieszyło i zajmowało ławki i łóżka, znajdujące się naprzeciw sceny. Muzykanci weszli do środka i przy ogłuszających i przeraźliwych dźwiękach japońskiej muzyki, przedstawienie się rozpoczęło. Trzeba przyznać, że Japończycy są pierwszymi kuglarzami świata. Jeden z nich tak manewrował wachlarzami i maleńkimi kawałkami papieru, że zdawało się, iż przerzuca w rękę motyle i kwiaty. Drugi dymem z fajki nakreślał szybko w powietrzu kilka niebieskawych słów, wyrażających komplement dla zebranej publiczności. Inny znów okazywał swą zręczność za pomocą wirujących bąków. W jego rękach te ruchliwe maszynki zdawały się ożywać i trwać w nieskończonym ruchu: biegały po cybuchu fajki, po ostrzu szpady, po drucie, wreszcie przebiegały z jednego końca sceny na drugi, biegały naokoło brzegu kryształowych waz, zstępowały z bambusowych schodów, gubiąc się we wszystkich kątach i sprawiając dziwne, lecz harmonijne wrażenie.

Trudno opisać zręczność, z jaką akrobaci i kuglarze tej trupy wykonywali najrozmaitsze i najtrudniejsze ćwiczenia. Ćwiczenia na drążku, na kuli i na beczce wykonane zostały z niezwykłą dokładnością. Lecz najbardziej zajmującym numerem przedstawienia miał być występ Długich Nosów, zadziwiających akrobatów, których Europa dotąd nie знаła. Długie Nosi tworzyły bractwo znajdujące się pod bezpośrednią opieką boga Tingu. Odziani w stroje średniowiecznych bohaterów, mieli przymocowane do pleców po parze dużych skrzydeł. Lecz tym, co ich szczególnie wyróżniało, były niezwykle długie nosy. Nosi te były z bambusu, długości pięciu do dziesięciu stóp. Jedne z nich były proste, drugie zgięte, inne znów gładkie lub pokryte brodawkami. Otóż na tych to silnie przymocowanych nosach wykonywali najrozmaitsze sztuki. Ze dwunastu tych sług boga Tingu kładło się na wznak, a inni ich towarzysze, skacząc i fruując z jednego końca na drugi, wykonywali najdziwaczniejsze ruchy. Na koniec przedstawienia zapowiedziano publiczności piramidę ludzką, w której miało wziąć udział pięćdziesiąt Długich Nosów. Zamiast utworzyć tę piramidę, trzymając się za bary, artyści Batulkara spajali się nosami. Ponieważ jeden z akrobatów tworzących podstawę piramidy opuścił trupę, wybrano więc na zastępcę Obieżyświata, jako człowieka zręcznego i silnego.

Obieżyświat, włożywszy średniowieczny kostium ze różnokolorowymi skrzydłami, musiał się jeszcze zaopatrzyć w olbrzymi nos. Nie było to dla niego zbyt przyjemne, gdyż nasuwało przykre wspomnienia lat dziecięcych, ale trzeba się było poddać konieczności. Obieżyświat wszedł na scenę i wraz ze swymi kolegami, mającymi utworzyć podstawę piramidy, położył się na ziemi z nosem zwróconym ku górze, służąc tym sposobem za punkt oparcia drugiemu rzędowi akrobatów, a ten znów trzeciemu, czwartemu i tak dalej. Wkrótce na tych nosach, dotykających się czubkami, wzniosła się wysoka piramida z ciał ludzkich. Publiczność była zachwycona, a jej entuzjazm wzmógł się jeszcze, gdy jeden z Nosów się usunął, wskutek czego cała budowla, straciwszy równowagę, zadrżała i runęła jak domek z kart.

Sprawcą tego wypadku był Obieżyświat, który opuścił swój posterunek i przeskoczywszy balustradę, wdrapał się na galerię z prawej strony i upadł do nóg jednego z widzów, wołając:

- Ach! Mój panie, mój panie!
- To ty?
- To ja.
- A to dobrze, w takim razie na statek, mój chłopcze.

Pani Aouda, pan Fogg i uradowany Obieżyświat pospiesznie opuścili budę. Pod kolumnadą spotkali pana Batulkara, wściekłego z gniewu i domagającego się odszkodowania za zniszczenie piramidy. Pan Fogg uspokoił go, rzucając mu paczkę banknotów, a o wpół do dziewiątej wszyscy troje wsiedli na statek, udający się do Ameryki.

Obieżyświat nie miał nawet czasu odcepić skrzydeł i nosa.

Rozdział XXIV. Podróż przez Ocean Spokojny

Co się stało w Szanghaju, łatwo sobie wyobrazić. Sygnał z „Tankadery” usłyszano na statku z Jokohamy. Kapitan, zauważywszy opuszczoną do połowy banderę, zbliżył się do małego statku. W parę minut potem pan Fogg wręczył Johnowi Bunsby'emu pięćset pięćdziesiąt funtów wynagrodzenia, po czym wsiadł z panią Aoudą i Fixem na statek udający się do Nagasaki i Jokohamy.

Przybywszy tego ranka, czyli 14 listopada, o godzinie zgodnej z rozkładem, pan Fogg, pozostawił Fixa samemu sobie i udał się na „Carnatica”, gdzie ku wielkiej radości pani Aoudy, a może i swojej, choć nie dał po sobie tego poznać, dowiedział się, że Francuz rzeczywiście przybył poprzedniego dnia do Jokohamy. Pan Fogg natychmiast zaczął poszukiwania.

Zwrócił się do konsula francuskiego i angielskiego, ale żaden nic o Obieżyświacie nie wiedział. Przebiegał na próżno ulice Jokohamy i zaczął tracić już nadzieję znalezienia swego służącego, gdy przypadek, a raczej przeczucie spowodowało go do budy Batulkara. Nigdy nie rozpoznałby swego służącego pod ekscentrycznym przebraniem, ale ten ze swej leżącej pozycji dostrzegł swego pana na galerii i pobiegł do niego. Pani Aouda opowiedziała mu, jak odbyli podróż na „Tankaderze” z Hongkongu do Jokohamy, i dodała, że im przez cały czas towarzyszył pan Fix. Przy nazwisku Fixa Obieżyświat nie zdradził swojej z nim znajomości. Opowiadając o swych przygodach, Obieżyświat przyznał się tylko, że upił się w szynku w Jokohamie, co było powodem wszystkich przykrości.

Pan Fogg, obojętnie wysłuchawszy opowiadania, nakazał służącemu postarać się o odpowiednie ubranie i dał mu na nie pieniądze. Po upływie godziny poczciwy chłopak, pozbywszy się skrzydeł i nosa, w niczym nie był już podobny do sługi boga Tingu. Statek, na którym nasi podróżni udawali się do San Francisco, nazywał się „General Grant”.

Był to duży trójmasztowiec, dobrze urządzony i bardzo szybki. Robiąc dwanaście mil na godzinę, statek ten mógł w dwadzieścia jeden dni przebyć Ocean Spokojny. Pan Fogg mógł więc śmiało przypuszczać, że przybywszy jedenastego do Nowego Jorku, stanie w Londynie o parę godzin przed ważną dla niego datą 21 grudnia.

Liczba pasażerów jadących wraz z nimi była dość znaczna. Byli między nimi Anglicy, wielu Amerykanów i sporo wysłużonych oficerów wojsk indyjskich.

Podczas tej podróży nie zdarzył się żaden wypadek. Statek, na swych szerokich kołach, wsparty żaglami, prawie się nie kołysał. Ocean Spokojny w zupełności odpowiadał nazwie. Pan Fogg jak zwykle był milczący. Jego młoda towarzyszka coraz bardziej przywiązywała się do tego człowieka; spokojna, a zarazem szlachetna natura pana Fogga robiła na niej wrażenie, jakiego on się nawet nie domyślał. Przy tym bardzo się interesowała planami dżentelmena. Obawiała się przeszkód zagrażających zwycięstwu pana Fogga. Często mówiła o tym z Obieżyświatem, który ją uspokajał co do wyniku podróży, przekonując, że po przebyciu Chin i Japonii trudniejszą część podróży mają już za sobą.

W samej rzeczy w dziewięć dni po opuszczeniu Jokohamy pan Fogg przebył połowę kuli ziemskiej. 23 listopada „Generał Grant” minął sto osiemdziesiąty południk. Z osiemdziesięciu dni przeznaczonych na podróż, pięćdziesiąt dwa już zużyto, więc pozostawało panu Foggowi tylko dwadzieścia osiem.

Przy tym trzeba wziąć pod uwagę że choć dżentelmen znajdował się w połowie drogi według różnicy południków, w rzeczywistości zaś odbył więcej niż dwie trzecie trasy. Jakimi jednak trudnościami była najeżona podróż z Londynu do Adenu, z Adenu do Bombaju, z Kalkuty do Singapuru, z Singapuru do Jokohamy? Gdyby mógł podróżować prosto wzdłuż pięćdziesiątego równoleżnika, na którym leży Londyn, trasa miałaby tylko dwanaście tysięcy mil, podczas gdy pan Fogg skutkiem niedoskonałości komunikacji zmuszony był przebyć dwadzieścia sześć tysięcy mil, z których, jak dotąd, do dnia 23 listopada, siedemnaście i pół tysiąca miał poza sobą. Teraz reszta trasy wiodła prosto, a nie było już Fixa, stwarzającego im przeszkody.

Dnia 23 listopada Obieżyświat doznał wielkiej radości. Uparty chłopiec w swoim czasie nie chciał przesunąć wskazówek swego rodzinnego zegarka, uważając, że wszystkie zegary mijanych krajów wskazywały fałszywy czas. Otóż tego dnia zegarek dokładnie zgadzał się z chronometrem na statku.

Jakże chętnie oznajmiłby o tym Fixowi, temu łotrowi, który opowiadał mu historyjki o południkach, słońcu i księżycu!

— Ot, ładnie by się wyglądało, gdyby się słuchało takich ludzi. Byłem przekonany, że pewnego pięknego poranka słońce zastosuje się do mojego zegarka.

Obieżyświat nie miał pojęcia, że gdyby tarcza jego zegarka była podzielona na dwadzieścia cztery godziny, jak tarcze czasomierzy włoskich, nie miałby powodu do triumfu. Wskazówki jego zegarka wskazywałyby wówczas nie dziewiątą rano, którą pokazywał teraz chronometr statku, lecz dziewiątą wieczorem, to jest dwudziestą pierwszą godzinę po północy. Dokładnie taka jest różnica czasu pomiędzy Londynem a sto osiemdziesiątym południkiem. Ale gdyby nawet Fix potrafił wyjaśnić to czysto fizyczne zjawisko, Obieżyświat nie byłby w stanie zrozumieć, a już na pewno by się nie zgodził. Zresztą gdyby agent pokazał się w tej chwili na pokładzie, Obieżyświat nie dyskutowałby z nim tej sprawy, ale zupełnie co innego i w całkiem inny sposób.

A gdzie był w tej chwili Fix? Naturalnie na „Generale Grandzie”.

Przybywszy do Jokohamy, agent opuścił pana Fogga i udał się natychmiast do konsula angielskiego. Tam nareszcie znalazł rozkaz aresztowania, który czterdzieści dni wcześniej wysłano do Bombaju, następnie do Hongkongu statkiem „Carnatic”, tym samym, którym miał płynąć. Wyobraźmy sobie rozpacz agenta! Rozkaz aresztowania był bezużyteczny, gdyż pan Fogg opuścił posiadłości angielskie.

— Jeszcze nie wszystko stracone — pocieszał się, ochłonąwszy z pierwszego gniewu. — W Anglii rozkaz zrobi swoje. Łotr ma zamiar wrócić do ojczyzny, sądząc, że wymknął się z rąk policji. Ja będę mu wszędzie towarzyszył! Ale co do pieniędzy, to oby ich Bóg strzegł! Koszta podróży, nagrody, jałmużny, słoń i inne wydatki pochłonęły ponad pięć tysięcy funtów.

Tak postanowiwszy, wszedł na „Generała Granta”.

Znajdował się na pokładzie, gdy nadeszli pan Fogg i pani Aouda. Ku swemu najwyższemu zdziwieniu rozpoznał Obieżyświata, mimo jego stroju bohatera. Skrył się natychmiast do kajuty, by uniknąć nieprzyjemnych wyjaśnień. Sądził, że w dużej liczbie podróżnych nie zostanie zauważony przez swego wroga. Jednak opisywanego dnia dwaj nieprzyjaciele spotkali się niespodzianie na pokładzie statku.

Bez żadnych wyjaśnień Obieżyświat skoczył do Fixa i ku wielkiemu zadowoleniu kilku Amerykanów, którzy natychmiast założyli się, stawiając na niego, pokazał nieszczęśliwemu agentowi, o ile pięść francuska stoi wyżej od angielskiej.

Skończywszy go okładać, Obieżyświat odetchnął swobodniej, Fix zaś podniósł się w opłakanym stanie i spojrzawszy na swego przeciwnika, zapytał chłodno:

— Już pan skończył?

— Tak, na razie.

— Chcę z panem pomówić.

— Jeszcze...

— W interesie pańskiego chlebodawcy.

Obieżyświat po chwilowym wahaniu poszedł za inspektorem policji i obydwaj usiedli na dziobie statku.

— Pobił mnie pan — rzekł Fix — ale teraz niech pan mnie posłucha. Dotychczas byłem nieprzyjacielem pana Fogga, teraz chcę działać z nim wspólnie.

— Nareszcie! — zawołał Obieżyświat. — Uwierzył pan w jego uczciwość?

— Nie — odparł chłodno Fix. — Mam go za nicponia. Pst... proszę nic nie mówić i dać mi skończyć. Dopóki pan Fogg znajdował się w posiadłościach angielskich, było w moim interesie zatrzymać go; robiłem w tym celu wszystko, co było można. To ja zbuntowałem kapłanów w Bombaju, to ja spoilem pana w Hongkongu, by odłączyć od pana Fogga, który przez to spóźnił się na statek do Jokohamy.

Obieżyświat słuchał, zaciskając pięści.

— Teraz — ciągnął dalej Fix — o ile mi się zdaje, wraca do Anglii. Dobrze, ja mu będę towarzyszył i o ile wtedy gromadziłem przeszkody, teraz dołożę wszelkich starań, aby je usunąć. Otóż widzi pan, że zmieniłem grę, a zmieniłem ją dlatego, że leży to w moim interesie. Dodam tylko, że powinno być i w pańskim, bo dopiero w Anglii się pan dowie, czy służy pan u przestępcy, czy u porządnego człowieka.

Obieżyświat słuchał uważnie, w końcu uwierzył w prawdziwość słów Fixa.

— Jesteśmy więc przyjaciółmi? — spytał Fix.

— Przyjaciółmi?... Nie! Wspólnikami — tak, ale przy najmniejszej oznace zdrady kark panu skreć.

— Zgoda — rzekł spokojnie inspektor policji.

W jedenaście dni później, 3 grudnia, „General Grant” przybył do San Francisco.

Pan Fogg ani jednego dnia nie zyskał, ani też nie stracił.

Rozdział XXV. San Francisco w dniu mityngu

Była siódma, gdy pan Fogg, pani Aouda i Obieżyświat zeszli na ląd amerykański, jeśli w ogóle te pływające przystanie, do których dopłynęli, można nazwać lądem. Przystanie te, to pływające, to odpływające, zgodnie z przyływem i odpływem morza, ułatwiały załadunek i wyładunek towarów ze statków. Tam przybijają statki wszelkich

rozmiarów i narodowości. Tam też gromadzą produkty handlu, ciągnącego się aż do Meksyku, Peru, Brazylii, Chin, Europy, Azji i wszystkich wysp Pacyfiku.

Obieżyświat z radości, że widzi nareszcie ziemię amerykańską, zdobył się na czyn ryzykowny i jednym wielkim skokiem znalazł się na przystani. Podłoga, stoczona przez robactwo, pod silnym i nagłym uderzeniem pękła i nasz pocziwiec o mało co nie znalazł się pod wodą. Zmieszany tym ogromnie, krzyknął przeraźliwie i rozproszył niezliczone stada kormoranów i pelikanów, stałych gości tych ruchomych przystani.

Pan Fogg natychmiast po wylądowaniu poszedł dowiedzieć się, o której odjeżdża pierwszy pociąg do Nowego Jorku. Okazało się, że o szóstej wieczorem, pozostał mu więc cały dzień na zwiedzenie stolicy Kalifornii.

Zamówiwszy dorożkę, umieścił się w niej wraz z panią Aoudą i Obieżyświatem na koźle i kazał się zawieźć do hotelu „International”.

Ze swego siedzenia Obieżyświat przypatrywał się z ciekawością dużemu miastu amerykańskiemu: szerokie ulice, niskie domy, kościoły i świątynie w stylu anglosaskiego gotyku, olbrzymie doki, wielkie jak pałace składy z drzewa i cegły, na ulicach mnóstwo powozów, omnibusów, konnych tramwajów, a na chodnikach tłoczyli się nie tylko Amerykanie i Europejczycy, ale i Chińczycy, i Japończycy, i Indianie.

Obieżyświat dziwił się wszystkiemu, co widział.

Przejeżdżał przez legendarne miasto zbójców, podpalaczy i morderców, niegdyś ogromne zbiegowisko wszystkich wykolejonych, gdzie grano i pito z rewolwerem w jednej ręce, a nożem w drugiej. Ale te piękne czasy już dawno minęły. San Francisco było obecnie miastem handlowym. Nie widać tu ani sombrero, ani czerwonych koszul, modnych wśród poszukiwaczy złota, ani ubranych w pióra Indian, tylko jedwabne kapelusze i czarne tużurki, noszone przez dżentelmenów trawionych gorączkową aktywnością. Niektóre ulice, między innymi Montgomery Street, odpowiadająca Regent Street w Londynie, bulwarowi des Italiens w Paryżu i Broadwayowi w Nowym Jorku, przepełnione były wspaniałymi magazynami, których efektowne wystawy jaśniały wyrobami z całego świata. Obieżyświatowi zdawało się, że nie opuścił Anglii.

Na parterze hotelu, do którego przybyli nasi podróżni, znajdował się bezpłatny bufet. Liczne mięsa, zupy z ostryg, biszkopty — wszystko stało na stołach na usługi konsumentów, nic za to nie płacących, wymagano tylko zapłaty za trunki, porter lub sherry.

Nasz Obieżyświat uznał to za „arcyamerykańskie”. Stół w restauracji w hotelu był wykwintny. Panu Foggowi i pani Aoudzie usługiwali Murzyni, obnosząc obfite dania na lilipucich półmiskach.

Po śniadaniu nasi znajomi opuścili hotel i udali się do biura konsula angielskiego w celu podbicia wizy w paszporcie. Na chodniku spotkali Obieżyświata, który spytał swego pana, czy nie byłoby mądrze kupić kilka tuzinów karabinów Enfield albo rewolwerów Colta. Słyszał o Siuksach i Paunisach zatrzymujących pociągi jak zwykli rabusie hiszpańscy. Pan Fogg odpowiedział, że jest to zbyt ostrożność, lecz pozostawia mu co do tego zupełną swobodę działania. Nie uszedłszy nawet stu kroków, pan Fogg przez „najdziwniejszy w świecie przypadek” napotkał Fixa. Inspektor policji okazał niezmiernie zdziwienie z tego spotkania i rzekł:

— To wielki zaszczyt widzieć dżentelmena, któremu się tyle zawdzięcza, a będąc wezwanym do Europy, byłbym zachwycony, gdybym mógł dalszą podróż odbywać w tak miłym towarzystwie.

Pan Fogg odpowiedział, że cały zaszczyt jest po jego stronie, a Fix, nie chcąc go stracić z oczu, poprosił o pozwolenie towarzyszenia mu w ciekawej przechadzce po mieście. Propozycja została przyjęta.

Widzimy więc pana Fogga, panią Aoudę i Fixa spacerujących po ulicach. Znaleźli się niebawem przy Montgomery Street, gdzie roilo się od tłumów.

Na chodnikach, między szynami tramwaju, pomimo ciągłego ruchu dorożek i omnibusów, na progach sklepów, w oknach wszystkich domów, a nawet na wszystkich dachach tłumy były niezliczone. Ludzie-afisze kręcili się między grupami. Flagi powiewały w powietrzu. Zewsząd rozlegały się okrzyki:

— Hurra! Kamerfield!

— Hurra! Mandiboy!

Był to „mityng”, tak przynajmniej sądził Fix i swoją myśl przekazał panu Foggowi, dodając:

— Może lepiej odsuńmy się od tego tłumu, proszę pana. Można tylko oberwać.

— W rzeczy samej — odparł pan Fogg. — Ciosy kułakiem, nawet jeśli polityczne, są zawsze ciosami kułakiem.

Fix uśmiechnął się na tę uwagę, a nasi znajomi, chcąc widzieć, nie wmieszawszy się w tłum, zajęli miejsca na schodach prowadzących na taras położony nad Montgomery Street. Przed nimi, po drugiej stronie ulicy, między sklepem z węglami a składem z

naftą, znajdowało się biuro, którego drzwi stały otworem i do którego zewsząd napływały tłumy.

Z jakiej okazji urządzono ten mityng? Chodziło zapewne o wybór jakiegoś wysokiego urzędnika wojskowego lub cywilnego, gubernatora stanu lub członka Kongresu. Wielce ożywione miasto nasuwało podobne domysły.

W tej właśnie chwili zapanowało w tłumie niezwykle ożywienie. Wszystkie ręce podniosły się w górę. Niektóre z nich, zaciśnięte w pięści, opuszczały się i podnosiły pośród nieludzkich krzyków. Flagi powiewały, znikwały na chwilę, by ukazać się ponownie, poszarpane na kawałki. Fale tłumy dosięgały już schodów.

— To na pewno mityng — rzekł Fix. — Kwestia, która się tu rozstrzyga, musi być paląca. Nie zdziwiłbym się wcale, gdyby chodziło jeszcze o sprawę „Alabamy”, choć została już rozstrzygnięta.

— Możliwe — rzekł spokojnie pan Fogg.

— W każdym razie dwóch przywódców stoi jeden naprzeciwko drugiego: szanowny Kamerfield i szanowny Mandiboy.

Pani Aouda, wsparta na ramieniu pana Fogga, przyglądała się ze zdziwieniem tej hałaśliwej scenie, a Fix, gdy powstał wyraźniejszy ruch, zwrócił się do sąsiada, żeby spytać go o przyczynę tego ogólnego wzburzenia.

Okrzyki „Hurra!”, pomieszane z przekleństwami, podwoiły się. Trzonki chorągwi zamieniły się w oręż. Wszędzie odgrażające się pięści. Z wysokości zatrzymanych pojazdów i omnibusów spadały pociski i uderzenia. Buty i trzewiki opisywały w powietrzu łuki, od czasu do czasu do ogólnego zgielku mieszały się wystrzały z rewolwerów.

Tymczasem tłum zbliżył się do schodów i napełnił pierwsze stopnie. Z wszystkiego można było przypuszczać, że jednego z pretendentów odrzucono, ale na kogo padł wybór, czy na Mandiboya, czy na Kamerfielda, o tym obojętni widzowie jeszcze nie wiedzieli.

— Myślę, że rozsądnie byłoby się wycofać — rzekł Fix, który nie życzył sobie, by „jego człowiek” oberwał kułakiem lub wplątał się w złą sprawę. — Jeśli w tym wszystkim chodzi o Anglię i jeśli nas rozpoznają, będziemy poważnie zagrożeni.

— Obywatel angielski... — odparł Phileas Fogg.

Nie zdążył jednak dokończyć swej myśli, gdy z placyku przed schodami rozległy się przeraźliwe ryki rozjuszonego tłumy: „Hip, hip, hurra! Nich żyje Mandiboy!”.

To grupa wyborców nadciągała swoim z pomocą, zamierzając zająć z boku zwolenników Kamerfielda.

Nasi znajomi zostali wzięci w dwa ognie. Za późno się było cofać. Fala ludzi uzbrojonych w okute laski i pałki była nie do przebrnięcia.

Phileas Fogg i Fix, ochraniający panią Aoudę, byli niemiłosiernie potrąceni. Pan Fogg, nie tracąc swego zwykłego spokoju, chciał się bronić swą naturalną bronią, którą natura umieściła na końcu ramion każdego Anglika, ale daremnie...

Olbrzymi rudowłosy drab o rumianej cerze i szerokich barkach, wyglądający na przywódcę bandy, podniósł olbrzymi kułak na pana Fogga i los naszego dżentelmena byłby godzien litości, gdyby nie nasunął się Fix i przez poświęcenie nie wziął na siebie uderzenia. Pod splaszczonym kapeluszem w oka mgnieniu wyskoczył ogromny guz.

— Jankesie! — rzekł pan Fogg, rzucając swemu przeciwnikowi wzrok pełen pogardy.

— Angliku! — odparł drugi.

— Znajdziemy się jeszcze...

— Kiedy się panu podoba!

— Pańskie nazwisko?

— Phileas Fogg. A pańskie?

— Pułkownik Stamp Proctor.

Rzekłszy to, odwrócił się, a fala ruszyła za nim. Fix, rzucony na ziemię, podniósł się. Ubranie miał podarte, ale poważnych uszkodzeń na ciele nie odniósł. Jego palto podróżne było przerwane na dwie nierówne części, a spodnie w oplakany stan.

— Dziękuję — rzekł Fogg do inspektora, gdy wydostali się z tłumy.

— Nie ma za co — odparł Fix. — Chodźmy!

— Dokąd?...

— Do sklepu z ubraniami.

Rzeczywiście wobec stanu garderoby obu panów było to konieczne. Ich ubrania zmieniły się w kupki łachmanów.

W godzinę później ubrani i uczesani powrócili do hotelu. Tam czekał już na swego pana Obieżyświat z półtuzinem sześciostrzałowych rewolwerów. Na widok Fixa twarz poczciwego chłopca zachmurzyła się. Ale gdy pani Aouda w kilku słowach opowiedziała, co zaszło, udobruchał się.

Po skończonym obiedzie sprowadzono dorożkę, mającą zawieźć naszych podróżnych i ich bagaż na dworzec.

Pan Fogg zwrócił się do Fixa.

— Nie widział pan więcej tego pułkownika?

— Nie.

— Powrócę do Ameryki, żeby go odnaleźć — rzekł chłodno pan Fogg. — Obywatela angielskiego nie wolno bezkarnie tak traktować.

Inspektor uśmiechnął się, nic nie odpowiedziawszy.

Pan Fogg należał, jak widzimy, do rasy Anglików nietolerujących pojedynków u siebie, lecz bijących się za granicą, jeżeli chodzi o sprawę honoru.

Za kwadrans szósta nasi znajomi przybyli na dworzec kolejowy przed samym odejściem pociągu. Wsiadając do wagonu, pan Fogg spytał konduktora:

— Mój panie, co to za zamieszanie było dziś w San Francisco?

— To był mityng, proszę pana — odparł urzędnik.

— Zauważyłem właśnie pewien niepokój na ulicach.

— To po prostu mityng wyborczy.

— Wybierano zapewne naczelnego dowódcę? — spytał pan Fogg.

— Nie, proszę pana, sędziego pokoju.

Zadowolony się tą odpowiedzią, pan Fogg wsiadł do wagonu, a pociąg ruszył, pchany całą siłą pary.

Rozdział XXVI. Nieprzewidziana przeszkoda

„Od oceanu do oceanu”, mówią Amerykanie i te cztery słowa mogłyby służyć za określenie grand trunk, głównego szlaku kolejowego, który przecina Stany Zjednoczone Ameryki na całej szerokości. W rzeczywistości zaś Pacific Railroad, czyli Pacyficzna Kolej Żelazna, dzieli się na dwie części: na Central Pacific między San Francisco i Ogden oraz Union Pacific między Ogden i Omaha. Tam z kolei zbiega się pięć linii kolei żelaznej łączących Omaha z Nowym Jorkiem.

Nowy Jork z San Francisco łączy nieprzerwana metalowa wstęga mierząca nie mniej jak trzy tysiące siedemset osiemdziesiąt sześć mil. Między Omaha i Oceanem Spokojnym kolej żelazna przebywa okolice odwiedzane często przez Indian i dzikie zwierzęta. Niegdyś przy najbardziej sprzyjających warunkach podróż z Nowego Jorku do San Francisco trwała sześć miesięcy. Teraz ją można odbyć w siedem dni. W roku 1862, pomimo opozycji deputowanych z południa, domagających się, żeby drogę torowano bliżej południa, szyny położono między czterdziestym pierwszym a czterdziestym drugim równoleżnikiem. Nieodżałowanej pamięci prezydent Lincoln

sam oznaczył główny węzeł nowej sieci kolejowej w mieście Omaha w stanie Nebraska. Roboty natychmiast rozpoczęto i prowadzono z prawdziwie amerykańską energią. Lokomotywa, tocząc się po szynach położonych poprzedniego dnia, wiozła z sobą szyny na następny dzień i tak parła naprzód w miarę wydłużania się drogi żelaznej.

Główna linia Pacyficznej Kolei Żelaznej dzieli się na swej drodze na kilka gałęzi prowadzących do stanów: Iowa, Kansas, Colorado i Oregon. Opuściwszy Omaha, ciągnie się wzdłuż lewego brzegu rzeki Platte aż do połączenia z gałęzią północną, biegnie wzdłuż gałęzi południowej, przemierza tereny Laramie i góry Wasatch, okrąża Jezioro Słone, zjawia się w Salt Lake City, stolicy mormonów, zapuszcza się w dolinę Tuilla, biegnie przez pustynię amerykańską, przecina góry Cedar i Humboldt, rzekę Humboldt, góry Sierra Nevada i przez miasto Sacramento dociera do Pacyfiku.

Otóż tak długa była droga, którą pociąg zwykle przebywał w siedem dni i tym sposobem pan Fogg miał nadzieję, że zdąży na parowiec wypływający jedenastego grudnia z Nowego Jorku do Liverpoolu.

Wagon zajęty przez pana Fogga kształtem przypominał długi omnibus, spoczywający na dwóch podwoziach, mających po ruchome cztery koła, co pozwalało mu pokonywać ciasne skręty. Wnętrze nie było przedzielone przegrodami, miało dwa rzędy siedzeń z przejściem pośrodku. Wagony połączono platformami tak, że pasażerowie mogli przechodzić wzdłuż pociągu do wagonów-salonów, wagonów-restauracji i do wagonów-kawiarni, pozostawionych do ich dyspozycji. Brakowało tylko wagonu-teatru, który lada dzień Amerykanie urządzą.

Na platformach krążyli ciągle chłopcy z książkami i pismami, sprzedawcy trunków i cygar. O szóstej wieczorem podróżni opuścili stację Oakland. Nadeszła noc, noc zimna, ciemna. Niebo pokryło się chmurami, lada chwila miał spaść śnieg.

Pociąg dość wolno posuwał się naprzód. Z uwzględnieniem przystanków nie robiono więcej jak dwadzieścia mil na godzinę, taka szybkość powinna jednak wystarczyć na przebycie Stanów Zjednoczonych w przepisany czas.

W wagonie zapanowała cisza, gdyż sen ogarniał pasażerów. Obieżyświat siedział naprzeciw inspektora policji, ale nic do niego nie mówił. Po ostatnich wypadkach ich stosunki znacznie się ochłodziły. Żadnej sympatii, żadnej poufałości. Fix nie zmienił swego postępowania, a Obieżyświat zachowywał się wobec niego zupełnie obojętnie, gotów przy najmniejszym podejrzeniu udusić swego dawnego kompana.

W godzinę po wyruszeniu pociągu spadł drobny śnieg, nie tamujący komunikacji. Z okien wagonów widać było ogromną białą płachtę, na tle której kłęby pary wydawały się szare.

O ósmej konduktor wszedł do wagonów i zapowiedział, że nadeszła pora snu. W kilka minut wagon został zamieniony w sypialnię. Ławki zamieniono w wygodne łóżka, a gęste firanki chroniły śpiącego przed niedyskretnymi spojrzeniami. Białe prześcieradła i puchowe poduszki nęciły każdego i nasi podróżni, ułożywszy się, prędko zasnęli, a pociąg całą siłą pary pędził przez stan Kalifornia.

Około północy, kiedy podróżni byli pogrążeni we śnie, pociąg minął Sacramento. Nie mogli podziwiać tego miasta, w którym mieści się władza prawodawcza stanu Kalifornia, ani jego dobrze urządzone przystani, ani pięknych ulic, ani wspaniałych hoteli, ani skwerów, ani pałaców.

O siódmej rano pociąg minął Cisco. W godzinę później wagon sypialny na nowo powrócił do dawnego wyglądu i podróżni mogli z okien zachwycać się malowniczym wyglądem górzystych okolic Sierra Nevada.

Około dziewiątej przez dolinę Carson pociąg wjechał do stanu Nevada, jadąc ciągle w kierunku północno-wschodnim. W południe opuścił Reno, gdzie podróżni mieli dwadzieścia minut postoju na posiłek.

Potem pan Fogg, pani Aouda i ich towarzysze, wróciwszy do swych miejsc w wagonie, przyglądali się urozmaiconemu widokowi, jaki roztaczał się przed ich oczami. Rozległe prairie, góry zarysowujące się na horyzoncie, wszędzie bystre i pienne strumyki. Czasami w oddali pojawiały się duże stada bizonów. Nieprzeliczone gromady tych przeżuwaczy często tworzą ruchomą przeszkodę nie do pokonania dla przejeżdżających pociągów. Zdarzało się, że tysiące tych zwierząt przechodziło godzinami w poprzek torów, a lokomotywa wskutek tego musiała się zatrzymać i czekać, aż droga się opróżni.

Przydarzyło się tak naszym podróżnikom. Około trzeciej stado, liczące dziesięć do dwunastu tysięcy bizonów, zagroziło drogę pociągowi. Lokomotywa, zmniejszając szybkość, próbowała przedostać się przez zwartą masę zwierząt, lecz daremnie. Widziano te przeżuwacze, te buffalos, jak je nazywają Amerykanie, stąpające spokojnym krokiem i wydające donośne ryki. Były to zwierzęta większe od byków europejskich, o krótkich nogach i ogonach, wypukłym grzbiecie, tworzącym mocny garb, szeroko rozstawionych rogach i długiej grzywie, pokrywającej głowę, szyję i barki. Nie można nawet myśleć o powstrzymaniu takiego pochodu. Gdy bizony raz wybrały

sobie kierunek, nic ich nie zdoła zmusić do zmiany. Jest to fala z żywych ciał, której żadna tama nie powstrzyma.

Podróźni wyszli na platformy i przyglądali się temu ciekawemu widowisku. Ale ten, komu najbardziej zależało na pośpiechu, Phileas Fogg, pozostał na swym miejscu, spokojnie czekając, aż bizonom spodoba się oswobodzić przejazd. Obieżyświat był wściekły z powodu opóźnienia powodowanego tym nagromadzeniem się zwierząt. Chciał do nich strzelać z całego swego arsenału.

— Co to za kraj! — krzyczał. — Zwyczajne byki ośmielają się zatrzymywać pociągi. Do licha, chciałbym bardzo wiedzieć, czy pan Fogg przewidział tę przeszkodę! A ci maszyniści, którzy nie mają odwagi puścić lokomotywy na te bestie!

Maszynista wcale nie próbował przebyć przeszkody i postąpił bardzo rozsądnie. Lokomotywa bez wątpienia zdruzgotałaby kilka pierwszych bizonów, ale wkrótce musiałyby się zatrzymać, gdyż inaczej wykolejenie byłoby nieuniknione.

Pochód bizonów trwał trzy długie godziny i szyny zostały uwolnione dopiero z nastaniem nocy.

O ósmej pociąg przejechał przez przełęcz Humboldt Ranges, a o wpół do dziesiątej wjechał na terytorium stanu Utah, w okolice Wielkiego Jeziora Słonego, do ciekawego kraju mormonów.

Rozdział XXVII. Obieżyświat śledzi historię mormonów

W nocy z 5 na 6 grudnia pociąg pędził na południowy wschód, następnie skręcił na północny wschód, zbliżając się do Jeziora Słonego. Około dziewiątej rano Obieżyświat wyszedł na platformę, by odetchnąć świeżym powietrzem. Pora była chłodna, niebo szare, ale śnieg nie padał. Tarcza słoneczna wydawała się ogromną złotą monetą i Obieżyświat obliczał jej wartość w funtach szterlingach, gdy to pożyteczne zajęcie przerwane zostało pojawieniem się jakiejś dziwnej osobistości.

Postać ta wsiadła na stacji Elko. Był to człowiek wysoki, o bardzo ciemnej cerze, czarnych węsach, w czarnych pończochach, w kapeluszu z czarnego jedwabiu, w czarnych spodniach, białym krawacie i rękawiczkach z psiej skóry.

Wyglądał na duchownego. Przeszedł z jednego końca pociągu na drugi i na drzwiach każdego wagonu przyklepał opłatkiem napisaną uprzednio notatkę.

Obieżyświat zbliżył się do drzwi i przeczytał, że czcigodny William Hitch, misjonarz mormoński, korzystając ze swego pobytu w tym pociągu, wygłosi odczyt o

mormonizmie od jedenastej do dwunastej w wagonie numer sto siedemnaście. Prelegent prosił o łaskawe zjawienie się wszystkich dżentelmenów chcących dokładnie zbadać tajemnice religijne „Świętych ostatnich dni”.

„Pójdę” — pomyślał Obieżyświat, wiedzący o mormonizmie tylko tyle, że uprawia poligamię jako podstawę społeczeństwa.

Wieść o odczycie rozeszła się szybko po całym pociągu. O godzinie jedenastej w wagonie numer sto siedemnaście zjawilo się ponad trzydziestu pasażerów. Obieżyświat zasiadł w pierwszym rzędzie między wiernymi. Jego pan i Fix pozostali na swoich miejscach, widocznie nieciekawo odczytu.

O wyznaczonej godzinie wielebny William Hitch powstał i głosem rozdrażnionym, jakby mu ktoś oponował, zawołał:

— A ja wam powiadam, że Joe Smyth jest męczennikiem, że jego brat Hiram jest nim również i że prześladowania Proroków przez rząd Unii przyczynią się do męczeństwa Brigham Younga! Któż się ośmieli temu zaprzeczyć?

Nikt nie zamierzał zaprzeczać słowom misjonarza, którego gwałtowność kontrastowała z jego zwykłą, spokojną fizjonomią. Przyczyną jego gniewu były zapewne ciężkie próby, jakie obecnie przechodził mormonizm. W samej rzeczy rząd Stanów Zjednoczonych starał się, choć nie bez trudu, okiełznać tych niezależnych fanatyków. W Utah udało mu się poddać ich Unii, uwięziwszy przedtem Brigham Younga, oskarżonego o bunt i poligamię. Od tej chwili uczniowie proroka ze zdwojoną energią stawiali opór wymaganiom Kongresu. Jak widzimy, pan Wiliam Hitch prowadził dzieło nawracania nawet na kolei.

Pan ten, silnym głosem i żywo gestykulując, zaczął opowiadać historię mormonizmu, począwszy od czasów biblijnych.

Kilku słuchaczy, znudzonych opowiadaniem misjonarza, opuściło wagon. Niezrażony tym William Hitch ciągnął dalej.

Rzędy słuchaczy przeredzały się coraz bardziej, publiczność składała się obecnie z zaledwie dwudziestu osób, ale misjonarz, nie zrażając się, opowiadał dalej.

Słuchaczy było już tylko dziesięciu, między nimi poczciwy Obieżyświat, przysłuchujący się uważnie rozprawie misjonarza.

Pociąg tymczasem posuwał się szybko i około wpół do pierwszej zbliżył się do północno-zachodniego krańca Jeziora Słonego. Stamtąd można było objąć wzrokiem to wewnętrzne morze, zwane Morzem Martwym, do którego wpada amerykański Jordan.

Piękne jest to jezioro w swych wspaniałych skalistych ramach, pokrytych białą szatą. Piękną jest powierzchnia wody, niegdyś pokrywająca daleko większe przestrzenie; z czasem podnoszące się stopniowo brzegi zmniejszyły objętość jeziora, potęgując jego głębokość.

Jezioro Słone, długości około siedemdziesięciu mil, szerokości trzydziestu pięciu mil, położone jest trzy tysiące osiemset stóp nad poziomem morza.

Przestrzeń naokoło morza jest doskonale uprawiana.

O drugiej nasi podróżni zatrzymali się na stacji Ogden. Pociąg nie odjedzie przed szóstą, a zatem pan Fogg, pani Aouda i dwaj ich towarzysze mieli czas zwiedzić „Miasto Świętych” znajdujące się w pobliżu stacji. Dwie godziny wystarczyły na zwiedzenie miasta, typowo amerykańskiego, zbudowanego podług wzorów wszystkich miast Stanów Zjednoczonych: w szachownicę o prostych, surowych liniach i ponurych kątach prostych, jak się wyraża Wiktor Hugo.

O trzeciej podróżni przechadzali się jeszcze po ulicach miasta, położonego między rzeką Jordan a pierwszymi wzniesieniami gór Wasatch. Niewiele napotykali kościołów; godny widzenia był dom proroka i arsenał. Domki z werandami okolone były ogrodami pełnymi akacji i palm. Miasto opasywał mur z gliny i kamieni, wzniesiony w roku 1853. Na głównej ulicy, gdzie odbywał się targ, znajdowało się kilka hoteli przyozdobionych flagami.

Pan Fogg i jego towarzysze zauważyli, że miasto nie jest zbyt ludne. Ulice były prawie puste. O wyznaczonej godzinie podróżni zajęli miejsca w wagonie. Gdy pociąg ruszył, rozległ się okrzyk: „Stójcie! Stójcie!”. Lecz pociąg nie zwykł się zatrzymywać w biegu. Dżentelmen, który się spóźnił, spieszył co tchu. Na szczęście dworzec nie miał ani drzwi, ani barier. Mormon podbiegł do torów, wskoczył na ostatni stopień wagonu i padł zdyszany na ławkę.

Obieżyświat, śledzący z troską przygody spóźnionego pasażera, zbliżył się, aby z nim porozmawiać. Wkrótce dowiedział się, że mężczyzna uciekł z Utah z powodu kłótni domowej.

Kiedy mormon odzyskał oddech, Obieżyświat odważył się zapytać go uprzejmie, ile ma żon, przypuszczając na podstawie tego, co słyszał, że co najmniej ze dwadzieścia.

— Jedną, proszę pana — odpowiedział mormon, wznosząc ręce ku niebu. — Jedną i dosyć!

Rozdział XXVIII. Nad przepaścią

Pociąg, opuściwszy stację Ogden, skierował się na południe aż do rzeki Weber, przebiegłszy dziewięćset mil, licząc od San Francisco. Z tego punktu ruszył na zachód poprzez góry Wasatch.

Nazajutrz, 7 grudnia, zatrzymał się na stacji Green River. Śnieg z deszczem padał całą noc, lecz nie przeszkadzał biegowi pociągu. Obieżyświat niepokoił się nagromadzeniem śniegu na torach, co mogło spowodować opóźnienie pociągu.

— Też pomysł wybrać się w podróż w zimie! Nie lepiej było poczekać do lata, żeby mieć większe szanse wygrania zakładu?

W tym czasie, gdy pocziwiec był zajęty badaniem stanu nieba i obniżeniem temperatury, pani Aouda odczuwała obawy zupełnie innego rodzaju.

W Green River kilku pasażerów wyszło z wagonów i przechadzało się po peronie, oczekując odjazdu pociągu. Między nimi młoda kobieta poznała pułkownika Stampa, owego Amerykanina, który tak grubiańsko postąpił z Phileasem Foggiem podczas mityngu w San Francisco. Okoliczność ta żywo zaniepokoiła młodą kobietę. Pani Aouda przywiązywała się do człowieka, który, pomimo swego chłodnego temperamentu, dawał jej codziennie dowody życzliwości. Gdy pociąg ruszył, pani Aouda, korzystając z chwili snu pana Fogga, opowiedziała o swoim spostrzeżeniu Fixowi i Obieżyświatowi.

— Co, Stamp w pociągu?! — wykrzyknął Fix. — Niech się pani uspokoi. Zanim się rzuci na pana Fogga, będzie miał do czynienia ze mną, bo i ja mam z nim rachunek do załatwienia.

— I ja też go biorę na siebie — dodał Obieżyświat — pomimo że jest pułkownikiem.

— Panie Fix — rzekła pani Aouda — pan Fogg nie pozwoli nikomu mścić się za niego. Jest zdecydowany, jak mi mówił, powrócić do Ameryki, aby odnaleźć tego gburę. Jeżeli zatem spostrzeże pułkownika, nie zapobiegniemy starciu, które pociągnie za sobą smutne skutki. Trzeba zatem, aby go nie zobaczył.

— Ma pani słuszność, spotkanie mogłoby wszystko popsuć. Zwycięzca czy zwyciężony, pan Fogg się spóźni i...

— I... — dodał Obieżyświat — będzie to wygrana dla członków klubu „Reforma”. Za cztery dni będziemy w Nowym Jorku. A więc jeżeli podczas tych czterech dni mój pan nie opuści wagonu, można się spodziewać, że nie spotka tego przekłętą Amerykanina! Trzeba więc temu przeszkodzić.

Rozmowa się urwała; pan Fogg się obudził.

Nieco później Obieżyświat zadał po cichu pytanie inspektorowi policji:

— Czy naprawdę biłby się pan za niego?

— Zrobiłbym wszystko, żeby go przywieźć żywego do Europy — rzekł Fix obojętnie, niewzruszonym tonem.

Obieżyświat zadrzał na te słowa, ale to nie osłabiło wcale zdania, jakie miał o swym panu. A teraz, czy znajdzie sposób zatrzymania pana Fogga, aby uniknąć spotkania z pułkownikiem? Nie było to trudne do wykonania, gdyż dżentelmen był z natury mało ruchliwy i mało ciekawy.

Tymczasem inspektor widocznie uznał, że znalazł sposób, gdyż po upływie kilku chwil zwrócił się do pana Fogga.

— Wloką się godziny w podróży pociągiem, czyż nie?

— W samej rzeczy — odparł dżentelmen — ale mijają.

— Na statku — ciągnął dalej inspektor — zwykł pan grywać w wista?

— Tak — odparł pan Fogg — ale tutaj będzie trudno, ponieważ nie mam ani kart, ani partnerów.

— O, co do kart, to można je kupić, sprzedają we wszystkich wagonach amerykańskich. A co do partnerów, gdyby pani zechciała?...

— Chętnie — żywo odparła pani Aouda. — Gram w wista, to wchodzi w zakres angielskiego wychowania.

— Pochlebiam sobie, że gram dobrze — rzekł agent.

— A to doskonale — rzekł pan Fogg, zadowolony, że będzie mógł oddać się ulubionej grze.

Obieżyświat został wysłany na poszukiwanie stewarda i niedługo powrócił, niosąc dwie talie kart, fiszki, żetony i mały stolik pokryty sukniem. Gra się rozpoczęła. Pani Aouda grała nieźle, zasłużyła nawet na pochwałę surowego pana Fogga. Co się tyczy inspektora, był to gracz doskonały, godny partner dżentelmena.

— No, teraz — rzekł do siebie Obieżyświat — mamy go. Nie ruszy się z miejsca.

O jedenastej rano pociąg dotarł do miejsca, które rozgranicza wody spływające do obu oceanów. Było to Bridger Pass, na wysokości siedmiu tysięcy pięciuset dwudziestu czterech stóp angielskich ponad poziomem morza, jedno z najwyższych miejsc, jakie przecinała droga poprzez Góry Skaliste.

O wpół do pierwszej podróży nasi minęli fort Halleck. Jeszcze kilka godzin, a miną Góry Skaliste. Można było mieć nadzieję, że na tej trudnej drodze nie zdarzy się żaden wypadek. Śnieg przestał padać, ochłodziło się. Wielkie ptaki, przerażone świstem

lokomotywy, uciekały w dal. Na równinie nie pokazał się ani wilk, ani niedźwiedź. Była to ogromna, naga pustynia.

Po obfitym śniadaniu pan Fogg i jego partnerzy zasiedli do niedokończonego wista, gdy nagle rozległ się gwałtowny świst lokomotywy. Pociąg zatrzymał się. Obieżyświat wytknął głowę za okno, aby dociec przyczyny zatrzymania. Nie dostrzegł żadnej stacji. Pani Aouda i pan Fix obawiali się przez chwilę, czy pan Fogg nie zamierza zejść na pobocze. Dzentelmen jednak zadowolił się wysłaniem swego służącego, powiedziawszy mu:

— Wyjdź, zobacz, co się stało.

Obieżyświat wyskoczył z wagonu. Około czterdziestu pasażerów opuściło już swoje miejsca, między nimi pułkownik Stamp Proctor. Pociąg zatrzymał się przed czerwonym sygnałem zamykającym drogę. Maszynista i konduktor rozprawiali żywo z dróżnikiem, którego przysłał naczelnik najbliższej stacji w Medicine Bow. Podróżni zbliżyli się i wmieszali do rozmowy, w której wyróżniał się pułkownik Proctor ze swoim podniesionym głosem i władczymi gestami.

Obieżyświat, zbliżywszy się, usłyszał słowa dróżnika:

— Most jest naruszony, nie wytrzyma ciężaru pociągu.

Most, o którym mowa, był zawieszony nad przepaścią o milę od miejsca, gdzie zatrzymał się pociąg. Według słów dróżnika groził zawaleniem, gdyż kilka słupów pękło. Nie można było ryzykować przejazdu.

Obieżyświat, nie śmiąc zawiadomić o tym swego pana, słuchał z zaciśniętymi zębami, nieruchomy jak posąg.

— A więc co będzie? — krzyknął pułkownik. — Czy myślą zostawić nas tu w śniegu?

— Pułkowniku — odpowiedział konduktor — telegrafowaliśmy do stacji Omaha, żądając wysłania pociągu, lecz nie wydaje się, żeby dotarł do Medicine Bow wcześniej niż za sześć godzin.

— Sześć godzin! — krzyknął Obieżyświat.

— Niewątpliwie — odpowiedział konduktor. — Zresztą potrzebujemy sporo czasu, żeby dojść do stacji pieszo.

— Pieszo! — przerazili się wszyscy pasażerowie.

— A jak daleko do tej stacji? — spytał jeden z nich.

— Dwanaście mil po drugiej stronie rzeki.

— Dwanaście mil przejść po śniegu!? — oburzał się Stamp Proctor.

Pułkownik zaczął kłąć i wymyślać towarzystwu kolejowemu i konduktorowi. Obieżyświat nie mniej rozwścieczony pomagał mu. Oto przeszkoda, z powodu której przepadną banknoty jego pana.

Przygnębienie było powszechne. Nie licząc już opóźnień w podróży, byli zmuszeni przejść dwanaście mil po śniegu. Wrzawa i dzikie okrzyki byłyby niewątpliwie zwróciły uwagę pana Fogga, gdyby nie był tak pogrążony w grze. Obieżyświat postanowił wreszcie uprzedzić swego pana i ze spuszczoną głową skierował się ku wagonowi, gdy wtem maszynista, prawdziwy Jankes, nazwiskiem Forster, podnosząc głos, odezwał się:

- Panowie, jest sposób przedostania się.
- Przez most? — spytał jeden z podróżnych.
- Przez most.
- Naszym pociągiem? — zapytał pułkownik.
- Tak.

Obieżyświat zatrzymał się, chłonąc słowa maszynisty.

- Ależ most grozi zawaleniem — rzekł konduktor.
- Co z tego? — odpowiedział Forster. — Sądzę, że jeśli puścimy pociąg całą siłą pary, przejedziemy szczęśliwie.

- Tam do licha! — zawołał Obieżyświat.

Pewnej liczbie pasażerów plan się podobał, szczególnie przypadł do gustu pułkownikowi, którego awanturniczy umysł nie widział w tym nic nadzwyczajnego.

- Mamy pięćdziesiąt szans na sto, że przejedziemy — powiedział jeden.
- Sześćdziesiąt — dodał drugi.
- Osiemdziesiąt! Dziewięćdziesiąt na sto!

Obieżyświat był oszołomiony. Choć był zdecydowany próbować wszelkich sposobów, żeby przedostać się przez rzekę, ten uznał za zbyt amerykański.

„A zresztą — pomyślał — jest lepszy sposób, który nikomu z nich nie przyszedł na myśl”.

- Panowie — zwrócił się do jednego z pasażerów — sposób podsunięty przez maszynistę, wydaje mi się nieco ryzykowny.

- Osiemdziesiąt szans — odpowiedział pasażer, obracając się do niego plecami.

— Dobrze wiem — rzekł Obieżyświat, zwracając się do drugiego dżentelmena. — Ale proste zastanowienie...

— Bez zastanowień, to zbyteczne! — odpowiedział Amerykanin, wruszając ramionami. — Przecież maszynista zapewnia, że przejedziemy.

— Bez wątplenia — zapewnił Obieżyświat. — Ale przezorność każe...

— Co przezorność każe?! — wrzasnął pułkownik. — Całą siłą pary, mówię panu, rozumiesz pan? Całą siłą pary.

— Ależ wiem.... rozumiem... — powtórzył Obieżyświat, nie mogąc dojść do słowa. — Ale byłoby, jeśli nie przezorniej, skoro panów razi to słowo, to bardziej naturalnie...

— Jak? Kto? Gdzie? Czego ten tu chce ze swoją naturalnością? — krzyczano zewsząd.

— Boisz się pan? — zapytał go pułkownik.

— Co, ja się mam bać? — oburzył się Obieżyświat. — A więc dobrze. Wsiadam... pokażę wam, że Francuz umie tak samo ryzykować jak Amerykanin.

— Siadać, siadać! — wołał konduktor.

— Tak, siadajmy — powtórzył Obieżyświat — do wagonu. Ale nikt mi nie zabroni pomyśleć, że byłoby rozsądniej przejść most pieszo i poprowadzić pociąg za nami.

Nikt nie słyszał tej mądrej uwagi i nikt nie przyznał jej słuszności.

Pasażerowie powsiadali, Obieżyświat zajął w milczeniu swoje miejsce, nie opowiadając, co się stało. Gracze byli zatopieni w wiście.

Lokomotywa gwizdnęła potężnie.

Maszynista, wypuszczając parę, cofnął pociąg o milę. Cofał się jak akrobata gotujący się do skoku.

Następnie rozległ się powtórny świst. Bieg się zaczął.

Wkrótce szybkość stała się zatrważająca. Pociąg pędził z szybkością stu mil na godzinę, prawie nie dotykając szyn. Szybkość zmniejszała ciężar.

Most przebyto! Stało się to z szybkością błyskawicy.

Pociąg skoczył, można powiedzieć, z jednego brzegu na drugi i maszynista zdołał go zatrzymać dopiero pięć mil za stacją.

Ledwie pociąg przebył most, gdy ten, zrujnowany do szczętu, runął z łoskotem w przepaść.

Rozdział XXIX. Obieżyświat bohaterem

Jeszcze tego samego wieczoru pociąg bez przeszkód minął fort Sanders, przełęcz Cheyenne i zbliżał się do przełęcz Evans.

Był to najwyższy punkt na całej przebytej trasie, położony osiem tysięcy dziewięćdziesiąt jeden stóp nad poziomem morza. Stąd zjeżdżano na obszerne bezbrzeżne równiny. Okolice ta jest bogata w złoto i srebro, jej zaludnienie dochodzi do pięćdziesięciu tysięcy osób.

Do tej chwili od San Francisco przejechano w przeciągu trzech dni i trzech nocy tysiąc trzysta osiemdziesiąt dwie mile, więc według wszelkich przypuszczeń za cztery doby staną w Nowym Jorku.

O jedenastej wjechano do Nebraski, minięto Sedgwick i Julesburg, położone na południowej odnodze rzeki Platte. O ósmej rano zostawiono za sobą fort Mac Pherson.

O dziewiątej osiągnięto ważne miasto North Platte i przekroczone sto pierwszy południk.

Pan Fogg i jego partnerzy wrócili do gry. Żaden z nich nie uskarżał się na długość podróży. Z początku Fix wygrywał, jednak tego ranka szczęście sprzyjało dżentelmenowi. Atuty i honory wpadały mu do rąk. W chwili, gdy chciał zagrać w piki, jakiś głos zza ławki zaprotestował.

— A ja bym wyszedł w karo!

Pan Fogg, pani Aouda i Fix podnieśli głowy. Pułkownik Proctor stał przed nimi.

Pułkownik i dżentelmen, spojrzawszy na siebie, od razu się poznali.

— A, panie Angliku! — wykrzyknął pułkownik. — To pan chciał grać w piki!

— I gram — odparł chłodno pan Fogg, bijąc dziesiątką pikową.

— A ja chcę, żeby pan wyszedł w karo! — protestował pułkownik rozdrażnionym głosem.

Zrobił ruch ręką, jakby chciał schwycić karty, i dodał:

— Pan nie ma pojęcia o tej grze.

— Może będę zręczniejszy w innej — rzekł Phileas Fogg, wstając.

— Możesz spróbować, synu Johna Bulla! — odparł brutalny Amerykanin.

Pani Aouda zbladła. Wszystkie krew zbiegła jej do serca. Schwyciła pana Fogga za rękę, lecz on lekko ją odsunął.

Obieżyświat miał ochotę rzucić się na Amerykanina, ale Fix, zwracając się do pułkownika, rzekł:

— Zapomina pan, że ma pan sprawę ze mną, ze mną, którego pan nie tylko obraził, ale i uderzył.

— Wybaczy pan, panie Fix — rzekł pan Fogg — ale ta sprawa dotyczy mnie i tylko mnie. Utrzymując, że gram źle, pułkownik powtórnie mnie obraził, z czego musi mi zdać rachunek.

— Gdzie pan zechce i kiedy pan zechce! — odparł pułkownik. — Wybór broni również do pana należy.

Pani Aouda na próżno starała się powstrzymać pana Fogga. Obieżyświat najchętniej wyrzuciłby Amerykanina za okno, ale jego pan nakazał mu milczenie. Dżentelmen wraz z pułkownikiem wyszli na platformę.

— Panie — rzekł pan Fogg do swego przeciwnika — bardzo się spieszę do Europy, wszelkie opóźnienie mogłoby bardzo zaszkodzić moim interesom.

— Co mnie to może obchodzić? — odparł pułkownik.

— Panie — rzekł bardzo uprzejmie pan Fogg — po naszym spotkaniu w San Francisco powziąłem zamiar odszukania pana w Ameryce, gdy załatwię sprawy wzywające mnie do Anglii.

— Czy to możliwe?

— Stawię się za sześć miesięcy.

— Dlaczego nie za sześć lat?

— Powiedziałem: za sześć miesięcy — odrzekł pan Fogg — i stawię się punktualnie.

— Wszystko to są tylko wykręty! — zawołał pułkownik — Panie Fogg, niech się pan bije teraz albo nigdy!

— A zatem dobrze — odparł spokojnie pan Fogg. — Czy udaje się pan do Nowego Jorku?

— Nie!

— Może do Chicago?

— Nie!

— A więc do Omaha?

— Co panu za różnica? Czy zna pan Plum Creek?

— Nie — odparł pan Fogg.

— To najbliższa stacja. Pociąg stanie tam za godzinę i zatrzyma się na dziesięć minut. Przez ten czas można wymienić kilka strzałów rewolwerowych.

— Dobrze, zatrzymam się w Plum Creek.

— A ja sądzę, że pan tam zostanie — rzekł bezczelnie Amerykanin.

— Kto to wie, panie? — odparł pan Fogg i wrócił do wagonu, spokojny jak zwykle.

Starał się uspokoić panią Aoudę, zapewniając, że blagierzy nie są nigdy niebezpieczni, Fixa zaś prosił, aby mu służył za sekundanta. Agent zgodził się, po czym dżentelmen powrócił do przerwanej gry.

O jedenastej świst lokomotywy oznajmił przybycie na stację Plum Creek. Pan Fogg wraz z Fixem udali się na platformę. Obieżyświat poszedł w ślad za nimi, trzymając w ręku parę rewolwerów.

Pani Aouda została w wagonie, blada jak trup.

W tej właśnie chwili drzwi sąsiedniego wagonu otworzyły się i na platformie ukazał się pułkownik Proctor w towarzystwie swego sekundanta, takiego jak i on Jankesa. Lecz w chwili, gdy dwaj przeciwnicy zamierzali wysiąść z pociągu, nadbiegł konduktor i zawołał:

— Nie schodzić, panowie!

— A to dlaczego? — spytał pułkownik.

— Mamy dwadzieścia minut spóźnienia i pociąg się tu nie zatrzymuje.

— Ale ja muszę się bić z tym panem!

— Bardzo żałuję — odrzekł konduktor — ale natychmiast ruszamy. O, już słyhać dzwonek. Jestem naprawdę zmartwiony, panowie, w każdym innym razie służę wam chętnie. Nie rozumiem jednak, dlaczego nie moglibyście się pojedyńkować w drodze.

— Może to będzie dla pana niedogodne? — zapytał pułkownik z drwiącą miną.

— Przeciwnie, to dla mnie bardzo dogodnie — odparł pan Fogg.

„Widać, że jesteśmy w Ameryce!” — pomyślał Obieżyświat. „Nawet konduktor jest tu dżentelmenem pierwszej wody”.

Przeciwnicy i ich świadkowie, poprzedzani przez konduktora, przechodząc z wagonu do wagonu, dotarli do ostatniego. Konduktor poprosił pasażerów, aby na jakiś czas opróżnili wagon, gdyż dwie osoby chcą tu załatwić sprawę honorową. Wszyscy natychmiast się usunęli.

Wagon o długości pięćdziesięciu stóp stanowił dostateczną przestrzeń dla pojedynku. Przeciwnicy stanęli naprzeciw siebie, każdy z parą sześciostrzałowych rewolwerów w ręku.

Sekundanci zamknęli drzwi i pozostawili ich samych sobie. Mieli zacząć strzelać na pierwsze gwizdnięcie lokomotywy. Po upływie dwóch minut wyciągnię się z wagonu jednego z poległych dżentelmenów. Rzecz była bardzo prosta, tak prosta, że Fixowi i Obieżyświatowi serca pękały z obawy.

Oczekiwano więc gwizdnięcia, gdy nagle rozległy się dzikie wrzaski. Wrzaskom tym odpowiedziały wystrzały, dochodzące z wnętrza różnych wagonów.

Pułkownik Proctor i pan Fogg z rewolwerami w ręku pospieszyli przerażeni do miejsc, skąd pochodziły krzyki i wystrzały rewolwerowe.

Banda dzikich Siuksów napadła na pociąg.

Setka zuchwałych Indian, nie czekając, aż pociąg się zatrzyma, wskoczyła na stopnie i wdarła się do wagonów.

Dzicy byli uzbrojeni. Rzuciwszy się na palacza i maszynistę, ogłuszyli ich ciosami w głowę. Dowódca bandy, chcąc zatrzymać pociąg i nie umiejąc kierować regulatorem, zamiast zamknąć, szeroko otworzył zbiornik pary, a maszyna, puszczona całą siłą pary, mknęła z przerażającą szybkością.

Tymczasem Siuksowie rzucili się na wagony. Jedni z nich jak małpy biegali po dachu pociągu, drudzy wylamywali drzwi i walczyli z pasażerami, inni znów grabili bagaż i rzucali kufry na drogę. Krzyki i wystrzały nie ustawały. Podróżni bronili się mężnie. Pani Aouda cały ten czas zachowywała się bardzo odważnie. Z rewolwerem w ręku broniła się heroicznie, strzelając przez potłuczone szyby, gdy dzicy się do nich zbliżali. Dwudziestu ranionych śmiertelnie Siuksów pospadało na tor, koła wagonów miażdżyły tych, którzy zsunęli się z platformy. Kilku silnie zranionych pasażerów leżało na ławkach. Trzeba było koniecznie to zakończyć. Walka, trwająca od dziesięciu minut, mogła mieć opłakane skutki dla pasażerów, jeśli pociąg się nie zatrzyma. Najbliższa stacja, fort Kearney, była oddalona o dwie mile. Tam znajdował się posterunek amerykański, ale gdyby minęli posterunek, między fortem a następną stacją Siuksowie całkiem zawładną pociągiem.

Konduktor walczył przy boku pana Fogg. Gdy dosięgła go kula, upadając, zawołał:

— Zginiemy, jeśli w ciągu pięciu minut pociąg się nie zatrzyma.

— Zatrzyma się! — powiedział pan Fogg, szykując się do opuszczenia wagonu.

— Niech pan zostanie! — wykrzyknął Obieżyświat. — To moja sprawa.

Phileas Fogg nie zdążył powiedzieć ani słowa, gdy odważny chłopak wślizgnął się pod wagon. Gdy walka trwała, a kule krzyżowały się nad jego głową, skorzystał ze swego dawnego cyrkowego doświadczenia. Z niezwykłą zręcznością czepiając się wagonów i uwieszając się łańcuchów, dotarł do przedniej części pociągu. Zawieszony na jednej ręce, trzymając się wagonu bagażowego, drugą odczepił łańcuchy łączące wagon i tender lokomotywy. Lecz trzeba było jeszcze wyciągnąć drążek sprzęgu, co było bardzo trudne do wykonania. Nagle wskutek podskoku maszyny drążek pękł i odczepione

wagony pozostały w tyle, podczas gdy lokomotywa popędziła z jeszcze większą szybkością. Przez jakiś czas rozpedzone wagony toczyły się dalej, aż ktoś wewnątrz pociągnął za hamulec. Pociąg stanął o sto kroków od stacji Kearney.

Żołnierze z fortu, zaalarmowani odgłosami wystrzałów, nadbiegali pospiesznie. Siuksowie, nie czekając na ich przybycie, ratowali się ucieczką.

Na przystanku zauważono, że kilku pasażerów brakowało. Do nieobecnych należał również Francuz, którego poświęcenie uratowało wszystkich od zguby.

Rozdział XXX. Pan Fogg spełnia swój obowiązek

Razem z Obieżyświatem brakowało trzech pasażerów. Czy zginęli w walce, czy też stali się niewolnikami Siuksów? Tego nikt nie wiedział.

Liczba rannych była znaczna. Najpoważniejsze rany odniósł pułkownik Proctor, który bił się odważnie do chwili, gdy nieprzyjacielska kula rzuciła go o ziemię. Przeniesiono go do poczekalni dworca wraz z innymi pasażerami, których stan wymagał natychmiastowej pomocy.

Pani Aouda i pan Fogg wyszli z walki bez najmniejszego zadraśnięcia. Fixa nieznacznie raniono w ramię. Brakowało tylko Obieżyświata i na samą myśl o tym łązy cisnęły się do oczu pani Aoudy.

Tymczasem podróżni opuścili pociąg. Na kołach wagonów, po których płynęła krew, wisały kawały ludzkiego ciała. Na białej równinie, jak okiem sięgnął, widziano długie czerwone smugi. Ostatni Indianie rozproszyli się ku południu, w stronę rzeki Republica. Pan Fogg, z rękoma skrzyżowanymi na piersiach, milczał, rozmyślał nad ważnym postanowieniem. Pani Aouda tuż przy nim, nie śmiąc pytać, patrzyła tylko na niego.

Pan Fogg pojął to nieme zapytanie.

— Znajdę go martwego lub żywego — rzekł spokojnie.

— Ach, panie Fogg! — zawołała młoda kobieta, chwytając go za rękę i oblewając ją łzami.

— Żywego! — dodał pan Fogg. — Jeśli nie stracimy ani chwili.

To postanowienie mogło zgubić pana Fogga, spowodować niechybną ruinę. Jeden dzień opóźnienia, a nie zdąży na statek do Nowego Jorku i przegra zakład. Ale myśl: „To mój obowiązek” była decydująca.

Komendant fortu Kearney był na miejscu. Stu przybyłych z nim żołnierzy miało bronić stacji w razie napadu Siuksów.

— Panie — zwrócił się Phileas Fogg do kapitana — trzech podróżnych zginęło.

— Martwi? — spytał kapitan.

— Martwi czy żywi — odparł pan Fogg — trzeba się właśnie o tym przekonać. Czy zamierza pan ścigać Siuksów?

— Panie — rzekł kapitan — nie mogę opuścić fortu, który mi powierzono.

— Panie — odparł Phileas Fogg — tu idzie o życie trojga ludzi.

— Niewątpliwie... Ale czy mogę narażać życie pięćdziesięciu, żeby uratować trzech?

— Nie wiem, czy pan może, ale powinien pan to zrobić.

— Panie — odparł kapitan — nikt tutaj nie ma prawa pouczać mnie o moich obowiązkach.

— Dobrze — rzekł pan Fogg obojętnie — pójdę sam.

— Co? — zawołał Fix. — Pan ruszy w pojedynkę w pogoń za Indianami?

— Chce pan więc, żebym pozwolił zginąć nieszczęśnikowi, któremu wszyscy zawdzięczamy życie? Idę!

— Nie, panie, nie pójdzie pan sam! — zawołał wzruszony kapitan. — Ma pan poczciwe serce! Trzydziestu ludzi na ochotnika! — zawołał, zwracając się do swych żołnierzy.

Wszyscy jak jeden człowiek ofiarowali swe usługi. Kapitan wybrał trzydziestu, a na ich czele postawił starego sierżanta.

— Dziękuję kapitanie — rzekł pan Fogg.

— Pozwoli pan sobie towarzyszyć? — zapytał Fix dzentelmena.

— Niech pan postąpi, jak pan uważa — odparł Phileas Fogg. — Ale jeśli chce mi się pan przysłużyć, proszę pozostać przy pani Aoudzie. W razie gdyby mi się przytrafiło nieszczęście...

Inspektor policji zbladł. Rozłączyć się z człowiekiem, któremu towarzyszył krok za krokiem z taką wytrwałością! Pozwolić mu zapuścić się w pustynię! Fix spojrział uważnie na dzentelmena i spuścił oczy przed jego spokojnym i otwartym wzrokiem.

— Zostaję — rzekł.

W parę minut potem pan Fogg uściskał dłoń pani Aoudy i oddając jej do rąk torbę z pieniędzmi, udał się w drogę wraz z sierżantem i jego małym oddziałem. Przedtem jednak zwrócił się do żołnierzy:

— Słuchajcie, przyjaciele, dostaniecie tysiąc funtów do podziału, gdy uratujemy więźniów!

Działo się o dwunastej w południe. Pani Aouda udała się do poczekalni dworca i tam w samotności rozmyślała o panu Foggu, o jego prostej a wielkiej szlachetności, o jego spokojnym męstwie. Pan Fogg poświęcał majątek, narażał swe życie i to bez wahania, bez frazesów, z obowiązku. Dżentelmen był w jej oczach bohaterem.

Co do inspektora policji, to ten przechadzał się gorączkowo, nie mogąc sobie znaleźć miejsca. Wyrzucał sobie popełnione głupstwo. Co? Rozstać się z człowiekiem, którego się tak długo prześladowało? Była to naiwność nie do przebaczenia. „Postąpiłem jak głupiec” — myślał. „Tamten mu powiedział, kim jestem. Poszedł i już nie wróci. Jak mogłem tak się dać wywieść w pole, ja, Fix, mając rozkaz aresztowania w kieszeni?”

Tak rozmyślał Fix podczas długo wlokących się godzin. Nie wiedział, co zrobić. Chwilami chciał wszystko powiedzieć pani Aoudzie. Nie miał jednak odwagi. Jak więc postąpić? Pójdzie za panem Foggiem. Odnalezienie go nie wydawało mu się niemożliwe. Ślady na śniegu jasno wskazywały mu drogę, po której szedł oddział. Ale zanim się zdecydował, wkrótce pod nową powłoką zatarły się zupełnie. Przygnębienie ogarnęło biednego agenta. Miał nieodpartą chęć rzucić wszystko i dać za wygraną.

Około drugiej po południu, podczas gdy śnieg sypał wielkimi płatami, usłyszano przeciągłe gwizdnięcia dochodzące od wschodu. Ogromna ciemna masa poprzedzona migotliwymi światełkami wolno posuwała się naprzód.

Nie oczekiwano żadnego pociągu z tej strony. Ten, który wezwano telegraficznie, nie mógł jeszcze nadejść, a pociąg z Omaha do San Francisco przejedzie dopiero jutro. Rzecz się wyjaśniła. Lokomotywa, która teraz powoli się zbliżała, była tą samą, którą odczepiono od wagonów i która pędząc z przerażającą szybkością, uniosła ze sobą maszynistę i palacza. Pędziła tak kilka mil, lecz później ogień zgasł, para uszła i w godzinę później, ciągle zwalniając bieg, zatrzymała się w odległości dwudziestu mil od stacji Kearney.

Ani maszynista, ani palacz nie zginęli. Po dość długim omdleniu powrócili do przytomności. Maszynista, widząc lokomotywę bez wagonów, domyślił się, co się stało. Jakim sposobem lokomotywa została odczepiona, nie mógł odgadnąć, przypuszczał jednak, że pociąg, pozostawszy w tyle, był w stanie opłakanym. Maszynista nie zastanawiał długo się nad tym, co zrobić. Postanowił dalej jechać w kierunku Omaha, ponieważ wracać do pociągu, który być może Indianie jeszcze grabili, było zbyt

niebezpieczne. Dorzucił opału do paleniska, para napelniła kocioł i maszyna niebawem zatrzymała się na stacji Kearney.

Radość zapanowała między podróżnymi, gdy lokomotywę przyczepiono do pociągu. Mogli więc ruszyć w dalszą podróż, tak nieszczęśliwie przerwana.

Po przybyciu lokomotywy pani Aouda zwróciła się do konduktora.

— Pan odjeżdża? — spytała.

— Za chwilę, proszę pani.

— A ci więźniowie?... Nasi nieszczęśliwi towarzysze?...

— Nie mogę się czekać... I tak mamy już trzy godziny spóźnienia.

— A kiedy przybędzie pociąg z San Francisco?

— Jutro wieczorem, proszę pani.

— Jutro wieczorem! Ależ to będzie za późno! Musi pan poczekać...

— To niemożliwe — odparł konduktor. — Jeśli pani chce jechać, proszę wsiadać do wagonu.

— Nie pojedę — odparła młoda kobieta.

Fix słyszał tę rozmowę. Kilka chwil przedtem, gdy nie było żadnych środków transportu, chciał opuścić Kearney, a teraz, gdy pociąg stał przed nim i w każdej chwili mógł zająć miejsce w wagonie, jakaś nieprzeparta siła przykuwała go do miejsca, nie mógł się od niego oderwać. Dusił go gniew, że dał się tak wywieść w pole. Postanowił walczyć do końca.

Tymczasem podróżni, wśród nich i ciężko ranny pułkownik Proctor, zajęli miejsca w wagonie. Lokomotywa gwizdnęła, pociąg ruszył i zaraz zniknął.

Inspektor policji został.

Kilka godzin minęło. Pogoda była zła i chłodna. Fix siedział na dworcu ponury i milczący.

Pani Aouda pomimo zawieruchy śnieżnej co chwila opuszczała pokój, który oddano do jej dyspozycji. Szła do końca dworca, z trudem próbując przebić wzrokiem gęstą mgłę. Na próżno też nasłuchiwała, żaden szmer nie dotarł do jej uszu. Wracła więc do pokoju cała zziębnięta, aby za kilka chwil powrócić, wciąż daremnie.

Nadszedł wieczór. Mały oddział jeszcze nie powrócił. Gdzie mogli się teraz znajdować? Czy doścignęli Indian? Czy doszło do walki? Czy też żołnierze, błędząc z powodu zadymki, nie natrafili na ich ślady? Kapitan fortu niepokoił się bardzo, choć tego nie okazywał.

Z nadejściem nocy śnieżycą zrzędała, ale chłód stał się przenikliwszy. Dokoła panowała zupełna cisza. Przez całą noc myśli pani Aoudy, pełne smutnych przeczuć, błądziły po prerii. Wyobrażenia unosila ją daleko i malowała jej tysiące niebezpieczeństw. Trudno wyrazić, co biedna kobieta przecierpiała przez te długie godziny.

Fix wciąż nieruchomo siedział na swym miejscu. On także nie spał.

Tak przeszła noc. Z brzaskiem dnia na horyzoncie ukazała się tarcza słoneczna, więc można już było sięgnąć okiem na odległość dwóch mil. Phileas Fogg ze swym oddziałem udali się w kierunku południowym. Była już siódma rano, a na południu zupełnie pusto.

Kapitan, zaniepokojony do najwyższego stopnia, nie wiedział, co robić. Czy poświęcić kolejnych ludzi, żeby ratować tamtych? Po krótkim namyśle zawołał oficerów, aby wydać rozkazy, gdy od strony południa usłyszano wystrzały. Żołnierze wyskoczyli z fortu i o pół mili przed sobą zobaczyli oddziałek wracający w pełnym porządku.

Na czele szedł pan Fogg, obok niego Obieżyświat i dwaj podróżni wyswobodzeni z rąk Siuksów.

O dziesięć mil na południe od Kearney doszło do bitwy. Kilka chwil przed przybyciem odsieczą Obieżyświat i jego towarzysze walczyli przeciw dzikim. Francuz pięścią zabił już trzech, gdy jego pan z żołnierzami rzucili się im na pomoc.

Wszystkich, wybawionych i wybawców, powitały okrzyki radości. Phileas Fogg rozdał żołnierzom obiecaną nagrodę, a Obieżyświat powtarzał nie bez słuszności:

— Trzeba przyznać, że drogo kosztuję mego pana.

Fix, nie wymówiwszy słowa, patrzył na pana Fogga i trudno było pojąć, co działo się w jego duszy. Co do Aoudy, to ściskając ręce pana Fogga, z radości nie mogła z siebie wydobyć głosu.

Tymczasem Obieżyświat od chwili powrotu szukał pociągu. Spodziewał się, że będzie stał tutaj gotowy do odjazdu do Omaha, i miał nadzieję, że uda się nadrobić stracony czas.

— Gdzie pociąg? — zawołał.

— Odjechał — odparł Fix.

— A kiedy przybędzie następny? — spytał pan Fogg.

— Dopiero wieczorem.

— Aha — odpowiedział obojętnie niewzruszony dżentelmen.

Rozdział XXXI. Przeprawa na saniach z żaglami

Phileas Fogg stracił dwadzieścia godzin. Obieżyświat, mimowolna przyczyna tego opóźnienia, był w rozpacz. Nie ulegało wątpliwości, że zrujnował swego pana. W tej chwili inspektor zbliżył się do pana Fogg'a i spytał go, patrząc na niego badawczo:

— Czy pan się bardzo spieszy?

— Bardzo — odparł pan Fogg.

— Zależy panu na tym, żeby znaleźć się w Nowym Jorku jedenastego grudnia przed dziewiątą wieczorem, to jest przed odpłynięciem statku do Liverpoolu?

— Bardzo mi na tym zależy.

— I gdyby napaść Indian nie przerwała podróży, byłby pan jedenastego rano w Nowym Jorku?

— Tak, na dwanaście godzin przed odpłynięciem statku.

— Dobrze, pan stracił dwadzieścia godzin. Między dwadzieścia a dwanaście jest osiem godzin różnicy. Można by je nadrobić. Czy nie chciałby pan tego spróbować?

— Pieszko? — spytał pan Fogg.

— Nie, na saniach — odparł Fix. — Na saniach z żaglami. Pewien człowiek proponował mi ten sposób podróży.

Phileas Fogg nic na to nie odpowiedział. Agent wskazał mu człowieka przechadzającego się po dworcu i dżentelmen podszedł do niego. W chwilę później Phileas Fogg i ten Amerykanin, nazwiskiem Mudge, weszli do chaty stojącej po drugiej stronie fortu.

Tam oglądali szczególnego rodzaju wehikuł. Tworzyła go rama z desek, przybita do dwóch grubych belek wygiętych na końcach jak płozy sań. Z przodu ramy wznosił się maszt, na którym znajdował się ogromny żagiel. Maszt umocowano do desek metalową blachą i naciągniętymi stalowymi linami. Z tyłu tkwił rodzaj steru, pozwalającego kierować tymi dziwnymi saniami, w których mogło się zmieścić pięć do sześciu osób. W zimie na pokrytych lodem równinach, gdy z powodu zasp śnieżnych pociągi przestają kursować, pojazdy te z nadzwyczajną szybkością przewożą podróżnych od stacji do stacji. Przy wietrze stawia się żagle i sanie suną po powierzchni prerii z szybkością maszyny parowej.

W kilka chwil pan Fogg dobił targu z właścicielem szalupy lądowej. Wiatr był pomyślny, wiał od zachodu. Śnieg stwardniał i Mudge obiecywał w kilka godzin dowieźć pana Fogg'a na stację Omaha. Tam zatrzymuje się dużo pociągów i jest wiele dróg

prowadzących do Chicago i Nowego Jorku. Odzyskają na pewno stracone godziny, trzeba się tylko prędko decydować. Pan Fogg, nie chcąc wystawiać pani Aoudy na zimno i niewygody podobnej podróży, nakłaniał ją, żeby pozostała z Obieżyświatem i z nim powróciła do Europy w wygodniejszych warunkach.

Pani Aouda nie chciała jednak rozstawać się z panem Foggiem, co bardzo uszczęśliwiło Obieżyświata, gdyż za nic w świecie nie chciałby pozostawić swego pana w towarzystwie samego Fixa.

Co myślał Fix, trudno odgadnąć. Czy po powrocie pana Fogg'a z niebezpiecznej wyprawy zmienił o nim zdanie, czy też miał go w dalszym ciągu za zręcznego nicponia — nie wiadomo. W każdym razie spieszył się bardzo do Anglii i okazywał największą ze wszystkich niecierpliwość.

O ósmej sanki gotowe były do odjazdu. Podróżni, zawinięci w ciepłe płaszcze i pledy, zajęli miejsca.

Rozpięto dwa ogromne żagle i przy podmuchach wiatru wehikuł sunął po stwardniałym śniegu z szybkością czterdziestu mil na godzinę.

Odległość dzieląca Kearney od Omaha wynosi w linii prostej dwieście mil. Przy sprzyjającym wietrze, jeśli nic nie stanie na przeszkodzie, za pięć godzin dotrą na miejsce.

Podróżni, przyciśnięci do siebie, nie mogli nawet rozmawiać. Zimno wzmagane szybkością jazdy odbierało im mowę. Sanie sunęły lekko po szklistej powierzchni jak statek po wodzie. Rozpięto wszystkie żagle.

— Jeśli nic się nie popsuje — mówił Mudge — przyjedziemy!

Dotarcie na miejsce w umówionym czasie leżało w jego interesie, gdyż wierny swym zasadom pan Fogg obiecał mu sowitą nagrodę.

Preria, którą sanie przecinały w prostej linii, była gładka jak morze. Można by pomyśleć, że to ogromny zamrznięty staw. Jadąc wciąż w linii prostej, napotkają rzekę Platte, przebędą ją jednak bez trudności, gdyż była zamrznięta. Dotychczas podróż szła doskonale, można się było obawiać tylko dwóch rzeczy: uszkodzeń sań lub ustania wiatru. Ale wiatr nie ustawał. Przeciwnie, dął z taką siłą, że zginał maszt przytrzymywany mocno metalową blachą i żelaznymi linami. Liny jak struny instrumentu dźwięczały jakąś żalosną skargą, jakby za dotknięciem smyczka.

Sanie szybowały przy dźwiękach tej dziwnej melodii.

— Te liny dają kwintę i oktawę — rzekł pan Fogg.

Były to jedyne słowa, które wymówił przez cały czas trwania podróży. Pani Aouda, troskliwie owinięta w futra i pledy, była zabezpieczona przed zimnem, ile się tylko dało.

Co do Obieżyświata, to z twarzą czerwoną od mrozu wchłaniał w siebie ostre powietrze. Ze swoją naturalną pogodą ducha znów nabrał nadziei, że wszystko skończy się pomyślnie. Zamiast przybyć do Nowego Jorku rano, przybędą wieczorem, można jednak być prawie pewnym, że stanie się to jeszcze przed odjazdem statku do Liverpoolu.

Miał wielką ochotę uściśnięcia dłoni Fixowi, który postarał im się o sanie, lecz jakieś dziwne przeczucie powstrzymywało go.

W każdym razie Obieżyświat nie zapomni nigdy poświęcenia, na jakie się zdobył jego pan, żeby wyrwać go z rąk Siuksów. Narażał swój majątek i życie. Nie, o tym jego służący nigdy nie zapomni.

Podczas gdy każdy z podróżnych pogrążony był w swoich myślach, sanie mknęły po śnieżnym kobiercu. Po drodze nie spotkano ani miast, ani stacji, ani nawet fortu. Od czasu do czasu mignęło jak błyskawica jakieś drzewo, którego biały szkielet ugiął się pod silnym podmuchem wiatru. Czasami przeleciało stado dzikich ptaków. To znów stado chudych, wygłodzonych wilków, pędząc za saniami, próbowało je dogonić. Wtedy Obieżyświat wyczekiwał z rewolwerem w rękę, gotów dać ognia w razie ich zbliżenia się. Gdyby jakiś wypadek zatrzymał w biegu sanie, podróżni byłiby narażeni na napaść ze strony tych dzikich, krwiożerczych stworzeń. Ale sanie sprawowały się doskonale i wkrótce cała wyjąca banda pozostała daleko za nimi.

W południe Mudge po pewnych wskazówkach rozpoznał zamarznięty brzeg rzeki Platte. Nic nie powiedział, lecz był pewien, że jeszcze dwadzieścia mil, a osiągną stację Omaha.

W samej rzeczy, nie minęła godzina, gdy zręczny przewodnik, opuściwszy ster, zaczął powoli zwijać żagle i sanie, stopniowo zwalniając bieg, zatrzymały się przed grupą białych od śniegu dachów. Mudge zwrócił się do podróżnych i rzekł:

— Jesteśmy na miejscu.

Obieżyświat i Fix zeskoczyli na ziemię i zaczęli rozcierać zdrętwiałe kończyny. Pomogli panu Foggowi i pani Aoudzie wysiąść z sań. Pan Fogg wynagrodził wspaniałomyślnie Mudge'a, a Obieżyświat uściśnął mu rękę jak przyjacielowi. Następnie wszyscy udali się na dworzec Omaha. Zdążyli jeszcze na pociąg, mający niebawem ruszać. Pan Fogg i jego towarzysze mieli tylko tyle czasu, żeby wskoczyć do

wagonu. Nie zobaczyli nic w Omaha, ale Obieżyświat sam przyznał, że nie było czego żałować, bo zupełnie co innego teraz ich zajmowało.

Z niezwykłą szybkością pociąg przejechał przez stan Iowa, przez miasta Council Bluffs, Des Moines i Iowa City. Podczas nocy przebył Missisipi i przez Rock Island wjechał do Illinois. Nazajutrz, 10 grudnia o czwartej po południu, przybył do Chicago, już powstałego z ruin i jeszcze dumniej jak dawniej wznoszącego się na brzegach jeziora Michigan.

Dziewięćset mil dzieli Chicago od Nowego Jorku. Pan Fogg opuścił pociąg, by wsiąść do innego. Szybka lokomotywa pomknęła, jakby wiedziała, że dżentelmen nie miał chwili do stracenia. Jak błyskawica minęła Indianę, Ohio, Pensylwanię, New Jersey i inne miasta o starożytnych nazwach. Wreszcie ukazała się rzeka Hudson i 11 grudnia o godzinie jedenastej piętnaście wieczorem pociąg zatrzymał się na dworcu po prawej stronie rzeki.

Statek „China”, udający się do Liverpoolu, odbił od brzegu czterdzieści pięć minut temu.

Rozdział XXXII. Dalsze przeciwności

Unosząc się na falach, statek „China” zabierał na swym pokładzie ostatnią nadzieję Phileasa Fogg.

W samej rzeczy żaden inny statek, płynący z Ameryki do Europy, nie mógł posłużyć planom pana Fogg.

„Pereire”, statek Francuskiego Towarzystwa Transatlantyckiego, piękny parowiec przewyższający szybkością i wygodnym urządzeniem wszystkie inne, wyruszał dopiero pojutrze, 14 grudnia. Przy tym, podobnie jak statki Towarzystwa Hamburskiego, nie udawał się wprost do Liverpoolu ani do Londynu, lecz do Hawru, co znacznie opóźniłoby przybycie pana Fogg do Anglii.

Co do statków Inman, z których jeden, „City of Paris”, wyruszał jutro na pełne morze, to o nich nie można było nawet myśleć. Te statki, przeznaczone dla emigrantów, są słabej konstrukcji i mają niewielką szybkość. Na przeprawę z Nowego Jorku do Anglii wymagały więcej czasu, niż go miał pan Fogg, by przybyć w terminie do Londynu. O tym wszystkim dżentelmen wiedział już z rozkładu połączeń.

Obieżyświat był w rozpacz. Myśl, że się spóźnili o czterdzieści pięć minut na statek dobijała go. To była wyłącznie jego wina, myślał, bo zamiast pomagać swemu panu,

tylko mnożył przeszkody na jego drodze. A gdy policzył sumy stracone w podróży i to tylko z jego powodu, gdy dołączył do tego przegrany zakład, stało się dla niego jasne, że pan Fogg jest zrujnowany. Na samą myśl o tym biedny chłopak obrzucał się przekleństwami.

Pan Fogg jednak nie robił mu żadnych wyrzutów i opuściwszy port, rzekł tylko:

— Zobaczmy jutro. Chodźcie.

Pan Fogg, pani Aouda, Obieżyświat i Fix, przebywszy Hudson, wsiedli do dorożki, która zawiozła ich do hotelu St. Nicolas na Broadwayu.

Dla Phileasa Fogga, który spał spokojnym snem, noc była krótka, lecz wydawała się niezmiernie długa pani Aoudzie i jej towarzyszom, którzy z niepokoju i wzruszenia nie mogli zamknąć oka.

Nazajutrz był 12 grudnia. Zatem od godziny siódmej rano dwunastego do ósmej czterdzieści pięć wieczorem dwudziestego pierwszego pozostawało tylko dziewięć dni, trzynaście godzin i czterdzieści pięć minut. Gdyby pan Fogg zdążył być na statek „China”, byłby przybył do Liverpoolu, a następnie do Londynu w wyznaczonym czasie.

Pan Fogg opuścił hotel, uprzedzając pozostałych, by w każdej chwili byli gotowi do odjazdu.

Następnie udał się na brzegi Hudsonu i wśród mnóstwa zacumowanych lub zakotwiczonych na rzece statków wyszukiwał te, które się wybierały na pełne morze. W większości były to żaglowce, więc żaden z nich nie odpowiadał jego wymaganiom.

Wyglądało na to, że wszelkie starania dżentelmena pójdą na marne, gdy o sto dwadzieścia sążni od brzegu zauważył statek kupiecki o ładnej budowie.

Uchodzący z komina dym wskazywał, że statek przygotowuje się do odjazdu.

Phileas Fogg wsiadł do przywołanej łódki i w kilka chwil dopłynął do parostatku „Henrietta”.

Kapitan „Henrietty” był na pokładzie. Phileas Fogg kazał go zawołać.

Stanął przed nim człowiek pięćdziesięcioletni, typ prawdziwego wilka morskiego, o dużych oczach, miedzianej cerze i rudych włosach.

— Czy pan jest kapitanem? — pytał go pan Fogg.

— Tak.

— Jestem Phileas Fogg z Londynu.

— A ja Andreas Speedy z Cardiff.

— Kiedy pan wyrusza w drogę?

— Za godzinę!

- Dokąd?
- Do Bordeaux.
- A pański ładunek?
- Nie mam żadnego.
- A ma pan pasażerów?
- Nie, nigdy ich nie biorę. Nieporęczny towar i dużo mędrkuje.
- Czy pański statek jest szybki?
- Jedenaście do dwunastu węzłów. „Henrietta” jest dobrze znana.
- Czy zechce pan mnie przewieźć do Liverpoolu, mnie i jeszcze trzy osoby?
- Do Liverpoolu? Dlaczego nie do Chin?
- Do Liverpoolu, jak powiedziałem.
- Nie!
- Nie?
- Nie! Mam kurs do Bordeaux i płynę do Bordeaux!
- Za żadną cenę?
- Za żadną cenę – odpowiedział kapitan tonem nieznoszącym sprzeciwu.
- A właściciel „Henrietty”?
- Właściciel to ja. Statek należy do mnie.
- Wynajmuję go.
- Nie wynajmę!
- Więc go kupuję.
- Nie sprzedam!

Pan Fogg nie stracił nic ze swego zwykłego spokoju, choć sytuacja stawała się poważna. Dotychczas pieniądze usuwały wszelkie przeszkody, tym razem sposób ten, tak zawsze skuteczny, chybił.

Niemniej jednak trzeba znaleźć jakiś sposób przebycia Atlantyku.

Po dłuższym namyśle pan Fogg odezwał się:

- Czy zechce pan nas zawieźć do Bordeaux?
- Nie, nawet gdyby pan dawał dwieście dolarów.
- Dam panu dwa tysiące.
- Od osoby?
- Od osoby.
- I jest was czwórka?
- Czwórka.

Kapitan Speedy zaczął się drapać w czoło, jakby zamierzał zedrzeć z niego skórę. „Osiem tysięcy dolarów zarobku! Hm...” — mówił do siebie. „Pasażerowie płacący po dwa tysiące dolarów to już nie pasażerowie, to drogie towary”.

— Odjeżdżam o dziewiątej rano — rzekł spokojnie kapitan. — Jeżeli pan wraz z pozostałymi tu będzie?...

— O dziewiątej będziemy na pokładzie! — odparł spokojnie pan Fogg.

Było już wpół do dziewiątej. Pan Fogg ze swym zwykłym spokojem zszedł na ląd, wziął dorożkę, przybył do hotelu St. Nicolas, oznajmił towarzyszom, że jadą do Bordeaux i uprzejmie zaproponował panu Fixowi, aby towarzyszył im w tej podróży.

W chwili, gdy „Henrietta” miała odbić od brzegu, wszyscy byli już na pokładzie.

Rozdział XXXIII. Phileas Fogg umie sobie radzić

W godzinę później statek wypłynął na pełne morze, w kierunku wschodu.

Nazajutrz, 13 grudnia w południe, człowiek jakiś wszedł na mostek, żeby oznaczyć położenie. Według wszelkiego prawdopodobieństwa powinien to być kapitan Speedy. Ale nie, był nim Phileas Fogg.

Kapitan zaś, zamknięty w swojej kajucie, wydawał ryki wywołane paroksyzmem wściekłości.

Oto co zaszło.

Phileas Fogg musiał być w Liverpoolu, kapitan nie chciał go tam zawieźć. Pan Fogg pozornie zgodził się na przejażdżkę do Bordeaux, ale w ciągu trzydziestu godzin tak zręcznie manewrował banknotami, że załoga, marynarze i palacze, będący na niezbyt przyjaznej stopie ze swym kapitanem, stanęli po jego stronie.

I oto, dlaczego Phileas Fogg wydawał rozkazy zamiast kapitana Speedy'ego, zamkniętego w swej kajucie, a „Henrietta” płynęła w kierunku Liverpoolu. Widząc pana Fogga wydającego rozkazy na statku, zdawało się, że ma się do czynienia z marynarzem. Jak się skończy ta awantura, okaże się później. W każdym razie pani Aouda, choć tego nie okazywała, niepokoiła się bardzo. Fix, zdumiony do najwyższego stopnia, nie wiedział, co myśleć. Co do Obieżyświata, ten był zachwycony.

„Henrietta” robiła jedenaście do dwunastu węzłów, tak jak mówił kapitan Speedy, więc przy spokojnym więc morzu i sprzyjającym wietrze w dziesięć dni, od 13 do 21 grudnia, powinna pokonać odległość trzech tysięcy dzielących Nowy Jork i Liverpool.

Podczas pierwszych dni żegluga odbywała się w bardzo sprzyjających warunkach. Morze nie było zbyt burzliwe, wiatr wiał od północnego wschodu, przy rozpiętych żaglach „Henrietta” posuwała się szybko.

Obieżyświat był zachwycony. Nigdy załoga nie widziała chłopca tak wesołego, tak pełnego życia. Pełen uprzejmości względem majtków, nie szczędził im pochlebnych słów i częstował najlepszymi trunkami. Jego dobry humor działał na marynarzy. Towarzystwem zjednał sobie wszystkich, nigdy majtkowie nie byli tak gorliwi i nigdy palacze nie wypalali tyle węgla. Pocziwiec zapomniał o wszystkim, o swych troskach i przejściach, myśląc tylko o celu, którego się czuł tak bliski.

Często kręcił się wokół Fixa, spoglądając na niego nieufnie. Nie rozmawiał z nim jednak, bo nie było już między nimi dawnej zażyłości.

Zresztą Fix niczego nie pojmował. Opanowanie „Henrietty” przez pana Fogga, przekupienie załogi, umiejętne rozkazy wydawane na statku przez dżentelmena — wszystko to razem oszałamiało go kompletnie. W końcu dżentelmen, który skradł pięćdziesiąt pięć tysięcy funtów, może ukraść i statek, i Fix przyszedł do przekonania, że prowadzona przez pana Fogga „Henrietta” nie udaje się do Liverpoolu, lecz do jakiegoś zakątka świata, gdzie przemieniony w pirata złodziej spokojnie się ukryje. Trzeba przyznać, że to przypuszczenie było co najmniej prawdopodobne i agent zaczął bardzo żałować, że wplątał się w tę sprawę.

Kapitan Speedy w dalszym ciągu nie przestawał wyc w swej kajucie. Obieżyświat, któremu powierzono dostarczanie mu posiłków, wypełniał to polecenie z największą ostrożnością.

13 grudnia mijano brzeg Nowej Fundlandii. W tym miejscu, szczególnie zimą, bywają częste mgły i gwałtowne wiatry. Od wczoraj barometr zaczął szybko spadać, co zapowiadało bliską zmianę temperatury. Rzeczywiście, w nocy nadszedł silny mróz, a wiatr zaczął wiać z przeciwnej strony.

Aby nie zejść z kursu, pan Fogg zwinął żagle i dodał pary. Jednak szybkość „Henrietty” znacznie się zmniejszyła. Wiatr stopniowo zmieniał się w huragan i rzucał statkiem na prawo i na lewo.

Jednocześnie z niebem zachmurzyło się oblicze Obieżyświata, w ciągu dwóch dni pocziwy chłopak doświadczał śmiertelnego strachu. Lecz Phileas Fogg był doświadczonym marynarzem i umiał utrzymać kurs. Woda się pieniała, bałwany wznosiły się na morzu jak góry wodne, ale „Henrietta” posuwała się dalej.

Wichura nie osiągnęła takiej mocy, jakiej się obawiano. Nie był to jeden z huraganów, które pędzą z szybkością dziewięćdziesięciu mil na godzinę. Na nieszczęście jednak dął od południowego wschodu, tak że nie można było rozpiąć żagli.

16 grudnia był siedemdziesiątym piątym dniem od wyjazdu z Londynu. Znaczną część drogi już przebyli i ominęli niebezpieczniejsze miejsca. W lecie można się było spodziewać zwycięstwa, zimą było się na łasce złej pogody.

Obieżyświat wyczekiwał w milczeniu. W głębi duszy jednak miał nadzieję, że to, co wiatr popsuł, to para naprawi.

Tego właśnie dnia ujrzał, że maszynista wszedł na mostek i spotkawszy tam pana Fogga, toczył z nim ożywioną rozmowę.

Nie wiedząc sam dlaczego, wiedziony przecuciem, Obieżyświat odczuł niejasny niepokój. Oddałby jedno ze swych uszu, żeby móc usłyszeć, o czym rozmawiają. Udało mu się dosłyszeć tylko kilka słów wymówionych przez swego pana:

— Jesteście pewni tego, co mówicie?

— Bez wątpienia, proszę pana — odparł maszynista. — Niech pan nie zapomina, że od chwili naszego wyjazdu palimy we wszystkich piecach. Wystarczyłoby nam węgla na podróż przy małej parze z Nowego Jorku do Bordeaux, ale nie będzie go dosyć, by dojechać całą siłą pary do Liverpoolu.

— Zastanowię się nad tym — rzekł pan Fogg.

Obieżyświat wszystko zrozumiał. Zabrakło węgla. Ogarnął go śmiertelny niepokój. Spotkawszy Fixa, nie mógł się powstrzymać, aby go nie zawiadomić o sytuacji.

— A więc wierzy pan — rzekł agent przez zaciśnięte zęby — że udajemy się do Liverpoolu?

— Naturalnie!

— Głupiec! — odrzekł, wzruszając ramionami, inspektor.

Nie rozumiejąc, co miało znaczyć podobne odezwanie się, Obieżyświat chciał zażądać wyjaśnień, pomyślał jednak, że biedny agent musiał być bardzo zmartwiony i przygnębiony, gdyż jego miłość własna musiała bardzo cierpieć z powodu tego, że wiedziony fałszywym tropem podążał naokoło świata, więc puścił mu to płazem.

Co przedsięwzięmie teraz Phileas Fogg? Było to trudne do przewidzenia. W każdym razie coś musiał postanowić, gdyż jeszcze tego samego wieczoru kazał przywołać maszynistę i rzekł:

— Kaźcie palić we wszystkich piecach aż do zupełnego wyczerpania węgla!

W kilka minut później komin „Henrietty” wyrzucał czarne kłęby dymu. Statek więc szedł całą siłą pary, lecz po dwóch dniach, 18 grudnia, mechanik oznajmił, że pod koniec dnia nie będzie już czym palić.

Pan Fogg, nie zrażając się tym wcale, kazał wciąż dokładać węgla, a następnie rozkazał Obieżyświatowi sprowadzić kapitana Speedy'ego.

Odważny chłopiec schodził do kajuty, jakby szedł do klatki tygrysa.

— Będzie pewnie wściekły — rzekł do siebie Obieżyświat.

Rzeczywiście, w kilka chwil później wśród krzyków i przekleństw kapitan jak bomba wpadł na pokład.

— Gdzie jesteśmy? — wrzasnął w szalonym gniewie.

— O siedemset siedemdziesiąt mil od Liverpoolu — odparł pan Fogg.

— Rozbójniku! — zawołał Andrew Speedy.

— Kazałem pana zawołać...

— Rabusiu morski!...

— ...aby — ciągnął dalej pan Fogg — aby zechciał pan sprzedać mi statek...

— Nie chcę, do stu diabłów, nie chcę!

— ...gdyż jestem zmuszony go spalić!...

— Co?!? Spalić mój statek?

— Tak, przynajmniej górę, ponieważ zabrakło opału.

— Spalić mój statek! — krzyczał kapitan Speedy, nie mogąc przyjść do siebie. — Statek, który wart jest pięćdziesiąt tysięcy dolarów.

— Oto sześćdziesiąt tysięcy — odparł Phileas Fogg, wręczając kapitanowi paczkę banknotów.

Wywarło to cudowny wpływ na kapitana Speedy'ego. Nie byłby Amerykaninem, gdyby sześćdziesiąt tysięcy dolarów nie sprawiło na nim pewnego wrażenia. W tej chwili zapomniał o swoim gniewie, o uwięzieniu, o nienawiści do swego pasażera. Jego statek pływał już dwadzieścia lat, więc był to interes nie do odrzucenia.

— Ale żelazny kadłub należy do mnie? — zapytał tonem znacznie spokojniejszym.

— Kadłub i maszyny. Czy zgoda?

— Zgoda!

I Andrew Speedy, chwyciwszy pakiet z banknotami, przeliczył je i wsunął do kieszeni.

Podczas tej sceny Obieżyświat był śmiertelnie blady. Co do Fixa, to mało go krew nie zalała. Zostało wydane dwadzieścia tysięcy funtów, a przy tym ten Fogg pozostawiał kapitanowi kadłub i maszyny, niemal całą wartość statku.

— Panie — rzekł Fogg, zwracając się do kapitana. — Niech to pana nie dziwi. Musi pan wiedzieć, że stracę dwadzieścia tysięcy funtów, jeśli nie stawię się w Londynie 21 grudnia o ósmej czterdzieści pięć wieczorem. Spóźniłem się na statek w Nowym Jorku, a ponieważ nie chciał nas pan zawieźć do Liverpoolu...

— I ja zrobiłem dobrze, do stu tysięcy diabłów — wykrzyknął kapitan Speedy. — bo zarobiłem co najmniej czterdzieści tysięcy dolarów.

Po czym dodał spokojniej:

— Wie pan co, kapitanie...

— Fogg.

— Kapitanie Fogg, jest w panu coś z Jankesa. — Powiedziawszy swemu pasażerowi największy komplement, na jaki się mógł zdobyć, odszedł.

Po jego odejściu pan Fogg rozkazał, aby wszystko, co było na statku z drzewa, zrąbano na opał.

Wyobraźmy sobie, ile trzeba było tego suchego drzewa, by utrzymać dostateczną parę. Spalono więc tego dnia nadbudówkę rufową, kajuty i mesę. Nazajutrz, 19 grudnia, poszły do pieca maszty, reje i części zapasowe.

Załoga pracowała z niezwykłym wysiłkiem. Obieżyświat ścinając, łupiąc i piłując, pracował za dziesięć.

20 grudnia na pastwę ognia poszły balustrady, nadburcia i większa część pokładu. Wygolona „Henrietta” wyglądała jak ponton.

Tego dnia zarysował się w oddali brzeg Irlandii i o dziesiątej wieczorem statek mijał Queenstown. Phileasowi Foggowi pozostały tylko dwadzieścia cztery godziny na dotarcie do Londynu, czyli tyle, ile potrzebowała „Henrietta”, żeby pełną parą dotrzeć do Liverpoolu. Ale opał się wyczerpał.

— Panie! — rzekł kapitan Speedy, który zaczął się teraz żywo interesować planami pana Fogga. — Bardzo mi pana żal. Wszystko jest przeciw panu. Jesteśmy dopiero w pobliżu Queenstown.

— Aha — rzekł pan Fogg. — Queenstown to miasto, które stąd widzimy?

— Tak!

— Czy możemy wejść do portu?

— Dopiero za trzy godziny. Tylko podczas przyływu.

— Poczekajmy — odparł spokojnie Phileas Fogg, nie zdradzając wcale, że przyszedł mu do głowy nowy pomysł.

Otóż Queenstown jest portem irlandzkim, w którym statki płynące ze Stanów Zjednoczonych pozostawiają worki z pocztą. Listy zawozi się do Dublina szybkimi pociągami, w każdej chwili gotowymi do odjazdu, a stamtąd do Liverpoolu najszybszymi parowcami, wyprzedzając w ten sposób o dwanaście godzin najszybsze statki towarzystw żeglugi atlantyckiej.

Te dwanaście godzin, które zyskiwały listy z Ameryki, pan Fogg chciał wykorzystać dla siebie. A zatem zamiast płynąć do Liverpoolu „Henrietta” i przybyć nazajutrz wieczorem, będzie tam już w południe i będzie miał czas, żeby zdążyć do Londynu przed ósmą czterdzieści pięć.

O pierwszej po północy „Henrietta” weszła do portu Queenstown podczas przyływu morza. Phileas Fogg, uściskawszy silnie dłoń kapitana Speedy'ego, zostawił go na jego zdezelowanym statku, który bądź co bądź wart był jeszcze połowę sumy, za jaką go sprzedał.

Pasażerowie wysiadali. Fix w tej chwili uczuł szaloną chęć aresztowania pana Fogg. Nie zrobił tego jednak. Dlaczego? Jaka walka toczyła się w jego umyśle? Czy pojął wreszcie, że się mylił? W każdym razie Fix nie opuścił jeszcze jego towarzystwa. O wpół do drugiej wsiadł wraz z nim, panią Aoudą i Obieżyświatem do pociągu w Queenstown. Przybyli o świcie do Dublina i bez zwłoki weszli na jeden ze statków.

21 grudnia o jedenastej czterdzieści Phileas Fogg znalazł się nareszcie na nabrzeżu Liverpoolu. Od Londynu dzieliło go zaledwie sześć godzin. W tej chwili zbliżył się do niego Fix i kładąc mu rękę ramieniu, pokazał swój nakaz...

— Pan jest Phileasem Foggiem? — zapytał.

— Tak.

— W imieniu Królowej aresztuję pana!

Rozdział XXXIV. Pomyłka

Phileas Fogg był uwięziony. Zamknięto go w urzędzie celnym, gdzie miał spędzić noc, oczekując na przewiezienie do Londynu.

W chwili aresztowania Obieżyświat chciał rzucić się na inspektora, lecz policjanci powstrzymali go. Pani Aouda, przestraszona, nie wiedziała, co się dzieje. Obieżyświat

wytłumaczył jej sytuację. Pan Fogg, ów szlachetny dżentelmen, któremu zawdzięczała ocalenie, został aresztowany jako złodziej.

Młoda kobieta protestowała przeciwko tej brutalności, serce jej boleśnie się ścisnęło, łzy płynęły z oczu, gdy się przekonała, że nie może nic zrobić dla wybawienia swego dobroczyńcy. Co się tyczy Fixa, aresztował on dżentelmena, bo tak nakazywał mu obowiązek; czy był winny, czy też nie, osądzi sprawiedliwość.

W owej chwili Obieżyświata dręczyły wyrzuty sumienia. Dlaczego nie uprzedził pana Fogga o osobie i zadaniu Fixa? Gdyby to zrobił, jego pan zapewne umiałby przekonać inspektora o swojej niewinności, dowiódłby mu jego pomyłki. W każdym razie nie woziłby na swój koszt tego nieszczęsnego agenta, którego pierwszą czynnością było aresztowanie pana Fogga, gdy tylko postawił stopę na ziemi Zjednoczonego Królestwa.

Myśląc o swych błędach i nieostrożności, biedny chłopak gorzko płakał; chciał sobie roztrzaskać głowę, Pani Aouda i on, pomimo chłodu zostali na ganku urzędu celnego. Nie chcieli opuścić tego miejsca, mając nadzieję choć raz jeszcze ujrzeć pana Fogga.

Co do dżentelmena, został on doszczętnie zrujnowany w chwili, gdy był tak bliski osiągnięcia celu. Aresztowanie to gubiło go bezpowrotnie. Przybywszy do Liverpoolu 21 grudnia o jedenastej czterdzieści, miał czas do ósmej czterdzieści pięć wieczorem, żeby zjawić się w klubie „Reforma”, czyli jeszcze dziewięć godzin, a do Londynu było tylko sześć godzin drogi. Gdyby ktoś w tej chwili mógł przeniknąć do izby aresztu, znalazłby pana Fogga siedzącego bez ruchu na drewnianej ławce, chłodnego, bez oznak gniewu.

Czy był zrezygnowany? Nie wiadomo, lecz ten ostatni cios nie wyprowadził go z równowagi. Tak się przynajmniej wydawało. Czy wrzała w nim tajona wściekłość, tym straszniejsza, że hamowana, która wybucha w ostatniej chwili z niepowstrzymaną siłą? Nie wiadomo. Siedział spokojny, wyczekujący – czego?

Czy żywił jeszcze jakąś nadzieję? Czy wierzył jeszcze w powodzenie, w chwili gdy zamknęły się za nim drzwi więzienia? Jakkolwiek było, pan Fogg umieścił na stole swój zegarek i spoglądał na przesuwające się wskazówki. Ani jedno słowo nie wymknęło się z jego ust, jego spojrzenie było dziwnie nieruchome. W każdym razie sytuacja była straszna i można ją określić w ten sposób:

Uczciwy człowiek, Phileas Fogg, był zrujnowany i uwięziony. Czy myślał o swoim ocaleniu i szukał sposobu wydostania się spod klucza? Można było tak przypuszczać, widząc, jak obchodził w tej chwili dokoła swoje więzienie. Drzwi były szczelnie

zamknięte, a okna okratowane. Wrócił zatem na ławkę, wyciągnął notatnik podróżny, otworzył i w rubryce ze słowami:

21 grudnia, sobota, Liverpool
dopisał:

80 dni, 11:40 rano
i czekał.

Na miejskim zegarze wybiła pierwsza. Pan Fogg zauważył, że jego zegarek spieszy się o dwie minuty.

Wybiła druga! Zakładając, że w tej chwili wsiadałby do pociągu pospiesznego, mógłby jeszcze zdążyć do klubu „Reforma” przed ósmą czterdzieści pięć wieczorem. Jego czoło lekko się zmarszczyło.

O drugiej trzydzieści trzy na zewnątrz rozległ się łoskot otwierających się drzwi. Dały się słyszeć głosy Obieżyświata i Fixa. Wzrok Phileasa Fogg’a ożywił się.

Drzwi się otwarły i ujrzał panią Aoudę, Obieżyświata i Fixa zbliżających się szybko ku niemu.

Fix bez tchu, z włosami w nieładzie, ledwie mógł z siebie wydobyć głos:

— Panie — wyjąkał. — Panie, przepraszam... nieszczęsne podobieństwo... złodziej aresztowany od trzech dni... pan wolny...

Phileas Fogg był wolny. Podszedł do agenta policji, spojrzał mu ostro w oczy i szybkim, automatycznym ruchem uderzył go obiema pięściami.

— Świetne uderzenie! — krzyknął Obieżyświat i pozwalając sobie na grę słów godną Francuza, dodał:

— Tam do licha, oto, co nazywają właściwym zastosowaniem pięści angielskiej.

Fix, przewrócony, nie wyrzekł ani słowa. Czuł, że otrzymał to, na co zasłużył.

Pan Fogg, pani Aouda i Obieżyświat bezzwłocznie opuścili urząd celny i wsiadłszy do dorożki, pospieszyli na dworzec. Pan Fogg zapytał, czy odchodzi jakiś pospieszny pociąg do Londynu. Była godzina druga czterdzieści... Pospieszny odjechał trzydzieści pięć minut temu.

Wówczas Phileas Fogg zamówił pociąg specjalny.

Na stacji stało kilka lokomotyw dużej szybkości, lecz wymagania obsługi technicznej nie pozwalały na wypuszczenie pociągu przed godziną trzecią.

O trzeciej Phileas Fogg, szepnąwszy kilka słów maszyniście o zakładzie i stawce, mknął w kierunku Londynu ze swą młodą towarzyszką i wiernym służącym.

Trzeba w pięć i pół godziny było przebyć przestrzeń z Liverpoolu do Londynu. Rzecz łatwa do wykonania, gdy tory są jest wolne na całej długości. Było jednak tyle wymuszonych opóźnień, że gdy dżentelmen wysiadał na dworcu, na wszystkich zegarach Londynu biła godzina ósma pięćdziesiąt.

Phileas Fogg, dokonawszy podróży dookoła świata, przybywał z opóźnieniem pięciu minut.

Przegrał zakład!...

Rozdział XXXV. Smutek i radość Obieżyświata

Nazajutrz mieszkańcy Saville Row byliby bardzo zdziwieni, gdyby im ktoś powiedział, że pan Fogg powrócił do domu. Drzwi i okna pozostawały zamknięte, z zewnątrz nie było widać żadnej zmiany.

W rzeczy samej, wyszedłszy z dworca, Phileas Fogg polecił Obieżyświatowi kupić trochę żywności i wrócił do swego domu. Dżentelmen przyjął ze zwykłym spokojem cios, który go spotkał. Zrujnowany przez pomyłkę tego niezręcznego agenta! Po tym, gdy pewnym krokiem przebył niezmierzone przestrzenie, po zwalczeniu tysięcy przeciwności, po odparciu niezliczonych niebezpieczeństw, znajdując jeszcze czas na spełnienie dobrego uczynku — doznać zawodu w chwili osiągnięcia celu, przez brutalny fakt, którego przewidzieć nie mógł i wobec którego był bezbronny?...

To było straszne! Z wielkiej sumy, jaką zabrał w chwili wyjazdu, nie pozostało mu prawie nic. Majątek jego składał się obecnie z dwudziestu tysięcy złożonych u braci Baring, ale tę kwotę był winien kolegom z klubu „Reforma”. Po tylu wydatkach wygrana nie byłaby go wzbogaciła i można przypuszczać, że nie szukał sposobu wzbogacenia się, należąc do ludzi zakładających się dla honoru. Lecz ten przegrany zakład rujnował go doszczętnie...

Zresztą dżentelmen powziął postanowienie, wiedział, co należy zrobić.

Pani Aouda zajęła jeden z pokoi w jego mieszkaniu. Młoda kobieta była w rozpacz. Z pewnych słów wypowiedzianych przez pana Foggą zrozumiała, jaki nieszczęsny zamiar powziął.

Wiadomo, rzeczywiście, do jakich godnych pożałowania ostateczności posuwają się niekiedy Anglicy opanowani przez jedną jedyną ideę.

Obieżyświat także ukradkiem obserwował swego pana.

Wróciwszy do domu, poczciwy chłopak wszedł do swojego pokoju i przede wszystkim zgasił płomień gazu palący się od osiemdziesięciu dni.

Znalazł w skrzynce na listy rachunek spółki gazowej i pomyślał, że już najwyższy czas położyć kres tym wydatkom, za które był odpowiedzialny.

Noc minęła. Pan Fogg się położył, lecz czy spał? Pani Aouda nie mogła zmrużyć oka. Obieżyświat czuwał jak pies przy drzwiach swego pana.

Nazajutrz pan Fogg zawołał go i w krótkich słowach polecił mu przyrządzić śniadanie dla pani Aoudy. Sam zadowolił się szklanką herbaty i grzanką. Kazał przeprosić swą towarzyszkę, że przy śniadaniu i obiedzie nie będzie obecny, gdyż zmuszony jest zająć się swymi interesami; nie wyjdzie ze swego pokoju i dopiero wieczorem poprosi panią Aoudę o chwilę rozmowy.

Obieżyświat, otrzymawszy to zlecenie, nie mógł się zdecydować opuścić pokoju. Spoglądał na swego pana, spokojnego jak zwykle, i doznawał bólu serca i wyrzutów sumienia, gdyż nadal obwinał się o niepowodzenie przedsięwzięcia.

Tak, gdyby przestrzegł swego pana, gdyby mu ujawnił plany Fixa, pan Fogg nie byłby zapewne wioził agenta aż do Liverpoolu, a wówczas...

Obieżyświat nie mógł się dłużej powstrzymać.

— Mój panie, mój panie! — wykrzyknął. — Przeklnij mnie! To moja wina, że...

— Nie obwiniam nikogo — odpowiedział Phileas Fogg najspokojniej w świecie. — Możesz odejść!

Obieżyświat wyszedł i udał się do młodej kobiety, którą powiadomił o zamiarach swego pana.

— Pani — dodał — ja nie mogę nic zrobić, nie mam żadnego wpływu na niego, pani może...

— A czy ja mogę mieć jakiś wpływ? Pan Fogg nie poddaje się żadnym! Czy zauważył kiedyś wdzięczność do niego, która wypełnia całą moją istotę? Czy zadał sobie kiedyś trud czytania w moim sercu? Mój przyjacielu, nie można go zostawiać samego nawet przez chwilę. Mówisz, że chce się ze mną widzieć tego wieczoru?

— Tak pani, chodzi zapewne o dalszy pani pobyt w Anglii.

— Czekajmy — odpowiedziała młoda kobieta, zamyślając się głęboko.

Przez cały więc dzień niedzielny dom przy Saville Row nie dał znaku życia. Po raz pierwszy od czasu zamieszkania w nim Phileas Fogg nie udał się do swego klubu, gdy na wieży parlamentu wybiła godzina jedenasta trzydzieści.

Po cóż właściwie miał iść do klubu? Koledzy już na niego nie czekali. Skoro poprzedniego wieczoru, w fatalną sobotę, 21 grudnia o godzinie ósmej czterdzieści pięć nie zjawił się w salonie klubu „Reforma”, zakład był przegrany. Nie było nawet potrzeby, aby się udawał do swego bankiera po odbiór sumy dwudziestu tysięcy funtów. Przeciwnicy mieli w ręku podpisany przez niego czek i mogli w każdej chwili odebrać tę kwotę.

Nie było zatem po co wychodzić i Phileas Fogg nie opuszczał mieszkania, pozostawał w pokoju i robił porządki w papierach. Obieżyświat cały dzień spędził na chodzeniu po schodach w górę i na dół. Podśluchiwał pod drzwiami pokoju swego pana, nie zdając sobie sprawy z niewłaściwości swego postępowania. Zaglądał w dziurkę od klucza, sądząc, że ma do tego prawo. W każdej chwili spodziewał się jakiejś katastrofy. Czasami myślał o Fixie, ale w jego umyśle nastąpiła zmiana, nie gniewał się już na niego. Fix mylił się co do Phileasa Fogga tak jak wszyscy inni, a ścigając go i aresztując, spełnił tylko swój obowiązek, podczas gdy on...

Myśl ta unieszczęśliwiała go i uważał się za ostatniego nędznika. Nareszcie, nie mogąc wytrzymać w samotności, zapukał do drzwi pani Aoudy, wszedł do jej pokoju, usiadł w kącie i nie mówiąc ani słowa, spoglądał na młodą kobietę, również smutnie zamyśloną.

Około wpół do ósmej wieczorem pan Fogg kazał zapytać panią Aoudę, czy może się z nią zobaczyć, a po upływie kilku chwil młoda kobieta znalazła się z nim sam na sam w pokoju.

Phileas Fogg wziął krzesło i usiadł przy kominku naprzeciw swej towarzyszki. Na jego twarzy nie widać było żadnego wzruszenia. Po powrocie wyglądał tak samo jak przed wyjazdem. Ten sam spokój, ta sama niewzruszoność. Milczał przez parę minut, następnie podniósł oczy na panią Aoudę...

— Pani — rzekł — czy wybaczy mi pani, że panią przywiozłem do Anglii?

— Ja, panie Fogg?... — odpowiedziała pani Aouda.

— Proszę, niech mi pani pozwoli skończyć — odparł. — Kiedy powziąłem myśl wywiezienia pani ze stron dla pani niebezpiecznych, byłem bogaty i liczyłem, że będę mógł część mojej fortuny oddać do pani dyspozycji. Dziś jestem zrujnowany.

— Wiem o tym, panie Fogg — odpowiedziała pani Aouda — i z kolei ja zapytam, czy przebaczy mi pan, że udałam się z panem i, być może, opóźniając podróż przyczyniłam się do pańskiej ruiny?

— Pani nie mogła pozostać w Indiach! Ocalenie pani zależało tego, czy pani wyjedzie tak daleko od tych fanatyków, żeby nie mogli pani ponownie pochwyć.

— A zatem nie dość, że ocalił mnie pan od strasznej śmierci, to wydaje się panu jeszcze, że jest pan zobowiązany zapewnić mi byt na obczyźnie?

— Tak, pani, lecz okoliczności zwróciły się przeciwko mnie. Niewiele mi pozostało, ale proszę, żeby zechciała pani to przyjąć.

— A z panem co się stanie? — zapytała pani Aouda.

— Mnie, pani — odpowiedział chłodno dżentelmen — mnie niczego nie trzeba.

— W jaki sposób zamierza pan urządzić sobie życie?

— W taki, w jaki powinienem.

— W każdym razie — rzekła młoda kobieta — nędza nie powinna osiągnąć takiego człowieka jak pan. Pańscy przyjaciele...

— Nie mam przyjaciół...

— Krewni...

— Nie mam ich już.

— W takim razie żal mi pana, gdyż samotność jest rzeczą smutną. Jak to, ani jednego serca, które by dzieliło pańskie troski? Przecież powiadają, że we dwoje znosi się łatwiej nawet nędzę.

— Tak mówią, pani.

— Panie Fogg — rzekła wtedy pani Aouda, podniósłszy się i wyciągając rękę ku niemu — czy przyjmie mnie pan jako przyjaciółkę i krewną jednocześnie? Czy zechce mnie pan pojąć za żonę?

Pan Fogg, usłyszawszy te słowa, podniósł się również.

— Kocham panią — rzekł z prostotą — i jestem cały na pani usługi.

Zadzwoniono na Obieżyświata, który zaraz przybył.

Pan Fogg trzymał wciąż rękę pani Aoudy w swojej. Obieżyświat zrozumiał wszystko i jego szeroka twarz promieniała jak słońce w zenicie stref tropikalnych.

Pan Fogg zapytał, czy nie jest za późno, aby pójść porozmawiać z wielbnym Samuelem Wilsonem, proboszczem parafii Saint Marylebone.

Obieżyświat rozśmiał się i rzekł:

— Nigdy nie jest za późno.

Było pięć po ósmej.

— A więc na jutro, w poniedziałek? — powiedział.

— Jutro, w poniedziałek? — zapytał pan Fogg, spoglądając na młodą kobietę.

— Jutro, w poniedziałek — odpowiedziała pani Aouda.
Obieżyświat pędem wybiegł z pokoju.

Rozdział XXXVI. Chwile oczekiwania

Pora teraz opowiedzieć, jaka zmiana zaszła w opinii mieszkańców Zjednoczonego Królestwa, gdy rozeszła się wieść o aresztowaniu prawdziwego złodzieja pieniędzy banku, niejakiego Jamesa Stranda, co miało miejsce 17 grudnia w Edynburgu.

Trzy dni wcześniej Phileas Fogg był przestępcą ściganym przez policję, obecnie był to najuczciwszy dżentelmen, który z matematyczną ścisłością realizował swoją ekscentryczną podróż dookoła świata.

Jaka wrzawa podniosła się w dziennikach! Wszyscy zakładający się „za” i „przeciw”, którzy już prawie zapomnieli o tej podróży, teraz odżyli na nowo. Zakłady ówczesne nie straciły mocy, imię Phileasa Fogga znowu nabrało ceny na rynku. Jego pięciu kolegów z klubu „Reforma” przeżyło te trzy dni w najwyższym niepokoju. Ten Phileas Fogg, o którym prawie zapomnieli, pojawiał się znowu przed ich oczami. Gdzie się teraz znajdował?

17 grudnia, w dniu aresztowania Jamesa Stranda, upływał siedemdziesiąty szósty dzień od chwili wyjazdu Phileasa Fogga, a nie było o nim żadnej wiadomości.

Czy zginął? Czy zaniechał starań? Czy kontynuuje podróż po ustalonej trasie? Czy w sobotę, 21 grudnia o ósmej czterdzieści pięć wieczorem pojawi się, jak bóg punktualności, na progu salonu klubu „Reforma”?

Nie sposób opisać niepokoju, w jakim przez te trzy dni żyło towarzystwo angielskie. Słano telegramy do Ameryki i Azji z zapytaniem o Phileasa Fogga. Rano i wieczorem wysyłano posłańców po wiadomości do domu przy Saville Row.

Żadnej wieści!

Policja nawet nie wiedziała, co się stało z tajnym agentem Fixem, który tak nieszczęśliwie biegł za fałszywym śladem. Mimo tego wszystkiego, liczby i stawki zakładów rosły do niesłychanych rozmiarów.

W sobotę wieczorem na Pall Mall i na sąsiednich ulicach zgromadziły się tłumy. Rozmawiano, sprzeczano i zakładano się o Phileasa Fogga.

Tego wieczoru pięciu kolegów dżentelmena zebrało się bardzo wcześnie w salonach klubu „Reforma” w niespokojnym oczekiwaniu.

W chwili gdy zegar w wielkim salonie wskazywał godzinę ósmą dwadzieścia pięć, inżynier Andrew Stuart, podnosząc się, rzekł:

— Panowie! Za dwadzieścia minut mija termin zakładu.

— O której godzinie przyszedł ostatni pociąg z Liverpoolu? — zapytał Thomas Flanagan.

— O siódmej dwadzieścia trzy — odpowiedział Gauthier Ralph, dyrektor Banku Anglii — a następny przybywa dopiero po północy.

— A zatem, panowie — rzekł Stuart — gdyby Fogg przyjechał pociągiem o siódmej dwadzieścia trzy, byłby już tutaj. Możemy uznać zakład za wygrany.

— Czekajmy jeszcze — odpowiedział Samuel Falenty, bankier. — Wiecie panowie, że kolega nasz jest ekscentrykiem pierwszej wody. Jego punktualność jest dobrze znana: nie przybywa nigdy ani za późno, ani za wcześnie. Jeśli zjawi się tutaj w ostatniej minucie, wcale mnie to nie zdziwi.

— A ja — rzekł Stuart, zdenerwowany jak zawsze — nawet jeśli go nawet zobaczę, to nie uwierzę.

— W samej rzeczy — podjął Thomas Flanagan — projekt Phileasa Fogg'a był niedorzeczny. Pomimo swojej punktualności, nie mógł zapobiec wszystkim nieuniknionym opóźnieniom, a zwłoka choćby dwóch czy trzech dni wystarcza, aby nie dopiął swego celu.

— Zauważcie też — dodał John Sullivan — że nie otrzymaliśmy żadnej wiadomości od naszego kolegi, a przecież drutów telegraficznych po drodze nie brakowało.

— Ależ przegrał! — zawołał Stuart. — Stokrotnie przegrał! Wiecie zapewne, że parowiec „Chiny”, jedyny, którym mógł przybyć z Nowego Jorku do Liverpoolu, przypłynął wczoraj, a lista podróżnych nie zawiera jego nazwiska. Przyjmując najbardziej sprzyjające okoliczności, nasz kolega znajduje się dopiero w Ameryce. Szacuję, że spóźni się o co najmniej dwadzieścia dni, a stary lord Albermale przegra pięć tysięcy funtów.

— Tak, to jasne — odpowiedział Gauthier Ralph. — Nie pozostaje nam nic innego, jak przedstawić jutro nasz czek u braci Baring.

W tej chwili zegar w salonie wskazywał ósmą czterdzieści.

— Jeszcze tylko pięć minut — odezwał się Andrew Stuart.

Koledzy spojłali po sobie. Można było przypuszczać, że serca były im ze zwiększoną szybkością, gdyż nawet dla dobrych graczy partia była poważna! Nie chcieli

jednak tego okazywać i na propozycję Samuela Falentina zajęli miejsca przy stoliku od gry.

— Nie oddałbym moich czterech tysięcy funtów udziału w wygranej — rzekł Stuart, siadając — nawet gdyby mi ktoś teraz oferował trzy tysiące dziewięćset dziewięćdziesiąt funtów.

Zegar pokazywał w tej chwili ósmą czterdzieści dwie.

Gracze wzięli karty do rąk, lecz ich wzrok nie opuszczał zegara.

— Ósma czterdzieści trzy! — powiedział Flanagan, tasując karty.

W salonie zaległa cisza. Tylko na zewnątrz nie ustawała wrzawa tłumu.

Wahadło zegara odliczało sekundy z matematyczną dokładnością.

— Ósma czterdzieści cztery — rzekł John Sullivan głosem ochrypłym nieco od wzruszenia.

Jeszcze minuta i zakład będzie wygrany... Andrew Stuart i jego koledzy zaprzestali gry i położyli karty. Liczyli sekundy.

Czterdziesta sekunda nic. Pięćdziesiąta — nadal nic! W pięćdziesiątej piątej na zewnątrz rozległ się jakby grzmot. Usłyszano oklaski, okrzyki: „Hura!”.

Gracze powstali.

W pięćdziesiątej siódmej sekundzie otworzyły się drzwi salonu, a wahadło nie wyznaczyło jeszcze sześćdziesiątej sekundy, gdy ukazał się Phileas Fogg, a za nim rozgorączkowany tłum, który zdobył wejście do klubu.

Phileas Fogg swoim spokojnym głosem rzekł:

— Oto jestem, panowie!

Rozdział XXXVII. Doba bezwiednie zyskana

Tak! Phileas Fogg we własnej osobie.

Pamiętamy, że o ósmej pięć wieczorem, w dwadzieścia pięć godzin po przybyciu do Londynu, Obieżyświat został wysłany przez swego pana do wielbnego Samuela Wilsona w sprawie małżeństwa, które miało się odbyć nazajutrz.

Obieżyświat wyszedł zachwycony. Udał się szybkim krokiem do wielbnego Samuela Wilsona, ale ten jeszcze nie powrócił do domu. Obieżyświat czekał przeszło dwadzieścia minut. Była ósma trzydzieści pięć, kiedy wyszedł z domu pastora. Lecz w jakim stanie! Włosy w nieładzie, bez kapelusza, biegł jak szaleniec, przewracając przechodniów, mknąc przez chodnik jak wichur.

Po upływie trzech minut był w domu i wpadł prawie bez tchu do pokoju pana Fogga. Nie mógł słowa przemówić.

— Co się stało? — zapytał pan Fogg.

— Mój panie — wyjąkał Obieżyświat — małżeństwo... niemożliwe...

— Niemożliwe?...

— Niemożliwe... na jutro!

— Dlaczego?

— Dlatego, że jutro jest niedziela!

— Poniedziałek — poprawił pan Fogg.

— Nie... bo dziś... sobota...

— Sobota? To niemożliwe!...

— Tak, tak, tak, tak! — wykrzyknął Obieżyświat. — Pan się pomylił o jeden dzień! Przybyliśmy dwadzieścia cztery godziny wcześniej, ale zostało nam tylko dziesięć minut.

Obieżyświat wziął swego pana za kołnierz i ciągnął z niesłychaną siłą.

Porwany w ten sposób Phileas Fogg nie miał czasu do namysłu, opuścił swoje mieszkanie, wskoczył do dorożki, obiecał sto funtów woźnicy i po przejechaniu dwóch psów i zahaczeniu o pięć powozów przybył do klubu „Reforma”.

Wskazówki zegara wskazywały ósmą czterdzieści pięć, kiedy zjawił się w wielkim salonie klubu.

Phileas Fogg zrealizował podróż dookoła świata w osiemdziesięciu dniach!

Wygrał zakład o dwadzieścia tysięcy funtów.

Ale jak to się stało, że człowiek tak systematyczny, tak punktualny mógł popełnić pomyłkę w obliczeniach o jeden dzień? Jak mógł myśleć, że przybył do Londynu w sobotę, 21 grudnia, podczas gdy naprawdę był to piątek, 20 grudnia, czyli dopiero siedemdziesiąty dziewiąty dzień po wyjeździe?

Oto przyczyna pomyłki, zresztą bardzo prosta:

Phileas Fogg nieświadomie zyskał jeden dzień tylko dlatego, że okrążył kulę ziemską podróżując w kierunku wschodnim, gdyby zaś wybrał kierunek zachodni, straciłby ten dzień.

Podążając na wschód, Phileas Fogg szedł ku słońcu, a tym samym dni skracaly się dla niego o cztery minuty tyle razy, ile stopni geograficznych przebył w tym kierunku. Obwód kuli ziemskiej ma trzysta sześćdziesiąt stopni, a trzysta sześćdziesiąt

pomnożone przez cztery minuty daje dokładnie dwadzieścia cztery godziny, czyli dobę, nieświadomie zyskaną.

Innymi słowy: gdy Phileas Fogg, posuwając się na wschód, widział słońce w zenicie osiemdziesiąt razy, koledzy jego w Londynie widzieli je tylko siedemdziesiąt dziewięć razy. Dlatego też w tego dnia, który był sobotni, a nie niedzielny, jak myślał pan Fogg, oczekiwali go w salonie klubu „Reforma”.

To samo byłoby widać na sławnym zegarku Obieżyświata, który zawsze zachowywał czas londyński, gdyby, tak jak pokazywał godziny i minuty, potrafił wskazywać dni.

Phileas Fogg wygrał więc dwadzieścia tysięcy funtów. Ale po drodze wydał blisko dziewiętnaście tysięcy funtów, zatem zysk pieniężny był nieznaczny. Jednak, jak mówiliśmy, ekscentryczny dżentelmen nie szukał w tym zakładzie zysku, lecz walki. A te tysiąc funtów, które mu zostały, podzielił pomiędzy uczciwego Obieżyświata a nieszczęsnego Fixa, do którego nie żywił już urazy.

Dla ścisłości tylko potrącił swemu służącemu koszt dziewiętnastu tysięcy stu dwudziestu godzin wypalonego z jego winy gazu.

Tego samego wieczoru pan Fogg, jak zawsze spokojny, rzekł do pani Aoudy:

— Czy nadal zgadza się pani na nasze małżeństwo?

— To ja powinnam zadać to pytanie — rzekła pani Aouda. — Poprzednio był pan zrujnowany, podczas gdy obecnie...

— Przepraszam panią, ta fortuna należy do pani. Gdyby pani nie powzięła myśli o małżeństwie, mój służący nie poszedłby do pastora, a ja nie przekonałbym się o pomyłce i...

— Drogi panie Fogg... — rzekła młoda kobieta.

— Droga Aoudo... — odpowiedział Phileas Fogg.

To całkiem zrozumiałe, że małżeństwo zostało zawarte czterdzieści osiem godzin później, a Obieżyświat, wspaniały, promieniejący, był drużbą młodej kobiety. Czyż to nie on ją ocalił? Jemu zatem należał się ten zaszczyt.

Nazajutrz o świcie Obieżyświat pukał hałaśliwie do drzwi swego pana.

Drzwi się otworzyły i ukazał się niewzruszony dżentelmen.

— Co się stało?

— Co się stało, panie? Właśnie przed chwilą się dowiedziałem...

— Czego?...

— Tego, że mogliśmy okrążyć świat w siedemdziesięciu ośmiu dniach.

— Bez wątpienia — odpowiedział pan Fogg — nie przejeżdżając przez Indie. Lecz gdybym nie był w Indiach, nie ocaliłbym pani Aoudy, nie zostałaaby ona moją żoną i...

I pan Fogg zamknął spokojnie drzwi.

A więc pan Fogg wygrał zakład. Okrążył świat w ciągu osiemdziesięciu dni. Posługiwał się w tym celu, jak nam wiadomo, wszelkimi środkami lokomocji: parowcami, koleją, powozami, jachtami, saniami, słoniem. Ekscentrycznemu dżentelmenowi oddawały w tym przedsięwzięciu wielką usługę jego zimna krew i nadzwyczajna akuratność.

— Cóż zyskał na tej podróży? Co z niej przywiózł?

— Nic, czy tak?

— Owszem, nic oprócz doskonałej kobiety, która, chociaż to brzmi nieprawdopodobnie, uczyniła go najszczęśliwszym z ludzi. Prawdę mówiąc, czyż z drobniejszych przyczyn nie odbywa się podróży dookoła świata?

Przeczytaj także:

W 80 dni dookoła świata – Streszczenie szczegółowe

W 80 dni dookoła świata – Streszczenie krótkie

W 80 dni dookoła świata – Plan wydarzeń

W 80 dni dookoła świata – Charakterystyka bohaterów

W 80 dni dookoła świata – Czas i miejsce akcji

W 80 dni dookoła świata – Geneza utworu

W 80 dni dookoła świata – Problematyka

W 80 dni dookoła świata – Biografia autora

Utwór znajduje się w domenie publicznej. Masz prawo do jego wykorzystywania, publikowania i rozpowszechniania.

Tekst opracowany na podstawie: Juliusz Verne, Podróż naokoło świata w 80-ciu dniach, wyd. Gebethner i Wolff, Warszawa --- Lublin --- Łódź 1891.